# JESZCZE TROCHĘ POŻYĆ

ADAM HOLLANEK

**ADAM HOLLANEK**

# JESZCZE TROCHĘ POŻYĆ

## I

Nawet gdyby nie bezkształtne, marsjańskie stwory lub po prostu mizraki, jak je nazywano, zwartym pierścieniem otaczające zmarłego nagle Anzelma Konseliusza, cudownego interpretatora romantyków, byłbym i tak podejrzewał, że to śmierć nienaturalna. Z punktu widzenia nauki nic na to jednak wyraźnie nie wskazywało.

Genialnego pianistę znaleziono w jego wielkim, starym salonie, jakby śpiącego na klawiaturze steinwaya. Szpakowate włosy połyskiwały złotem w blasku świec, które

nawet wtedy zapalał, gdy ćwiczył sam, przygotowując się do koncertów.

Cztery świece już zgasły, trzy dopalały się w siedmioramiennym świeczniku, stojącym obok fortepianu. Przez otwarte na oścież okna wpływało z ogrodu wieczorne powietrze.

Mizraki zwieszały się z wazonu z rzadkim okazem jakiejś egzotycznej rośliny, wyhodowanej podobno poza Ziemią przez zaprzyjaźnionego astrobiologa i kosmonautę, będącego równocześnie gorącym miłośnikiem muzyki Anzelma Konseliusza. Ich obłe ciała, podobne do pleśni, rozdwajały się pod wazonem i z dwóch stron osaczały instrument wraz z leżącym na nim pianistą. Wyglądały na podłodze jak zaczarowany biały krąg ze starych baśni.

Były długo przedmiotem równie beznadziejnych, co gorączkowych badań w licznych laboratoriach świata. Zawdzięczały swoje przezwisko uczonej Rilli Mizraki ze

Światowego Centrum Życia Pozaziemskiego. Placówkę tę utworzono, gdy uczona po raz pierwszy w roku bodajże 2036 wykryła istnienie tych tworów. Znalazła je w swojej przylaboratoryjnej sypialni, na ósmym piętrze przenośnego domu, który, jak wiele innych budynków mieszkalnych dzielnic aglomeracji przemysłowych, latem był przewożony nad piaski południowego wybrzeża. Taki exodus wyglądał zawsze jak przelot zeppelinów na starych rycinach. Laboratoria przypominające kształtem cygara przenosiły się na dwa miesiące w miejsca odległe o ponad tysiąc kilometrów.

I właśnie tysiąc kilometrów od siedziby uniwersytetu profesor odkryła mizraki. Najpierw myślano, że to wykwity jakiejś pleśni. Uczona poleciła robotom zebranie białej, mizrakowej mazi i zbadanie jej pod mikroskopami. Wkrótce jednak przybiegły roboty. Prostowały się na swoich trzech nóżkach i prężyły służbiście przed biurkiem

uczonej, meldowały, że o pobraniu próbki nie ma mowy. Ciała mizrakich zdawały się nierozerwalne. Były twardsze od najtwardszego pancerza. „Odrąbcie to” — rozkazała.

Ale w sekundę później, jak mi relacjonowała, przejęta swoją nieostrożnością, krzyknęła za robotami: „Zostawcie to, zostawcie w spokoju”.

— Po raz pierwszy wpadło mi na myśl, że te białe narośle mogą być istotami z innej planety — zwierzyła mi się niedługo potem.

Bywałem bardzo często u profesor Mizraki. Łączyła nas długoletnia znajomość, wspólne zainteresowania i pasja do muzyki Anzelma, naszego wspólnego przyjaciela.

Powiedziałem kiedyś uczonej:

— Dobrze trafiły te istoty z innej planety. Wiedziały, do kogo przychodzą. Jesteś znawczynią tych spraw.

— Kto wie — odparła — może masz rację, przyjacielu, może to nie przypadek.

Często jeszcze potem rozmawialiśmy na ten temat. Waszą znajomość przerwała nagła śmierć profesor Mizraki. Lekarze zawsze odradzali Rilli prowadzenie wozu ze względu na nieuleczalną krótkowzroczność, dziedziczną zresztą w jej rodzinie. Ostrzegali, prosili, błagali.

Zarówno Anzelm Konseliusz, jak i ja mówiliśmy, gdy siadała za kierownicą:

— Rilla, proszę tego nie robić, to się może źle skończyć.

I wykrakaliśmy. Kochała samotne wycieczki nad przepaściami, po alejach parku narodowego. Wjechała w przepaść.

Dobrze orientowałem się w jej pełnych romantyzmu spekulacjach na temat mizrakich.

Ciągle wracaliśmy do tej sprawy, budziła zresztą w tamtych latach coraz większą sensację naukową i uzyskała światowy rozgłos. Uczona twierdziła, że w przypadku mizrakich mamy do czynienia z istotami

rozumnymi, nawet bardzo mądrymi, które właśnie dlatego, że inteligentne, zachowują wobec nas rezerwę lub wręcz obojętność.

Zapytałem jej wówczas:

— A masz, profesor (często się tak do niej pół żartem, pół serio zwracałem), dowody na te swoje śmiałe bajania? Czym się objawia mądrość tego obrzydlistwa?

— W nauce liczą się tylko dowody, to prawda — odparła patrząc na mnie z pełną wyrozumiałości ironią, jakby kpiła, ale i współczuła mi zarazem z powodu mojej ograniczoności.

— Dowody, dowody. Żeby je zdobyć, trzeba najpierw marzyć, pożądać, pasjonować się i prorokować. No i trzeba ryzykować. Z tego wszystkiego rodzi się hipoteza, z fantazji i domniemanych okruchów prawdy. Dopiero potem zdobywa się i dopasowuje dowody. Eksperymenty organizowane są przez ludzi, a nie kreowane przez przyrodę. Organizowane, rozumiesz...

— Chcesz powiedzieć, że jako wynik działania fantazji nie mają one większego znaczenia, że i tak budujemy zawsze prawdę na miarę swych fantazji, marzeń, wielkich pasji?

— A ty inaczej pracujesz?

Celnie mnie trafiła. Zaśmiałem się, ale równocześnie poczułem nieswojo. Jakby i ta ziemia, po której chodzę, była tylko z marzeń zbudowana.

Opowiedziała mi wówczas więcej o mizrakich. Rozmnażają się przez pączkowanie. Z jednych grup komórek wyrastają inne, identyczne. Objawów specjalizacji nie obserwuje się, ale nie są one wykluczone. W każdym razie rozrost komórek wydaje się kontrolowany.

— One się rozmnażają, kiedy tego chcą albo może potrzebują. Potrafią to robić w ogromnym tempie.

— Jeśli chcą?

— Tak. Zauważyłam, że w pewnych

okresach, kiedy można przypuszczać, iż usiłują coś osiągnąć, do czegoś dotrzeć, coś, powiedzmy, zbadać, ich rozwój postępuje błyskawicznie. Widziałam, jak w ciągu ułamków sekund umieją z jednej sali, długiej na kilkanaście metrów, wysunąć swe macki do drugiej. No, czynią to w okamgnieniu. Nie było ich macek w drugiej sali, aż tu nagle już są.

Wspominając tę rozmowę, uświadomiłem sobie ów stan okrążenia mizrakimi, w jakim znajdował się zmarły Anzelm. Zacząłem się także zastanawiać nad następnymi zdaniami Rilli.

— One na co dzień tego nie robią.

— Nie rozmnażają się?

— Nie. Żyją w jakimś zastoju, w jakimś intelektualnym marazmie. Proszę się nie śmiać ironicznie. Nie rozwijają się, jak przypuszczam dlatego, że po prostu nie chcą.

— Nie chcą?!

— Ależ tak, nie chcą. Mogłyby przecież

owinąć, skrępować swymi obłymi mackami każdego mieszkańca Ziemi. Obwiązać całą planetę bandażem swych silnych cielsk. Są przecież już dzisiaj niemal wszędzie. Nie robią tego jednak. Udają, że nie żyją. Wyraźnie nie chcą z nami walczyć. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale nie dążą do konfliktu. Może to lenistwo, może strach…

Czy faktycznie nie chcą z nami walczyć? — pomyślałem, obserwując obrzydliwe sploty mizrakich w salonie mego przyjaciela Anzelma.

Nie był jeszcze stary, choć o wiele starszy ode mnie, co jednak wcale nie przeszkadzało naszym bardzo intymnym rozmowom. Jego staż życiowy nie pokrywał się z faktycznym wiekiem biologicznym. Po sześćdziesiątce zachował nie tylko młode, czułe, pełne marzeń serce, ale również zgrabne i bardzo silne ciało. Tym dziwniejszy wydawał się nagły zgon Anzelma.

Gdy pokazywał się w pływalni, lubił

demonstrować swoje umiejętności, rzeczywiście duże, ponieważ startował kiedyś, z pewnym powodzeniem jako zawodnik kadry narodowej.

Na widok zgrabnej postaci gotującej się do skoku z deski lub ze słupków mówiono: „prawdziwy Apollo”. Uznanie zyskiwał nawet u mężczyzn, którzy na ogół nie bardzo go lubili, zazdrościli mu powodzenia. Otaczał się ludźmi młodymi, miał wielu uczniów, lecz ani jednej uczennicy, dlatego był posądzany o anomalie fizyczne i psychiczne. Żyliśmy w przyjaźni i dobrze wiedziałem, że to wierutne kłamstwo. Niemniej i mnie dziwiło czasem, że przestaje wyłącznie z młodymi mężczyznami.

Zagadnąłem go o to.

— Słuszne pytanie — odpowiedział, jakby miał z góry przygotowaną i wyuczoną odpowiedź. — Widzisz, ja zupełnie nie mam zaufania do natury kobiecej. Może to wina jakiegoś pierwiastka kobiecości, który tkwi

niewątpliwie we mnie. Wiesz zresztą, że nie gardzę przygodami — zaśmiał się. Znałem jego wyjątkową donżuanerię, skrywaną jednak starannie przed obcymi. Miewał mnóstwo, nieraz wspaniałych, romansów i o wielu, lecz nie o wszystkich, dowiadywałem się z jego zwierzeń. Może potrzebował mnie w charakterze spowiednika. To także cecha wielkiej przyjaźni. Czy lubił również zwierzać się komu innemu? Nieraz się nad tym zastanawiałem. Czy nie za dużo musiał mówić swoim cudownym, młodzieńczym uczniom?

— Nie ufam kobietom — ciągnął swoje —. być może dlatego, że znam je lepiej niż inni. Zwłaszcza w pianistyce, w tym twardym codziennym rzemiośle, które wymaga po prostu siły fizycznej, czasem bicepsów, kobiety nie mogą być wielkie. Nie wytrzymują, mimo cudownie romantycznych usposobień, mimo subtelności uczuciowej i delikatności obyczajów. Dlatego kształcę

chłopców.

— Masz ulubieńców?

— Nie kryję się z tym. To zresztą więcej niż ulubieńcy, to większe od miłości. Wybieram przecież ludzi. Spełniam cel mego życia.

Stanął teraz przede mną jeden z głównych jego faworytów. Nie lubiłem go, choć wyróżniał się uprzedzającą grzecznością i delikatnością, a jego uroda?

— To człowiek moich marzeń — przypomniałem sobie słowa Anzelma Konseliusza.

Chłopak nie miał jeszcze dwudziestu lat, a nagrody już się nań sypały jak „złoty deszcz” (określenie .Anzelma). Wcale nie czyniło go to dumnym ani zarozumiałym, i nie przewracało mu w pięknej głowie. Może jednak, tak mi się przynajmniej wydaje, on nie potrafił być naprawdę ani dumny, ani zarozumiały, ani czuły, ani szalony, lecz po prostu bardzo chłodny. To było

najwłaściwsze określenie, nie tylko dla jego wyjątkowej urody, ale również natury. Dla Anzelma ten chłód ucznia oznaczał maestrię techniczną. Orientowałem się w niedoskonałościach sztuki Konseliusza. Niedbały z natury, nie osiągał szczytów wirtuozerii. Jego gra była natchnieniem. Grał, jak czuł i do tych uczuć usiłował, nie zawsze z pełnym powodzeniem, dostosowywać swe możliwości techniczne. To właśnie fascynowało, walka między fantazją a techniką.

Jonis Broczis natomiast grał z doskonałą precyzją. Gdyby posadzono obok siebie kilku wirtuozów i zachęcono do rywalizacji, on zawsze górowałby nad wszystkimi.

Był mistrzem czystości tonu. Wysoki, szczupły o białej cerze, w kabinach kwarcowych zamienianej stale w oliwkową, i o białych niemal zupełnie włosach. Mistrzostwo, prostota i wrodzona pewność siebie czyniły z niego, jak mawiał mistrz,

nadczłowieka. Wszystko wiedział, wszystko z góry przewidywał, Krytykował mocno sztukę Anzelma.

— I nie boli mnie to. On ma rację. On ma to, czego mnie brakowało i brakuje — dodawał Anzelm Konseliusz.

Jonis rzadko się uśmiechał, jeszcze rzadziej mówił. Trudno było dostrzec w ogóle jakiś ślad uczuć w jego twarzy. Posąg. Pianiści lubią się wzruszać, lubią wymieniać chociażby z dyrygentami orkiestry pełne wyrazu porozumiewawcze spojrzenia. Albo mimiką uprzedzają dźwięki lub towarzyszą im, rodzącym się najpierw w myślach, zanim się uzewnętrznią.

Usiadłem cicho w kącie wielkiego salonu. Pustka wokoło, rześkie powietrze napływało z ogrodu. Jonis Broczis nie dostrzegł mnie. Przyszedł tu zagrać. Sam, zawsze był trochę samotny, urodzony na wielkiego mistrza. Czy z tym wszystkim szczęśliwy? Czy niczego faktycznie nie zazdrościł swemu starszemu,

targanemu przeciwnościami życia, wychowawcy?

Przypominam sobie dobrze taką scenę sprzed dwóch czy trzech zaledwie lat. W telewizji emitowano serial o bohaterskich wyczynach. Tylko atmosfera tej sprawy pozostała mi w pamięci, treść dawno wywietrzała. Były to pierwsze spektakle holo. Obrazy, dzięki udziałowi dziesiątków różnych laserów tak przekazywano, że w pewnych momentach i w określonych sytuacjach widzowie mogli się w nie osobiście włączać, wkraczać do akcji i nawet zmieniać jej bieg. Widowiska miały po kilka, czasem nawet kilkanaście wariantów treści, przygotowanych z góry i nastawionych na różne, ściśle określone typy ingerencji ze strony widowni.

Zaczął się z tego powodu istny szał. Zdawało się ludziom, że decydują, jak w prawdziwym życiu, o własnych losach i swoich bohaterów, chociaż wszystko było już

dawno zdeterminowane, wszystko — razem z charakterami i zachowaniami tych, którzy się do akcji włączyli.

Spektakle świetnie imitowały rzeczywistość: plastycznie, barwnie, a nawet z zapachami. Można więc było kochać nie kochając, szaleć nie szalejąc, zabijać nie zabijając. Twórcza, choć wątpliwa artystycznie, zabawa wciągała. Anzelm Konseliusz, który zafundował sobie w pałacyku kamerę i odbiornik holowizyjny, bez reszty angażował się w sceny obserwowane na szerokim jak ściana ekranie. Nie wytrzymywał jednak napięć uczuciowych. Ogarnięty namiętnością zrywał wszelkie więzy z otoczeniem. Istniała odtąd dla niego tylko rzeczywistość holowizji. Zdarzyło się to także i wtedy, gdy u niego przebywałem.

W czasie oglądania kolejnego odcinka serialu, kiedy na ekranie prezentowano wielki obraz batalistyczny, wypełniony

scenami bezkarnego dobijania pozytywnych bohaterów, Anzelm wkroczył w samo jądro walki.

— Muszę ich ratować, chodźże ze mną! — krzyknął.

Szalał, walczył, zabijał wrogów, cofał się przed ich brutalnym naporem, bał się i przemagał strach, atakował. Tracił mnóstwo energii, ale był w swoim żywiole. Jego wychowankowie poszli za przykładem mistrza. Ja także zamierzałem się przyłączyć. Powstrzymała mnie refleksja, iż w tym samym momencie podejmuje walkę większość osób dysponujących już tymi zmyślnymi aparatami. A nade wszystko hamowało mój zapał zachowanie Jonisa.

Patrzył z pogardą i ironią na te wariactwa kolegów i nauczycieli. Zachowując kamienną obojętność znacznie od pogardy dolegliwszą, bo czyniła z Anzelma i ze mnie ludzi śmiesznych i banalnych, odwrócił się na pięcie i wyszedł do wielkiego salonu, aby

sobie pograć.

Ćwiczył codziennie po osiem, dziesięć godzin.

Wsłuchałem się w jego grę. Próbował grać fragmenty *I Koncertu* Liszta. Lubiłem bardzo ten utwór. Przewrotny, efekciarski, bogaty w sztuczki pianistyczne, to chwilami patetyczny, to znów romantycznie sentymentalny. W wykonaniu Jonisa stawał się umuzycznionym równaniem matematycznym, sztuczną burzą, sztucznym szałem, wspaniale w gruncie rzeczy zorganizowanych dźwięków, w których na wzruszenia nie starczało w ogóle miejsca. Czyżby to było możliwe? Czy nie uległem złudzeniu pod presją chłodu uczuciowego i równie chłodnej fizjonomii tego chłopca? Siedziałem oburzony, ale i oczarowany.

Zamyślony, nie pochwyciłem chwili, w które; przerwał grę. A może jej wcale nie przerywał, może nie odrywał palców od klawiatury?

— Anzelm Konseliusz — powiedział niespodziewanie — twój Anzelm, nie mógł bez przyczyny umrzeć nagle na serce. Miał znakomite serce

A więc myśleliśmy o tym samym.

Wskazałem na mizrakich. Ich długie pędy wiły się po podłodze, wzdłuż ścian. Spotykało się je niemal w każdym domu, w każdym klimacie, wszędzie tam, gdzie osiedlał się człowiek. Przypuszczano, że tworzą jedno ciało, że łączą się w jedną całość. Nawet tam, gdzie nie widać tego gołym okiem. Był to wąż, który docierał już wszędzie, wąż gigant. Któż znał jego długość, kto wiedział czym był naprawdę? I na tę myśl zadrżałem. Na początku, zaraz po ich pojawieniu się, próbowano mizrakich truć i niszczyć wszelkimi sposobami. Jak niegdyś mrówki faraona w Europie, które nie poddały się nigdy żadnym ludzkim środkom chemicznym, aż nagle, gdy już zrezygnowano z walki z nimi, same się wycofały i zniknęły.

Mizraki również opierały się niszczącym ludzkim działaniom. Wyparte z jednych domów, przedostawały się do drugich, a potem powracały na dawno zajęte pozycje. W końcu witano je prawie tak jak domowników. Stawały się swojskie, tworzyły nieodłączną część żywych, domowych krajobrazów.

Spotykano je w kątach, gdzie najchętniej wegetowały, ale także zdarzało się trafiać na nie w łóżkach, w talerzach, w szklankach. Były również czasem w szafach i w nocnikach, w jedzeniu i szpitalnej pościeli.

Obydwaj patrzyliśmy na nie, na ich znajome obłe kształty. Jonis wstał z ręką skierowaną ku mizrakim.

— Nienawidzę tego — powiedział z pasją, jakiej się po nim nigdy nie spodziewałem.

— Nienawidzę tej podłej egzystencji.

## II

Kontestacje i bunty młodych nie były

nowiną ani dla mnie, ani dla nikogo w naszych czasach. Krytyczny, niektórzy twierdzili, że skrzywiony, stosunek wielu młodych do rzeczywistości, jaką zastali i w jakiej przyszło im żyć, był na pewno nieraz — przy wszelkich jego społecznych niedogodnościach i perturbacjach — motorem postępu. I to nie tylko w naszej epoce.

W tonie tego zimnego chłopca odczułem jednak coś całkiem innego od typowego młodzieńczego *Sturm und Drang*. Głos Jonisa brzmiał gardłowo, jakby z trudem się wydobywał.

Niczego takiego nigdy u niego nie zauważyłem. Może była to tylko złuda, moje przywidzenie. Szukałem przyczyn śmierci Anzelma Konseliusza i gotów byłem obwiniać o nią wszystko, co nas otaczało, wszystko i wszystkich, z Jonisem na czele.

— Myślisz, że mizraki? — zapytałem, nie kończąc umyślnie zdania, ciekawy dalszej

reakcji.

— Nie chcę się tym zajmować. Nie chcę — odparł znowu gardłowym, pełnym porywczości tonem. Zerwał się znad klawiatury. Uciekał? W drzwiach, które się przed nim na oścież rozwarły, wpadł z impetem na równie jak on jasnowłosą i białą dziewczynę.

Krzyknęła „och”, szybko wysunęła mu się z ramion.

— Tak cię chciałem zobaczyć — mówił tłumionym głosem, starając się pohamować pasję. — Tak chciałem.

— Zostaw mnie. Już ci mówiłam, abyś mnie zostawił w spokoju. Nie chcę cię już znać, no nie chcę.

Stałem się więc mimowolnym świadkiem gwałtownej sceny. Dziewczyna nazywała się chyba Zoja Żreni, była siostrzenicą profesor Rilli Mizraki, i jak Jonis również znakomicie zapowiadającą się pianistką. Trochę starsza od niego, traktowała go z rezerwą, trzymała

na dystans. Dobrze to zapamiętałem. Ale pomyślałem również, iż początki jego ku niej skłonności datowały się od dawna. Nie wiedziałem natomiast, co zaszło między młodymi, co mogło zajść w ciągu ostatnich dwóch lat, ponieważ po śmierci uczonej straciłem na pewien czas kontakt z domem Rilli i Anzelma. Po różnych zawodowych niepowodzeniach, które zawsze wyprowadzały mnie całkowicie z równowagi, niosąc poczucie beznadziei, wyjechałem daleko. Wtedy to właśnie odwiedziłem po raz pierwszy Bazę Księżycową, gdzie zresztą też nie działo mi się najlepiej.

— Zostaw mnie — powtórzyła ostro. Właściwie krzyknęła, gdy próbował ją objąć z gwałtownością, jakiej u niego chyba nikt nigdy nie widział. Wyrwała się. Podeszła do mnie i szybko wyjaśniła, że to mnie właśnie szuka, że ze mną musi się bardzo pilnie porozumieć.

Jonis stał na progu, w rozwartych

drzwiach, na tle ogrodowej zieleni, która przez przezroczyste ściany wydawała się bujniejsza niż nią była w rzeczywistości, taki niewielki ogródek w centralnym kwartale miasta. Chłopiec tkwił nieruchomo zwrócony w naszą stronę, jakby zastygł.

Zanim zdążyłem się porozumieć z dziewczyną, stałem się znów świadkiem następnej niespodzianki. Jonis, jakby zapominając o mojej obecności, stracił poczucie rzeczywistości i rzucił się na kolana przed Zoją, chociaż ten stary obyczaj zakochanych dawno już wyszedł z mody. Nikt teraz przed nikim nie klękał.

Tak już zobojętnieliśmy wszyscy nawzajem — pomyślałem — że ludzki odruch samoponiżenia wobec istoty kochanej budzi zdziwienie, nawet przeraża. Przyznaję, iż poczułem się nieswojo. Zażenowany zachowaniem Jonisa, zdumiony jego pasją, stanąłem tuż koło nich dwojga.

Zoja udając, że nie dostrzega pozy Jonisa,

mówiła mi:

— Spieszyłam się, muszę, muszę porozmawiać. To się wiąże ze śmiercią Anzelma

Konseliusza i z ciotką Rillą także — łkała. Teraz dopiero zobaczyłem jak była wzburzona, jak drżała na całym ciele.

Jonis wstał powoli z klęczek i dalej tkwił koło nas, nie zdziwiony wcale stanem swej ukochanej i jej posłannictwem do mnie. Czyżby nadał był półprzytomny?

— Gdzie chcesz porozmawiać? — zapytałem. — Tutaj?

— Jasne, że nie tu — odwróciła twarz od Jonisa. — Przy nim nigdy! Pojedźmy do nas.

Do mnie.

Mieszkała tam, gdzie dawniej jej ciotka, w miasteczku biocybernetycznym. Nazwano tak ten kwartał, gdyż zasiedlili go przeważnie naukowcy z sąsiednich wypukłych budynków instytutu i ogromnych, przypominających pęki balonów laboratoriów

astronautycznych, rozkołysanych w powietrzu. Jechało się tam najlepiej jedną z szybkich magistrali magnetycznych. Było to coś w rodzaju przezroczystych, napowietrznych ruchomych tuneli, rozwieszonych nad miastem.

Pamiętałem dobrze budowę tych linii komunikacyjnych — kłębowisko helikopterów jak rój pszczół, a pod nim wystrzelały z ulic cienkie i giętkie wieżyczki dźwigów. Tak współpracowali ludzie z robotami. Ale gdy pracę ukończono, po uroczystym otwarciu linii, tylko nieliczni odważali się wypróbować sprawność nowych arterii, mimo że reklamowano ich nadzwyczajność. Nie dziwię się. Mam ciągle zapierające dech uczucie wskakiwania do bezdennej przepaści, kiedy decyduję się wsiąść do pojazdu, którego nie widać, który jest zupełnie przezroczysty, jakby w ogóle nie istniał. Dopiero wiele miesięcy później runął tędy rozpędzony ludzki tłum, starający się

oszukać czas, bojący się utraty ułamków sekund.

Linie były elastyczne, dostosowywały swoją pojemność i prędkość do nasilenia ruchu.

Ich masowość konkurowała coraz skuteczniej z indywidualnym transportem, od którego zdawały się już pękać kaniony ulic i obszary nad szczytami domów. Dachy budynków zajęto na lądowiska awionetek, helikopterów, a także pionowo startujących, błyskawicznych, i przez to szczególnie niebezpiecznych w tej gmatwaninie pojazdów, koleopterów. Korytarze tak zaprogramowano, że potrafiły samoczynnie omijać najniebezpieczniejsze skupiska, wyszukując przestrzenie najdogodniejsze, najmniej zatłoczone. Chodnik elektromagnetyczny, zaopatrzony w uchwyty na długich trzonkach, niósł człowieka wraz z całym tłumem z krańca na kraniec miasta, wśród czystego świeżego powietrza i

naprawdę wspaniałych widoków zarówno arterii napowietrznych jak i naziemnych. Czuło się tylko lekki zawrót głowy od pędu.

W tym ruchomym tunelu nie rozmawialiśmy, co tu dużo mówić, niełatwo tam było rozmawiać, chociaż widziałem, że dziewczyna nie może wytrzymać i próbuje się do mnie zwracać krótkimi, monosylabicznymi słowami. Była bardzo zdenerwowana. Wykrzykiwała z siebie słowa. Skinąłem na nią, dając do poznania, że nie tutaj miejsce na tego rodzaju wynurzenia. I tak jej wzburzenie poczęło już zwracać powszechną uwagę, a ponieważ niedawno transmitowano długi koncert z udziałem uczniów Konseliusza i jej białą twarz dość mocno w nim eksponowano, mocniej niż muzykę, ludzie zaczęli ją rozpoznawać. Pozwalano sobie na głośne uwagi o śmierci jej mistrza.

Chciałem za wszelką cenę uniknąć takiej sensacji. Śmierć genialnego pianisty i tak

komentowano różnorodnie. Podejrzewano nie tylko samobójstwo Nie byłem bynajmniej odosobniony w swych przypuszczeniach, że owa tragiczna śmierć ma powiązanie z mizrakimi.

Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, że Jonisa porzuciliśmy, nie powiedziawszy mu nawet do widzenia. Po głośnym i pogardliwym oświadczeniu dziewczyny, że przy nim lepiej niczego nie mówić, zniknął mi z oczu. Gdy stanęliśmy w otwartych drzwiach windy, dobiegła nas z salonu matematyka jego muzyki i cichła w miarę zamykania się drzwiczek.

— Masz zdaje się na imię Zoja, czy Zojda? Proszę się nie gniewać, że o to pytam, ale minęło tak wiele czasu...

— Tak, Zoja — powiedziała mimochodem, jak echo, dodając — proszę mi mówić jak dawniej, jak wtedy, gdy jeszcze żyła ciocia, po prostu Zoja. — I szybko dorzuciła już innym tonem: — Zaprosiłam pana do tego właśnie

gabinetu, bo tutaj działy się rzeczy, które mnie zawsze niepokoiły, zawsze tu, tu właśnie...

— Jakie rzeczy?

— To było jeszcze za najlepszych czasów cioci. Niedługo po odkryciu, no, po odkryciu mizrakich. Dowiedziałam się o tym grubo, grubo później, bo przecież zanim ciocia mnie przygarnęła, wychowywałam się na prowincji. Dowiedziałam się...

Przerwała. Zachłysnęła się. Patrzyła na mnie szklanym wzrokiem, jakby mnie tu nie było. Jak gdyby widziała coś, czego ja nie byłem w stanie dostrzec.

— Dziewczyno, opanuj się. O co chodzi? O czym ty mówisz?

Znałem ten gabinet doskonale. Stare, ciężkie meble nadawały mu wyraz szczególnej powagi. Ruchome przepierzenie, rodzaj kurtyny, oddzielającej to dostojne pomieszczenie od błękitnej salki laboratoryjnej, również doskonale mi znanej,

było uniesione do góry i zrolowane aż pod sufitem. Wszystko pokrywała warstwa kurzu. Rozejrzałem się, ani jednego robotasprzątacza, chociaż co najmniej dwa krzątają się zawsze po dużym mieszkaniu. Stara rezydencja przedstawiała obraz zaniedbania i upadku.

Zoja oddychała jeszcze gwałtowniej, łapiąc powietrze. Wreszcie powiedziała:

— Mówiono, że podczas seansów, które ciocia organizowała, pojawił się jej przybrany syn. Znałeś go przecież. Musiałeś go poznać. Od śmierci cioci nie widziałam go. Pewnie uciekł.

— Uciekł?

— A potem, potem podsłuchałam, jak ciocia rozmawia z mistrzem Anzelmem. No, z Konseliuszem, o pochodzeniu Jonisa. Dziwnym pochodzeniu.

Spojrzała w kąt pokoju, gdzie mizraki tkwiły spokojnie. Ich wypustki były tu cieniutkie, nikłe, prawie w ogóle

niezauważalne. Mówiła dalej. Plątała się w swych wspomnieniach, opętana jakąś niezrozumiałą dla mnie zgrozą. Niczego nie umiała wyjaśnić. Nie słuchała moich pytań. Doszedłem do wniosku, że spotkanie z Jonisem wywołało w niej tak silny szok, iż, zamiast w domu, powinna się była znaleźć jak najszybciej w jakiejś lecznicy. Przez chwilę jeszcze próbowałem ją przywołać do przytomności. Nie potrafiła odpowiedzieć na żadne konkretne pytanie, chciała jak gdyby coś mi wyznać, ale w ostatnim momencie wstrzymywała się, jąkała i w końcu milkła. Potem znowu zaczynała. Stawało się to nie do zniesienia. Żal mi jej było, ale równocześnie czułem się mocno poirytowany. Ciotka Zoi należała do istot szczerych, otwartych, a przy tym, nawet w swym fantazjowaniu, bardzo rzeczowych. Nie podobała mi się ta dziewczyna. Przelatywały mi przez głowę różnorodne tłumaczenia przyczyny jej stanu: zazdrość o Jonisa,

podejrzenia kierowane pod jego adresem, może nawet o spowodowanie śmierci Konseliusza.

— Jonis od dawna się w tobie kocha? — zapytałem znienacka, ostro, jakby na śledztwie. Te bajdurzenia o tajemniczym pochodzeniu Jonisa i wychowanka profesor Mizraki musiały mieć jakiś uczuciowy, bardzo osobisty podkład.

— To nie żadna miłość. Nienawiść. Dzika nienawiść.

— I z nienawiści klęczałby przed tobą, Zoju, w dodatku w mojej obecności?

— On, on to robi z zazdrości.

Więc jednak zazdrość — pomyślałem.

— O kogo jest zazdrosny?

Mogła to być, na przykład, zawiść zawodowa. Oboje byli utalentowanymi muzykami, oboje stawali do tych samych konkursów. Tak przypuszczałem.

Znowu nieprzytomne spojrzenie. Udawała, czy naprawdę nie dotarło do niej

pytanie.

— Dlaczego zmieniasz ciągle temat?

— Ja zmieniam, dobre sobie, ja, wujku, ja chciałam ci co innego opowiedzieć. Otóż Jonis i Gaston pojawili się w naszym środowisku nagle i niespodziewanie. Tak jest. To prawda. To musi być prawda — wykrzyknęła ostatnie zdanie.

Usłyszałem teraz rwaną opowieść o tym, jak to Zoja — podlotek podpatrzyła podczas jakiegoś naukowego zebrania w tym gabinecie coś na kształt wywoływania duchów.

Ciemności, rozjaśnienia ścian w laboratorium i wychodzące z tamtego pomieszczenia jak z kotła postaci. Przysięgłaby, że jedną z nich był Jonis. Dobiegł do niej wówczas przez lekko uchylone drzwi komentarz ciotki:

— Gdyby nie moje mizraki, nic by z tego nie wyszło.

— I nie podkusiło cię, żeby tam wejść?

Nie zwyciężyła dziewczęca ciekawość dokładniejszego obejrzenia tych cudowności? Nigdy się to już potem nie powtórzyło?

Znowu szklane spojrzenie.

— Zoja! — potrząsałem przez dobrą chwilę jej ramieniem. — Zoja, co z tobą? — Wpatrzona w jasny błękit laboratorium, odcinający się od starych brązów tego gabinetu, robiła wrażenie zahipnotyzowanej.

W końcu popatrzyła przytomniej.

— Pytałam cioci, wyśmiała mnie. Powiedziała: „szukaj, dotykaj”. Rechotała tym swoim ciężkim, rubasznym śmiechem. Ale wkrótce potem ciotka wyjechała. Wyjechała na spotkanie z profesorem Archanem, no wiesz, wujku, znasz go przecież lepiej niż ja.

Archan był właśnie tym zaprzyjaźnionym z Anzelmem Konseliuszem uczonym, astrobiologiem i kosmonautą, rządzącym Bazą Księżycową. Wysoki, chudy ze skośnymi oczami i czarną opadającą na czoło

czupryną, przypominał operowego demona. Anzelm nieraz mu podśpiewywał: „A sam czart prowadzi bal, prowadzi bal”.

Starał się być tajemniczy i sarkastyczny, umiał nawet przyjaciół trzymać na dystans. Ja stałem się dla niego, swego czasu, obiektem kpin z powodu aparatu do wykrywania myśli, który kiedyś skonstruowałem. Zachowywał się wówczas tak, jakby celowo chciał zniszczyć sympatię, jaką go początkowo darzyłem. Mimo tych doświadczeń, wspominanych z przykrością, postanowiłem, właśnie teraz, znowu polecieć do niego tam, do Bazy Księżycowej. To była zresztą także jedna z mych pierwszych refleksji po zgonie Anzelma. Czegóż szukałem u tego człowieka, którego rozgryźć nie potrafiłem, a który poznał mnie na wylot, wyczuł wszystkie słabe miejsca mej wiedzy i charakteru i przez to drwił sobie ze mnie.

Czy wyjaśni coś ucieczka od rzeczywistości przerastającej możliwość jej

interpretacji?

Mój trzeźwy umysł nie znosił ani wydarzeń, ani zjawisk o niejasnym pochodzeniu. Wolę okruchy księżycowych krajobrazów, twarde i namacalne, wolę sarkazm i kpinę tego operowego demona niż ziemskie sprawy, które nagle mnie osaczyły, zamgliły czystość spojrzenia.

Tak, czułem się ciągle jakby otoczony mgłą, jakby pozbawiony swej woli. Poza tym, i to mogło być naprawdę odkrywcze, Archan — astrobiolog i kosmonauta, miał podobno zupełnie odmienny pogląd na pochodzenie i rolę mizrakich niż ich odkrywczyni. Napisał ostatnio — jak mówiło się, używając tradycyjnych terminów, o magnetycznym zapisie w naszych czasach — jakiś wielki artykuł na ten temat. Nie przesłuchałem jeszcze tego tekstu, nie widziałem dowodów, które uczony podobno zgromadził i przedstawił na holofilmach. Pracy nie powielono dla naukowych bibliotek,

ponieważ mocno została skrytykowana. W krytyce tej przodował zespół Centrum Życia Pozaziemskiego, którym po zmarłej tragicznie Rilli kierował profesor Jan Nalaga, jeszcze niedawno zupełnie odsunięty od głównego nurtu badań przez swą przełożoną.

— Zoja — powiedziałem niemal błagalnie. — Proszę się wziąć w garść. Wybierz się jutro do mnie. Moja maszyna odgadująca myśli jest już sprawna. Przyniesie ci ulgę.

Kiedy żegnałem się z Zoją, myślami byłem już u Archana, już roztrząsałem z nim tutejsze zagadki.

Wydawała się zawiedziona z powodu takiego zakończenia mej wizyty. Szybko ją pożegnałem. Jeszcze w drzwiach chciała mi coś gwałtownie wytłumaczyć. Nie słuchałem jej uważnie. Plotła.

Nie pytałem już, o jakie chodzi niebezpieczeństwo i komu ono grozi. Gdy zastanawiałem się później nad całym splotem wypadków, doszedłem do wniosku,

że łączenie tych wydarzeń w jeden logiczny ciąg byłoby nonsensem. Był to zapewne, jak to się zdarza najczęściej, zbieg wielu okoliczności, powodowanych różnymi namiętnościami. Z wszystkiego tylko jedno zdawało się skłaniać do podejrzeń, jakoś je usprawiedliwiać.

Jeszcze raz przypomniałem sobie moment swego wejścia do salonu Anzelma Konseliusza. Dojrzałem wówczas wyraźnie, w świetle dopalających się świec, nagłe cofanie się obłych ramion mizrakich z klawiatury, na której srebrzyły się w blasku padającym od świecznika szpakowate włosy pianisty. To nie mogło być złudzenie. Przypomniałem sobie także, co mówiła mi o tych stworach ich odkrywczyni:

— One jak chcą, potrafią działać w mgnieniu oka, jeśli tylko by zechciały. Lecz one nie chcą.

Wydało mi się teraz, że właśnie zechciały. Jeśli naprawdę były myślącymi istotami z

innego świata, musiały mieć swój cel w rozplenieniu się na naszej Ziemi, w stopniowym wypełzywaniu do wszystkich jej zakątków, nawet najmarniejszych. Dotychczas traktowano je jak mrówki faraona, jak owady, dbające wyłącznie o przedłużenie swej parszywej, jakże różnej od ludzkiej, egzystencji. Sądzono, iż niczego więcej od nas nie chcą, niż jakiegoś mizernego udziału w dostępie do okruchów żywności, czy ich namiastek lub cząstek — jakichś tam składników tłuszczów, węglowodanów czy białek, może siarki, krzemu lub metali. Ich ciała w zadziwiający sposób zmieniały skład chemiczny, dostosowywały się pokornie do możliwości, jakie stworzyło im zdominowane przez człowieka życie ziemskie.

Mizraki regenerowały się ciągle, czerpiąc siły witalne z tego, co napotykały na swej drodze. Było to dla nas Ziemian jakieś bardzo roślinne, prymitywne. Ludzkość tych czasów

przyzwyczajono z trudem do posługiwania się hodowanymi jak zwierzęta przedmiotami codziennego użytku i żywymi robotami. Mizraki wydawały się przy ludzkich tworach, zarówno mechanicznych jak i tych hodowlanych, czymś znacznie mniej znaczącym. Wbrew supozycjom profesor Rilli nic nie świadczyło o ich wyższym intelekcie.

To, co mówiła, miało charakter fantazji, a najwyżej bardzo wysmakowanej i wydumanej spekulacji naukowej: hipotezy, którą trzeba było dopiero udowodnić. Zanim znalazły się te dowody, uczona zginęła.

Zginęła Rilla. W nie wyjaśnionych okolicznościach śmierć zaskoczyła mistrza Anzelma Konseliusza. Niedawno słyszałem o zgonie pięćdziesięcioletniego sławnego malarza TaleggaTałagi, a w Paryżu odbył się kilka dni temu pogrzeb laureata Nobla, Gwidona Prymowicza.

Zaśmiałem się z siebie. I to mają być poszlaki. Połączyłem się jednak natychmiast

z CIS-em, Centralą Informacji Statystycznej. Jest to placówka międzynarodowa, oferująca zwykłemu śmiertelnikowi erudycję geniusza. Jej badania i materiały służą przede wszystkim setkom i tysiącom uczonych. Powiada się nawet, nie bez racji, choć złośliwie, że CIS pracuje za naukowców, że ich wspaniale wyręcza, że przyszły świat robotów i hodowanych przyrządów oraz przedmiotów stanie się nareszcie światem bez ludzi nauki. Łącza centrali wykonane z cienkich jak włosy włókien szklanych, po których pędzą miliony świetlnych informacji, są jakby siatką nałożoną na czaszę naszej planety.

Miałem w domu aparat, który pozwalał mi na natychmiastowy kontakt z CIS-em.

Poprosiłem o informację o statystykach zgonów w ostatnim okresie. Czy było ich więcej niż dawniej, czy nie wzrosła śmiertelność wśród ludzi nauki oraz artystów wszelkiego kalibru?

Jeśli mizraki to istoty rozumne, które po opanowaniu wszystkich przyczółków na naszej planecie zaczynają atakować ludzkość, to powinny rozpocząć ten atak od osób szczególnie zasłużonych, odgrywających wybitne role, role inspiratorskie. Tak sam bym przecież zrobił. Najpierw spróbował usunąć intelektualistów, dopiero w następnej kolejności inne ważne osoby.

Moje historyczne wykształcenie podsuwało mi tego rodzaju koncepcje. Ach, to od wieków pokutujące przekonanie, że historia *magistra vitae est!*

Przekazałem prośbę i czekałem cierpliwie na odpowiedź, ale już zaraz sam siebie zacząłem wyśmiewać. Bo po pierwsze, czy ludzie kultury rzeczywiście decydują o losach tego globu, a po drugie, jeśli mizraki faktycznie atakują, to...

Delikatny sygnał dźwiękowy zawiadamiał o nadejściu odpowiedzi.

— Tak, słucham — zawołałem, chociaż

gdybym nawet nie słuchał, tekst i tak zostałby nagrany, a odpowiednie dokumenty odfotografowane i przygotowane do odtworzenia w każdej chwili.

— No, słucham — dodałem już niecierpliwie, kiedy aparat po zapowiedzi zamilknął.

— Nie wzrósł absolutnie odsetek śmiertelności w okresie, którego dotyczyło pytanie.

Oto dane. Oto wykresy.

Ekranik ilustrował dokładnie sytuację w każdym cywilizowanym zakątku świata. Odkąd udało się wykryć i rozpowszechnić znakomitą serię leków antyrakowych, przeciętna długość życia podskoczyła o siedem do ośmiu lat. Skuteczna walka z chorobami serca i naczyń wieńcowych dodała do tej przedłużonej przeciętnej jeszcze trzy lata. To był cały zysk. Dla jednostek wielki, dla ludzkości porażka. Myślano przecież, że po usunięciu głównych przyczyn umierania

pozostanie nagie życie z całą jego „naturalną” długością, wykoncypowaną niegdyś tak cudownie przez Buffona, który mówił, że kot rośnie półtora roku, żyje osiem do dziesięciu lat, koń wzrasta lat pięć, a żyje do dwudziestki lub trzydziestki, dorastanie wołu trwa cztery lata, jego życie dwadzieścia. To znaczy, że się żyć powinno pięć do siedmiu razy dłużej niż trwa dorastanie. Więc człowiek mógłby żyć do stu a nawet stu pięćdziesięciu lat.

Tymczasem średnio żyjemy do osiemdziesiątki. Jedni nadal umierają wcześnie, nazbyt młodo, inni natomiast giną późno po długim okresie zniedołężnienia lub zamarli w paraliżu.

Skąd wziął odwagę słynny gerontolog Danielli, działający przed stu laty, w epoce, kiedy poznawano dopiero kod dziedziczny i rozpoczynano we wnętrzach zwierzęcych i ludzkich ciał drastyczną żonglerkę inżynierii molekularnej, żeby powiedzieć, iż długość

życia to przypadek, obciążenie ewolucyjne, które mamy prawo uleczyć. Minął wiek i dotąd nie ma na to obciążenie sposobu.

— Procentów śmiertelności wśród intelektualistów nie bada się — informował aparat.

— Nigdy się nie badało. To zawsze była sfera anegdot literackich — ciągnął ten piekielnie inteligentny aparat. — Król Kserkses umarł ze śmiechu, Sofoklesa zabił aplauz jego publiczności, Leibniz zginął z wrażenia wywołanego odkryciem fortuny w swoim łóżku.

— Dość — wykrzyknąłem z wściekłością.

Aparat posłusznie zamilkł.

Prawdziwi władcy świata, ludzie nauki i sztuki, społeczeństwo kocha ich lub nienawidzi, plotkuje na ich temat, zachwyca się nimi lub potępia, wynosi i zwala. Ale czy ich kto nie unicestwia, to już nikogo specjalnie nie interesuje.

Śmiałem się ze swojej naiwności także i

dlatego, że mizraki, gdyby faktycznie atakowały, opanowałyby przede wszystkim wszelkie źródła informacji. Jeśli istotnie są mądre, inteligentne, jak twierdziła ich odkrywczyni, kształtowałyby je na swoją modłę.

Usłyszałem hałas koło drzwi wejściowych. Moje stare mieszkanie pozbawione było, w przeciwieństwie do apartamentów w nowych domach, urządzeń identyfikacyjnych. Ktoś po prostu pragnął się do mnie na gwałt dostać i walił w drzwi wejściowe.

Był to Jonis.

## III

Walił w drzwi, lecz kiedy stanął przede mną, bardzo zdziwionym tą nagłą i nie zapowiedzianą wizytą, twarz mu nie drgnęła. Z nieznośną dawną układnością przywitał mnie i, jak gdyby jego wyznanie było rzeczą najważniejszą i najoczywistszą, oświadczył

zaraz gwałtownie:

— Kocham Zoję. Złożyłem tego dowody. Żyć bez niej nie potrafię. Proszę mi nie przerywać. Muszę wszystko powiedzieć. Proszę.

— Czekam więc. Mów, Jonis.

Powiedziałem to machinalnie. W gruncie rzeczy to ja straciłem tego dnia równowagę.

Żenowały mnie wyznania Zoi, jeszcze bardziej czułem się zażenowany bezceremonialnymi oświadczynami Jonisa. Nie nadawałem się absolutnie na pośrednika w sprawach sercowych.

— Tak, więc kocham Zoję. Od dawna ją kocham, ale ona, po pierwszym okresie odwzajemniania mi moich względów, moich uczuć — poprawił — ona...

Zrobiłem ręką taki ruch, jakbym mu chciał zatkać usta.

Bardzo mocno, z niespodziewaną siłą, swoją dłonią ujął moją rękę i potrząsając nią gwałtownie zawołał:

— Muszę to powiedzieć, muszę, może zresztą już pan to wie, stary człowieku.

— Niczego nie wiem, Jonis. Proszę mówić rzeczowo. Czy to ma związek ze śmiercią Anzelma Konseliusza?

Milczał. Nie chciał już mówić.

— Jonis — zawołałem. — Boisz się? Czego, kogo się boisz? Kogo boi się Zoja?

Zareagował gwałtownie:

— Najbardziej boję się siebie. I żałuję, że nie zabiłem Anzelma Konseliusza, chociaż go nienawidziłem i nienawidzę dalej.

— Czy zechcesz wreszcie porozmawiać ze mną szczerze? Pogadajmy ze sobą jak dwaj dojrzali mężczyźni.

Przerwałem, bo spojrzał na mnie z tym swoim dawnym kpiarskim i chłodnym uśmiechem. Tak, już znowu był spokojny, a przecież przed chwilą zdawało się, że kipi jak wulkan.

Czy w rzeczywistości był człowiekiem opanowanym i pełnym wewnętrznego

spokoju, który czasem tylko ulegał naporowi pasji? Czy też kipiał nieustannie i tylko całym wysiłkiem woli starał się to tłumić? Co z tego, co o nim teraz myślałem, pasowało do dawnej, znanej mi postaci Jonisa Broczisa, pupilka Anzelma. Gdzie podział się genialny chłopiec, którego nieźle przecież znałem?

— Nie jestem żadnym zwykłym mężczyzną. Jestem mizrakim.

To mną wstrząsnęło. Myślałem, że zwariował.

— To znaczy?

— Znaczy tylko, iż wiem o tym, że jestem mizrakim. Dlatego nie mogłem zabić Anzelma Konseliusza. I przez to czuję się, jakbym pękł wewnętrznie, jakbym rozdzielił się na dwie istoty, jedną ludzką, drugą pokrewną tym obłym cielskom. To nie do zniesienia. Tak chciałem, żeby Konseliusz zginął i nie mogłem sam tego zrobić. Dlaczego tego nie zrobiłem? — powtórzył zamyślony, a w głosie jego nie było ani

krzyku, ani rozpaczy.

— Skąd wiesz, żeś mizraki?

Wpatrywałem się w obłe cielska rozwalone leniwie po kątach, jak gdyby martwe.

Pragnąłem usłyszeć ich futrzany szelest, zobaczyć, jak z nich gęstym deszczem padają iskry.

Ach, to gra wyobraźni. Jonis był więc szaleńcem, czy opanowany amokiem miłosnym, nie panował nad wyobraźnią. Podejrzewałem, że ktoś podpowiedział mu legendę o rzekomym jego pochodzeniu. Ktoś, komu zależało na Zoi. Mój Może, skomplikowane stawało się naiwnie proste. Uspokoiłem się.

— No, powiedz, skąd wiesz, że jesteś mizrakim? Na czym to polega?

— Anzelm Konseliusz mi to zdradził. Zdradził to także Zoi. I za to go znienawidziłem.

Ale jestem mizrakim, to prawda. Oni to

potwierdzili.

— Jacy oni?

Znowu nie chciał mówić. Żadne prośby, żadne pytania nie zdołały wydobyć z niego ani słowa. Zaciął się. Dopiero po dłuższej chwili podszedł nagle do pianina, starego pleyela tkwiącego bezużytecznie w kącie mego saloniku. Nigdy nie używałem tego instrumentu, odkąd się przekonałem, że moja muzykalność i moje umiejętności w porównaniu z talentem Konseliusza czy Jonisa równały się niemal zeru. Nie znosiłem nigdy amatorszczyzny. Gdybym uprawiał muzykę, musiałby to być profesjonalizm. Nie wiem dokładnie dlaczego, ale pogardzam amatorami, hobbystami wszelkiej maści. Może dlatego, że jest to tworzenie oszustwa, małpowanie doskonałości, zabijanie własnego czasu, własnych szans życiowych. Co innego słuchanie muzyki, jej wielbienie. To, jak sądziłem, zawsze wzbogacało moje wnętrze, dodawało moim uczuciom

sentymentalizmu, którego mi brakowało, a umysłowi wyobraźni.

— Muzyka sztukuje moją zbyt krótką, zbyt nędzną duszę — powiedziałem kiedyś Konseliuszowi. Jemu bardzo spodobały się te słowa, zwłaszcza ich staroświeckość, co mi nie bez dozy złośliwości oświadczył. Tak, rzeczywiście, był zawsze trochę złośliwy i przekorny.

Znowu pomyślałem o nim nie najlepiej.

Jonis uderzył w klawiaturę, wydobył z niej kilka akordów. Odsunął się od pianina i powiedział:

— Mój talent to moje granie. Ta niby genialność, to po mizrakich. Spadek po ich miłości do wszystkiego, co ludzkie. Od dawna, od zapamiętanych fragmentarycznie czasów chłopięcych myślałem, że będę niezwykłym muzykiem, człowiekiem, który gra jak maszyna licząca. Rozumiesz, stary człowieku, ten pomysł? Jak maszyna licząca, bezbłędnie. Człowiek jak maszyna. I do tego

dążyłem, na tym polegała moja sztuka aż do chwili, gdy Konseliusz...

— Nie pamiętasz naprawdę niczego z dzieciństwa? — przerwałem, bo to mnie bardziej uderzyło, niż te jego sentymentalne bajania.

— Do czasu rozmowy z Anzelmem Konseliuszem zdawało mi się, że pamiętałem dzieciństwo. Jakieś pojedyncze sytuacje, jakieś chodzenie boso po podłodze, twarz matki drżącej o moje zdrowie. Ale on mi wyjaśnił, że to legenda, którą we mnie tak długo wpajał, aż w nią uwierzyłem. W rzeczywistości nie miałem żadnego dzieciństwa, bo nie istniałem. Powiedział mi: „Jesteś mizrakim. Powstałeś z nich i z moich marzeń". I wskazał na obłe cielska w salonie, tam u nas, gdzie potem zginął.

— Uwierzyłeś w tę bzdurę? Był pewnie zazdrosny o twoją sztukę, potem o Zoję. Chciał cię poniżyć. Jak mogłeś...

— Prawda, że chciał mnie poniżyć. Ale nie

kłamał.

— Kiedy ci to powiedział?

— Gdy na dobre związał się z Zoją.

— Jaką masz pewność, że to nie mistyfikacja?

— Niestety, mam pewność. Jestem mizrakim. Pochodzę z marzeń Anzelma i...

Pokazał dłonią na martwe, nieruchome sploty w kącie.

— Jak to jest możliwe? Co to znaczy być mizrakim?

— Chcesz wszystko od razu wiedzieć. Może masz rację — odparł znowu w zamyśleniu.

— Otóż nie wiem dokładnie, co to znaczy być mizrakim. Właściwie w ogóle tego nie wiem.

Tego się nie czuje. Chociaż może, czasami. Oni także szukają tej tajemnicy.

— No, wyduśże wreszcie, kto?

Wydało mi się, że rozszyfruję całą tę pełną meandrów sytuację, w którą zostałem

wplątany, a która kosztowała życie Anzelma Konseliusza. A może wpoił ktoś kiedyś jakimś szaleńcom albo członkom sekty, że pochodzą od mizrakich, że są istotami pozaziemskimi.

Kto wie, czy nie była to robota Rilli, ona przecież lubiła takie śmiałe i bezpodstawne hipotezy.

— Mów, kto! — powtórzyłem.

— Gdybym powiedział, stałbym się zwykłym parszywym zdrajcą. Gdybym ci nic nie powiedział, naraziłbym Zoję. Ją trzeba ratować. Dlatego tu jestem.

Znowu załamał się jego spokój i wróciło poprzednie podniecenie.

— Więc mów przynajmniej przed kim ratować.

I wtedy wydało mi się, że jakiś prąd idzie od splotów z kąta saloniku, że słyszę tarcie iskier o futro, o skórę mizrakich i widzę cienki deszcz błysków.

Jeśli był mizrakim to musiał to silniej

odczuć niż ja.

— Ja ją uratuję — krzyknął. — Tylko ja mogę ją uratować. Ty, stary człowieku, wszystko zepsujesz, wszystko, jak każdy człowiek.

Zerwał się z zydla przed pianinem i w mgnieniu oka zniknął mi z pola widzenia.

Dopiero teraz zacząłem trochę wierzyć, że tkwi jakaś zaskakująca prawda w tej legendzie o pochodzeniu niektórych ludzi od mizrakich. Dlaczego jednak Anzelm Konseliusz mówił o Jonisie, że jest człowiekiem z jego marzeń i łączył ten właśnie fakt z istnieniem obrzydlistwa, z którym się ludzie na całym świecie ciągle nie potrafili zżyć?

Wzbierała we mnie mimowoli fala niechęci do Jonisa Broczisa za jego, jak mi się wydawało, nikczemne potraktowanie dramatu Zoi. Wskazał na nią jako na kochankę Anzelma, istotę najbardziej związaną ze starym pianistą, a oczyściwszy

się z zarzutów przy pomocy dziwacznego mitu o swym pochodzeniu od mizrakich i od Anzelma (właśnie, czy tylko mitu?), wciągał ją w krąg kryminalnych podejrzeń, w ciemną matnię, gdzie każdy ruch, każde słowo zdawało się oskarżać i osaczać. Przecież ona właśnie ostatnia widziała genialnego kochanka. Sama zresztą wobec mnie się do tego przyznała. Zobaczywszy go martwego, jak twierdziła, pobiegła nieprzytomnie do magnetycznego korytarza, co musieli zauważyć sąsiedzi.

Przeprowadziłem z nimi rozmowy. Wypytywałem, drążyłem. Byli trochę przerażeni moją natarczywością. Zauważyłem, że ilekroć powtarzali swoje wrażenia z tego wieczoru, tyle razy brzmiały one nieco inaczej. Zaprosiłem ich do siebie. Skierowałem lufę mojej maszyny do wykrywania myśli na ich głowy. Była oczywiście zakamuflowana, zręcznie ukryta w kwiatach i pnących się roślinkach.

Przeglądałem potem kilkakrotnie krótki film nakręcony podczas mojej rozmowy z dwojgiem starszych ludzi, a komputer poszukiwał sensu ich myśli, starając się dociec, czy mówią prawdę i co o tej swojej prawdzie sądzą. Defilowały przede mną dziesiątki obrazów, przybliżających ich wyobrażenia, uczucia, refleksje. Praca aparatu polegała na poszukiwaniu skojarzeń w różnych obrazach, a następnie na eliminowaniu najdalszych związków. W ten trudny sposób dochodziło się do jedynej wizji.

Nie było wątpliwości, ci świadkowie posądzali Zoję. Stwierdziłem natychmiast, że takie podejrzenia zrodziły się dopiero po wiadomości o śmierci Anzelma Konseliusza. Fakty te jednak uległy przemieszaniu w ich umysłach i wydawało im się, że zawsze podejrzewali Zoję.

Raz opowiadali, że biegła. Innym razem, że była półnaga, jeszcze innym, że szczelnie

owijała się szalem. Willę Anzelma dzielił spory kawałek drogi od windy przenoszącej podróżnych na chodnik magnetyczny.

— Słaniała się na nogach.

— Tak, była jakby pijana.

— Całkiem naga.

— Zawinięta w płaszcz.

— W szal.

— Z rozwianym włosem.

— W szczelnym jak hełm kapeluszu.

Jonis nie miał pojęcia, że skierowanie podejrzenia na Zoję, co było działaniem wynikającym z zemsty za młodzieńczy, bardzo bolesny, zawód miłosny, wywoła we mnie przede wszystkim niechęć, obudzi wątpliwości. Na chłodno zacząłem się zastanawiać, jak to wszystko mogło się dziać naprawdę. Trzeźwe kalkulacje burzyła jednak następna fala jeszcze większej niechęci. To już zaczęło wyglądać na początek nienawiści i przestraszyło mnie. Z wściekłością przypominałem sobie tę niegdyś piękną,

prawie kamienną, twarz genialnego młodzieńca. Wiedziałem, że obraz ten wyostrzony uczuciem mej zazdrości tkwił we mnie od dawna, czaił się, aby teraz, gdy znalazł się pretekst, pojawić się w pełni. Wszystko to, wbrew oczywistym faktom, kazało mi brać stronę Zoi. Złapałem się na tym, że obmyślałem nawet sposób zemsty na Jonisie, poszukiwałem możliwości wymierzenia mu dotkliwej kary. Obrazy drastycznych sytuacji stawały się obsesyjne. Czułem się tak, jakby ktoś stał za mną, czuł za mnie i myślał, a także podejmował w moim imieniu decyzje.

Mimo woli odwróciłem się. Oczywiście nikogo nie było. Tylko znowu wydało mi się, że od pogmatwanych splotów mizrakich unosi się w pokoju mgiełka pełna szumu i deszczu iskierek.

Spałem, a może tylko drzemałem? Nowa fala złości zwróciła moją wyobraźnię ku tragicznemu wieczorowi w willi Anzelma

Konseliusza. Czy obydwoje młodzi byli tam jednocześnie? Jeśli zaś w wielkim salonie przebywała z Anzelmem tylko Zoja, to co się wówczas działo z Jonisem? A może było ich tam więcej? Przecież obydwoje mówili o jakichś innych, jakichś mizrakich, mając na pewno na myśli nie tylko obłe cielska z kątów pokoi. Trzeba spróbować wyświetlić tę zagadkę, skończyć z podejrzeniami. Czyżbym znajdował się pod działaniem uroku Zoi? Może Anzelm też działał pod wpływem jej uroku i dlatego nagle znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Postanowiłem za wszelką cenę sprowadzić ją do siebie, aby poddać działaniu mej maszyny. Spróbowałem się połączyć. Dopiero po jakiejś godzinie bezowocnych prób nawiązania kontaktu zobaczyłem ją na ekraniku wideofonu.

— Zoja — powiedziałem błagalnie. — Tak chciałabym z tobą pomówić. Jonis twierdzi, że grozi ci niebezpieczeństwo. Przyjedź do

mnie.

— Nie chcę o tym mówić — przerwała mi histerycznie. — Nie chcę. — Drżała, ale nie przerywała połączenia, nie wyłączyła wizji Trzymała mikrofon kurczowo, wyjęty z magnetycznego uchwytu, jakby musiała to robić, jak gdyby nie wiedziała, że można się ode mnie jednym maleńkim naciśnięciem wyłącznika zupełnie oddzielić. Uciec.

— Nie chcę cię widzieć, nie chcę — krzyknęła raz jeszcze. Wyglądała teraz tak samo jak wówczas, kiedy zwracała się w podobnych słowach do błagającego ją o litość Jonisa.

— Przyjdę do ciebie — zawołałem. — Zaraz tam będę.

— Nie przychodź. — Jej głos był przejmujący i tak proszący, jak skowyt bitego zwierzęcia. Właśnie, zwierzęcia.

— Więc nie przyjdę. Nie bój się.

Wizja została wyłączona. Ja także zamknąłem aparat. Byłem już pewny, że

Jonis ma rację, ostrzegając przed grożącym jej niebezpieczeństwem. Wiedziałem, że trzeba ją ratować.

Ale w jaki sposób, jeśli nie miałem pojęcia, kto ją prześladuje i czym jej zagraża. Przyszło mi na myśl, aby mimo wszystko tam pójść, tak, pójść i wreszcie skonfrontować swoje przypuszczenia i podejrzenia z rzeczywistością.

Już byłem przy swoich staroświeckich drzwiach, nie pilnowanych przez żadne, nawet najpodlejszego gatunku automaty, gdy usłyszałem z wideofonu charakterystyczny, melodyjny sygnał wywoławczy.

— Jestem — powiedziałem, ukazując się na wizji.

— To ja, jeszcze ja — Zoja patrzyła na mnie z ekranu swoimi jasnymi, trochę dziecinnymi oczami. — Powinnam cię była zaprosić, ale wolałabym... Wolałabym, abyś na mnie poczekał. Przyjdę do ciebie, przyjdę ci wytłumaczyć, tak wytłumaczyć, że... — głos

zaczął się rwać — że nie zabiłam Anzelma Konseliusza. Sprawdzisz to swoim aparatem. Dobrze?

Sprawdzisz?

— Jeśli tak chcesz, to oczywiście. Kiedy przyjdziesz, zaraz?

— Masz przygotowany aparat?

— To nie potrwa długo, jakieś pół godziny. — Wiedziałem, że aparat jest dawno nie używany i że za każdym razem trzeba go stroić jak instrument, podając mu program i czekając aż zdobędzie z Centralnego Instytutu Statystyki specjalnym swoim łączem, wszystkie potrzebne mu do zapamiętania informacje o człowieku, którego ma poddać badaniu.

— No, powiedzmy, że to kwestia godziny.

— Będę punktualnie za godzinę — powiedziała z trudem markując uśmiech.

Rozłączyliśmy się. Postanowiłem natychmiast działać, nie czekać na jej przyjście, tylko pójść do niej. Chciałem

zobaczyć czy tam kogoś nie ma i co ona w pełnym napięcia nastroju będzie robić przez czas, który miały mi zająć przygotowania związane z uruchomieniem aparatu. Przestawałem wierzyć, znowu jej przestałem wierzyć.

W chwilę potem szybowałem nisko nad dachami koleopterową taksówką. Nie znosiłem podróży tym pojazdem, ponieważ zawsze opłacana była ceną strachu. Podziw i przerażenie budziła ekwilibrystyka z jaką te samosterowne, pękate samolociki, pionowo startujące i lądujące, wymijały z zawrotną szybkością tysiące pojazdów, od których niebo było tak gęste, jak od chmur w czasie zbliżającej się burzy.

Te chmury pojazdów nieraz przesłaniały miasto i swymi cieniami z pewnością powodowałyby gwałtowne zaciemnienia, gdyby nie sztuczne słońca wspomagające system oświetlenia i ogrzewania Ziemi.

Zdarzały się tragiczne katastrofy.

Najczęściej ulegały im koleoptery. Ogromną ich zaletą była prędkość, jaką mogły osiągać. Głowa mi pękała, dech zatykało, choć byłem otoczony siatką ochronną, czymś w rodzaju siatkowej poduszki i na chwilę przed startem połknąłem pigułkę uspokajającą. Wszyscy, dzięki różnym pigułkom, jakoś egzystujemy. Chcemy się bawić — zażywamy pigułkę, chcemy wypoczywać — środek nasenny w pigułce, pragniemy intensywnie pracować — piguła. Nie kontrolowałem czasomierza, ale byłem pewny, że cała wyprawa trwała zaledwie kilka minut, choć odległości w naszym mieście sięgają wielu dziesiątków kilometrów.

Patrzyłem z góry na dzielnicę pękatych jak balony laboratoriów. Obok, w starych blokach, mieszkali uczeni. Stanowili wyjątkowo dobrane zbiorowisko ludzi znających na wylot wszelkie problemy biocybernetyczne. Ogromne, podłużne cygara laboratoriów chwiały się teraz lekko w

powietrzu. Nadchodziła właśnie pora rekreacji, której ten chwiejny ruch bardzo sprzyjał. Większość badaczy wypoczywała tam, w specjalnych gabinetach, albo w przypominających cienkie długie tyki, starych domach, z ogromnymi tarasami przy każdym mieszkaniu, takich jak ten, w którym przebywała Zoja. Inni bawili się w ogrodników w gęstej zieleni will, nad którymi przelatywałem wcześniej.

Za mną zostało śródmieście z przesuwającymi się wysoko chmurami pojazdów, poprzecinane dziesiątkami autostrad. Stare miasto wyglądało w tym krajobrazie wysokościowców i nieustannego ruchu jak dziecinna zabawka. Czerwieniło się, najeżone wieżami kościołów i baszt. Zawsze swojskie, ciągle najbardziej dla mnie ziemskie.

Rozsunąłem cicho na dwie strony drzwi, które podobnie jak u mnie, nie były pilnowane przez roboty. Wstrzymując

mimowoli oddech, powolutku stąpałem po miękkich jak trawa dywanach, kierując się do gabinetu Rilli. Wiedziałem, że to teraz najmilszy pokój Zoi.

Rzeczywiście, siedziała na starej, skórzanej kanapie, trzymając w dłoni maleńki aparat sterowniczy. Na ogromnym biurku, pełnym dziesiątków przedmiotów, szumiał leciutko drucik przesuwający się w kasecie magnetofonowej. Zrozumiałem od razu: starała się zetrzeć jakiś tekst. Nagle zauważyła mnie. Poderwała się gwałtownie. Nasze ręce spotkały się nad stojącym na biurku aparatem. Ileż miała siły. Pochwyciłem, wyłuskałem z jej dłoni srebrzyste puzderko, czując pod opuszkami palców jakże mi znane inicjały. Tak, to był mini-magnet Anzelma Konseliusza, w którym, jak mi opowiadał, notował w krótkich zdaniach swoje codzienne wydarzenia i przeżycia. Był to także, nieraz słyszałem jego sygnał, terminarz z

dzwonkiem, informacjami o godzinach, datach i miejscach spotkań, koncertów, nagrań.

Nasza gwałtowność rosła. Walczyliśmy w głuchym milczeniu, słysząc tylko swoje, coraz bardziej świszczące, oddechy. Z trudem udało mi się odepchnąć ją na kanapę. I wówczas, jakby przez mgłę, zobaczyłem, że Zoja chwyta ciężki przedmiot z biurka, że ten czarny i kanciasty przedmiot kieruje w stronę mojej głowy i nagle wypuszcza go z cofniętej dłoni.

Przedmiot znika w puszystym dywanie. Wszystko to potoczyło się w zwolnionym tempie, jakby na telewizyjnym filmie holograficznym, który zahamowuje swój bieg, aby widz, spragniony udziału w akcji, mógł się w nią spokojnie włączyć. Później prędkość wraca do normy i rozpoczyna się oszukańcze działanie sztuki. Zoja siedziała przede mną z rękami bezwładnie opuszczonymi wzdłuż ciała. Wyglądała jak

lalka z wosku.

— Ach, jak chciałam umrzeć.

I po chwili dodała:

— Byłabym znowu, byłabym znowu próbowała.

Teraz dopiero zaczął się płacz. Fala wzburzenia opadła. Widok dziewczyny rozczulił mnie, objąłem ją i w tej pozycji spędziliśmy parę chwil. Potem sprawdziłem, czy mam w kieszeni srebrzystą papierośnicę magnetofonu Anzelma. Uspokojony zapytałem:

— Dlaczego chciałaś to zniszczyć?

— Niczego nie zrozumiesz.

— Postaram się zrozumieć.

— Boję się. Chciałabym nie żyć. Boję się — dodała szybko. — Siebie się boję.

Tak samo mówił Jonis. Coraz silniej utwierdzałem się w przekonaniu, że Zoja miała udział w śmierci Anzelma, ale uparcie broniłem się przed myślą o jej winie. Nie chciałem, aby właśnie ona była winna. Teraz

należało jednak tak rozgrywać całą sprawę, żeby nie wzbudzać w Zoi podejrzeń. Musiałem ją ratować lub przynajmniej stwarzać pozory ratunku, nie mogłem pozwolić na to, aby pogrążyła się w rozpaczy. Myśląc tak, uświadomiłem sobie, że jednak bardzo zależy mi na wykryciu prawdy, znacznie bardziej niż na losie tej dziewczyny. Nasze własne plany i zamiary, nasze pasje, mówiłem sobie z wyrzutem, prawie zawsze odsuwają na dalszy plan przeżycia drugiego człowieka, nawet gdy znajduje się on bardzo blisko, gdy jest kimś bliskim.

Objęła mnie, przytuliła się bez słowa. Wierzyła w swój czar, któremu przecież uległ tak wspaniały człowiek, jakim był mój przyjaciel. Czy robiła to wszystko spontanicznie? Gdy mnie tak obejmowała i tuliła, zdołałem ukradkiem pochwycić jej wystraszone spojrzenie.

Patrzyła na rząd okien wychodzących na taras.

— Chodźmy tam — powiedziałem. Korciło mnie, żeby wyjść na ten taras.

— Przecież nie będziemy tego tutaj zaraz słuchali — dodałem miękko. — Przyrzekam, że nagranie przesłuchamy kiedy indziej, gdy będzie po temu lepsza okazja.

— Pragniesz za wszelką cenę prawdy — odparła nie patrząc mi w oczy. Znowu się przytuliła.

— Opowiem ci wszystko bez twojego aparatu. Posłuchaj — mówiła cicho — domyślam się, co Jonis ci powiedział. To wszystko prawda. — Znowu spojrzała w kierunku tarasu.

Wziąłem ją za rękę i otworzyłem drzwi. Buchnęło świeże, chłodne powietrze. Taras był pusty. Spojrzała na czasomierz.

— Opowiem ci, co wiem. Krótko, ale ci opowiem. Tylko mi obiecaj, że jak cię poproszę, to natychmiast stąd wyjdziesz. Wyjdziesz stąd szybko i... zaczekasz na mnie u siebie.

Proszę.

— Obiecuję.

Staliśmy na tarasie, skąd rozciągał się rozległy widok. Patrząc nań uświadomiłem sobie, jak rzadko opuszczam centrum miasta, jak przyzwyczaiłem się do krajobrazu starych domów, jak głęboko tkwię w tej naszpikowanej ludźmi substancji miejskiej. Nawet gdy muszę wyjechać w jakąś dalszą podróż, zagłębiam się w lekturze, albo z kimś tak zawzięcie dyskutuję, że nie widzę otoczenia. Tłumaczę się zwykle jednym zdaniem:

— Nie znoszę pleneru, bo nie ma on już w sobie nic naturalnego.

A tu tymczasem za ciemnymi rzędami balonowych laboratoriów opuszczało się właśnie prawdziwe, czerwone słońce, zwiastując rychły wieczór. Jednocześnie w dyskretnym świetle sztucznych słońc kołysały się w oddali wiszące pola i ogrody, ułożone na wzór półek — jedne nad drugimi.

Pod tym wszystkim, w zupełnym już prawie cieniu, tkwiły setki malutkich will, podobne stąd do zbioru różnokolorowych i różnokształtnych kamieni. Dzielnicę will przecinały ścieżki autostrad tak zatłoczonych, iż wyglądało, jak gdyby ich cienkie wężowe ciała nieustannie pełzły całymi pękami aż pod horyzont.

Patrzyłem na to i dostrzegałem piękno ziemskiego zachodu. Nasycałem się zielonością ziemskich łąk i ogrodów. Cieszył mnie też bardzo ten ruch na autostradach, jakże w gruncie rzeczy tradycyjny, jakże typowo ziemski. Stałem i patrzyłem, słuchając jednocześnie urywanej wypowiedzi Zoi.

Mówiła mi, jak potężne wrażenie wywarło na niej poznanie Jonisa. Przyszedł pewnego dnia do jej ciotki wraz z Anzelmem Konseliuszem. Doznała wtedy nagle przemożnej chęci widzenia go odtąd zawsze, bez przerwy. A tymczasem on wówczas ciągle

wychodził, znikał.

Dopiero późno wieczorem zagrali po kolei: ona, Jonis i Anzelm. Pojęła, że w muzyce nikt nigdy temu jasnemu chłopcu nie sprosta.

— Jego gra wprawiła mnie w zupełne oszołomienie. Wydało mi się, że poznałam jakiegoś bożka, co tam bożka, boga muzyki, i że istnieje dla mnie tylko jedna droga, jeden cel: być z nim, służyć mu, kochać go.

Anzelm, który dziewczynę znał od najmłodszych lat i któremu zapewne bardzo się spodobała w swej jakże świeżej dorosłości, musiał niewątpliwie zorientować się w sytuacji.

Znacznie później, kiedy już ze sobą byli razem, przyznał się Zoi do tego. Oczarowanie Jonisem Broczisem uznał za sygnał dla siebie.

— Tak mi to później określił — zwierzała się.

— Za sygnał czego? — zapytałem

odrywając wzrok od swojskiego krajobrazu miejskiego. Ze wstrętem spojrzałem na stojące na tarasie żywe krzesła i stoły. Był to okres nieśmiałego wprowadzania do powszechnego użytku roślino-zwierząt laboratoryjnych, wyhodowanych na kształt różnego rodzaju przedmiotów, a także na rodzaj domowe; służby, zastępującej narzędzia. W naszych czasach chciano się tym sposobem przeciwstawić automatom, osądzając je jako coś niższego od istot naturalnych. Głoszono nowe możliwości powrotu do natury. Była to, o zgrozo, natura stwarzana przez współczesną naukę.

Na razie tylko nieliczni decydowali się na obcowanie z żywymi, służebnymi istotami, zbudowanymi w specjalnych wytwórniach doświadczalnych. Myśl o jedzeniu na żywych talerzach, czy o siadaniu na żywych krzesłach wywoływała we mnie odrazę. Nie mogłem zrozumieć, jak to możliwe, że kiedyś dosiadano koni i wielbłądów, że wojsko

Hannibala na słoniach jechało na podbój stolicy ówczesnego świata.

Wydawało mi się, że Zoja w tej chwili już całkowicie się uspokoiła. Przerwała jednak swe zwierzenia.

— A więc czego to miał być sygnał — powtórzyłem.

— Dał mi do zrozumienia, żebym była jego, tak przynajmniej to zrozumiałam, kiedy mi o tym później opowiadał.

Nieco inaczej te sprawy osądzałem. Zachwyt dziewczyny, wzbudzony nagłym zetknięciem się z osobowością Jonisa, która i Anzelma frapowała, ubódł starego donżuana. Zapragnął zapewne pokazać na co go jeszcze stać. Cóż, była to całkiem niezła gra: on przeciwko młodzieńcowi w walce o Zoję. I to nie na polu muzyki. Doskonale się przecież orientował, w jakim stopniu ustępuje Jonisowi w fortepianowej wirtuozerii.

Nie odpowiadał mi absolutnie ten rodzaj zemsty, ta droga zawiści, którą sobie obrał

mój Anzelm. W ogóle wszelkie przejawy mściwości uważałem za manifestację najniższych uczuć, lecz przecież nigdy nie obserwowałem w mym przyjacielu jakichś zwierzęcych odruchów, czegoś, co mógłbym uważać za przesadnie naturalne. Może tylko jego pasja muzyczna miała charakter zbyt pierwotnego, czasem nieokrzesanego instynktu. W większości był to już jednak instynkt ugładzony, oswojony, wysublimowany. Anzelm, pełen typowo ludzkiej przewrotności, każde drgnienie uczuć filtrował niezawodnie swym praktycznym, ale otwartym umysłem.

Byłem więc za tym, co w mym przyjacielu pierwotne, co w nim i w nas wszystkich zwierzęce, czy też za coraz skuteczniej wypierającą tę naturalność dominacją wytworów naszego intelektu? Jakież dziwactwa skłoniły Anzelma do tej przeklętej rywalizacji z Jonisem.

Może niezbyt sprawiedliwie stawiam tyle

zarzutów Anzelmowi — mitygowałem się. Z opowiadania Zoi wynikało przecież jedynie, iż on chciał zwycięstwem nad młodszym wirtuozem, lecz zwycięstwem miłosnym, dodać sobie otuchy, pokrzepić zwątpienie, które od dawna musiało go drążyć.

Najpierw starał się w ogóle nie ingerować w spotkania młodych, których zresztą ona była inicjatorką. Potrafiła zawsze znaleźć dobrą okazję i umiała stworzyć nastrój łamiący chłód chłopca. Miałem teraz zresztą wszelkie powody, aby sądzić, że młody geniusz świadomie przybrał maskę chłodu, a koncentracja na pracy odciągała go skutecznie od powszednich spraw życiowych. Od tych, jakie uważał za miałkie.

Doszło do pierwszych wielkich zbliżeń. Zoja relacjonowała to bardzo szybko i nawet dość oględnie. Nie krępowało jej jednakże opisywanie intymności. Taka postawa była dla mego pokolenia trudna do przyjęcia. Jakże mocno chroniliśmy swą intymność,

może dlatego nasze uczucia po okresie pewnej rozwiązłości obyczajowej, którą kończył się wiek dwudziesty, stały się hermetyczne i przybrały znacznie na sile. Tak, to była zapewne reakcja na tamto, co mijało.

Byliśmy także skorzy do poświęceń dla swych najbliższych. Otwartość uczuciowa młodzieży mierziła mnie, lecz słuchając zwierzeń Zoi pomyślałem: oni przeżywają w końcu to samo i tak samo jak my, tylko pewne formy ich przeżywania, jakże zresztą zewnętrzne, uległy zmianom. Oni czują mocno, jak i nasze pokolenie, tylko odrzucili opakowanie swoich uczuć.

Kto wie, czy nie bez racji?

Mówiła mi, że od pierwszej chwili zauważyła delikatne zalecanie się do niej Anzelma Konseliusza, subtelne aluzje do jej ciekawej urody, zalet umysłu, talentu. O tym z Jonisem nigdy nie rozmawiała. Nigdy nie usłyszała od niego żadnych komplementów.

— Z Jonisem byłam za pan brat, po koleżeńsku. Czułam się jego dziewczyną, a on moim chłopcem i bywało nam dobrze razem. Uciekał i powracał, uciekał i mógł nie powrócić.

Nie całkiem więc mogłam być z nim szczęśliwa. To wszystko.

Powiedziała — „to wszystko” — rozglądając się niespokojnie wokoło i ciągle zerkając ukradkiem na czasomierz. Przydawało to jej wyznaniom klimatu niepokoju i niepewności.

Unikając mego spojrzenia, dodała:

— Sprawiało mi przyjemność i imponowało, że jestem obiektem uwielbienia takiego mężczyzny i mistrza jak Anzelm. Cóż z tego, że był starszy, że grał gorzej od Jonisa, kiedy w pełni ukształtowany, dojrzały, jak wykonany już i ustawiony na piedestale pomnik, jak wydrukowana książka, stanowił dla mnie trwały i wieczny punkt odniesienia w tym płynącym nieustannie świecie. A Jonis

to sama zmienność, uosobienie dziewczęcego marzenia, które ścigałam i którego doścignąć nie umiałam. Anzelm czuł to widocznie. Przychodził do ciotki coraz częściej. Zrozumiałam prędko, iż robi to dla mnie. I... i uciekałam na randki z Jonisem.

Tak więc stary mistrz coraz rzadziej zastawał w domu siostrzenicę swej przyjaciółki.

Rilla domyślała się całej jego gry i wymówiła mu podobno dom.

— Wiesz, jak to zrobiła? — spytała mnie Zoja. — Po swojemu to zrobiła, bardzo ostro i brutalnie, wypędziła go.

Zaraz potem nastąpiło spotkanie Zoi z Anzelmem w pojeździe magnetycznym. Wypędzony, szukał kontaktu. Spotkania zaczęły się powtarzać, choć zawsze wyglądały na przypadkowe, ale z pewnością z przypadkiem niewiele miały wspólnego.

Wreszcie zaprosił ją do siebie.

Poszła.

— Poszłam, choć absolutnie nie powinnam była mu ulec. Nie wiem, dlaczego tak zrobiłam, ale musiałam do niego iść.

— Musiałaś?

— No, zaczął mi się ogromnie podobać. Ach, jak wy nie znacie natury kobiecej. I ty nie znasz i Jonis także. On nie zna zupełnie. Tylko Anzelm, on jeden wiedział jak ze mną postępować. Zdawało mi się, i to odczucie dominowało, że kiedy z nim będę, osiągnę wszystko, czego zapragnę. Nie chodziło mi tylko o zaspokojenie pragnień materialnych. Byłam przy nim pewna spełnienia wszystkich marzeń i kaprysów swego życia. Tak to było. Naprawdę.

— A Jonis?

— Po pierwsze nie mogłam znieść już jego pracy. Czasem myślę, że swoim narzuconym mu uczuciem pragnęłam zniszczyć jego maestrię. A więc to była także zazdrość, nie tylko miłość.

— Mów mi o Anzelmie.

— Zaprosił mnie, rozebrał, pieścił najczulej i wziął mnie, choć zaczęłam się gwałtownie bronić. W tym samym jeszcze dniu, a raczej tego samego wieczoru, doskonale to pamiętam, powiedział mi, że Jonis nie jest prawdziwym człowiekiem.

— I ty w to uwierzyłaś?

— Nie bardzo chciałam wierzyć, choć uparcie majaczyły mi się sceny z gabinetu ciotki, ten kocioł i ekran z czasów, kiedy byłam podlotkiem, te moje podejrzenia, które ciotka Rilla wyśmiała. Gdy mi to powiedział o Jonisie, uświadomiłam sobie, że nigdy nie potrafiłam zapomnieć ciemności salki, tuż obok i nas, w tym moim teraz mieszkaniu, w której z iskrzącego ekranu, z nagłej jasności wyszedł on, Jonis. Z niczego, ze światła — żywy człowiek.

Podpatrzyłam ten eksperyment i zaraz zostałam przez wszystkich dorosłych, z ciotką Rillą na czele, okrutnie wyśmiana, dziecinna tchórzliwa idiotka.

— Nie byłaś wcale idiotką — powiedział Zoi Anzelm, gdy mu przypomniała swoje dziecinne przeżycie. — Przeciwnie, wykryłaś prawdę.

— Mimo to nie chciałam Anzelmowi uwierzyć i wtedy, to właśnie wtedy, skontaktował mnie z grupą... z... wolałabym tego nie mówić, nie mogę...

— Z grupą pupilów twej ciotuni.

— Tak, tak, byli z Anzelmem bardzo zaprzyjaźnieni. Znał ich doskonale. Oni także są mizrakimi, jak Jonis.

— Słuchaj — krzyknąłem nagle ze złością. — Słuchaj. Ty mi tu bajki opowiadasz, spychasz odpowiedzialność na jakichś tam nie znanych mi ludzi, aby wymigać się od najważniejszego. Powiedz wreszcie, jak zginął Anzelm Konseliusz. Wybiegłaś od niego wieczorem, wówczas kiedy już musiał leżeć martwy.

Popatrzyła na mnie tak, jakby mnie pierwszy raz zobaczyła.

— Nie wiem, jak zginął, nie mam pojęcia. Gdy zobaczyłam go martwego, wyjęłam mu z kieszeni taśmę z zapisem, chciałam ją sama przesłuchać. Sądziłam, że to nagranie przyniesie jakieś wyjaśnienie. Rozumiesz. Nie zabiłam Anzelma. Nie zabiłam, nie zabiłam…

Wbiegła do gabinetu.

— Idź już, idź stąd, błagam cię. Obiecałeś.

— Gdzie są ci ludzie, ci przyjaciele twoi i Anzelma, te ludzkie mizraki? — zawołałem.

— Patrz — jęknęła — już za późno.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem, o co jej chodzi. Ale zaraz przebiegł mnie dreszcz przerażenia. Z kątów pokoju wycofywały się szybko, właściwie błyskawicznie, cielska i drobne sploty mizrakich. Znikały. Podbiegłem do drzwi, rozwarłem je na oścież. Widziałem jak w szybkich podrygach wężowych, tętniąc gradem iskier zsuwają się w dół kamienicy.

Wyłaziły ze wszystkich mieszkań,

pomieszczeń, z każdego zakątka. Były momenty, że od tych cielsk robiło się szaro na klatce schodowej i w windach.

## IV

Wybiegliśmy oboje na taras i wtedy przeżyliśmy najgorsze.

Kiedy mówiłem: „Co to znaczy? Tyś o tym wiedziała?!” — błysk nas oślepił. Wiem, że przed tym błyskiem lub równocześnie z nim, dojrzałem od strony laboratoriów, kołyszących się w powietrzu, czerwień ognia. A tuż przed nami, z przerwanego widocznie ruchomego chodnika magnetycznego, ludzie wypadali na ziemię dziesiątkami, koziołkując i kręcąc się w powietrzu. Straciłem na moment przytomność, ale dobrze pamiętam, że wywiało nas z tarasu w głąb gabinetu. Gdyby nie miękkość kanapy, porozbijalibyśmy sobie czaszki o ścianę. Zoja dyszała przy mnie, ale jej nie widziałem, choć

była oparta o mnie. Oboje dławiliśmy się i kaszleliśmy. Gryzący i gęsty dym wypełnił pomieszczenie. Kanapa wywróciła się z nami. Z trudem wydobywałem się z jej na szczęście miękkiego wnętrza.

Mój kaszel i moje próby porozumiewania się z Zoją co chwila tłumiły trzaskające wybuchy. Wyczułem dłonią, że dziewczyna ma okaleczoną szyję. Krwawiła. Z jakąś nadzwyczajną mocą darłem warstwy kanapy, aby Zoję wydobyć z ich skłębionej masy, w którą została wbita.

Tylko wybuchy czerwonymi błyskami łamały duszącą ciemność. Próbowałem dotrzeć do kranów po wodę. Bałem się jednak pozostawić Zoję samą. Wiedziałem, że z powrotem mogę już do niej nie trafić. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z niesłychanej wrzawy, jaka panowała na zewnątrz. Było tak, jakby ktoś przez gigantyczny megafon nadawał odgłosy wielkiego miasta. Krzyki, jęki, zawodzenia,

turkoty, trzaski, wycie syren, jazgot jakichś strzałów — wszystko to zlewało się w nierówny, wibrujący huk, który nie tylko ogłuszał, ale zdawał się wnikać do wnętrza ciała, drążyć to wnętrze i patroszyć je.

Po raz pierwszy w życiu czułem coś takiego w uszach, w oczach, w sercu, w każdym najdrobniejszym zakątku organizmu. Ciągnąłem półprzytomną, bełkoczącą Zoję. Dotykałem dłonią jej ust. Po omacku usiłowałem trafić do łazienki lub do kuchni. Po chwili dopiero udało mi się odsunąć drzwi. Powietrze było tu czystsze. Wciągnąłem więc Zoję do środka, orientując się, że po lewej stronie znajduje się wejście do szerokiego hallu, a stamtąd, niemal na wprost nas, główne drzwi wejściowe. Dymu było tu mniej, bo na szczęście wiatr wiał od północy i wnosił trochę świeżego powietrza. Katastrofa wydarzyła się na południu. Dławienie jednak nie ustępowało, tyle że oddychaliśmy z mniejszą trudnością.

Odkręciłem kran i chłodna woda polała się grubym, miłym strumieniem. Skierowałem elastyczną końcówkę na nas.

Zimny strumień sprawił mi ulgę, a Zoja zaczęła wolniej i równiej oddychać. Podsunąłem się do rozwartego na oścież okna, manewrowałem ostrożnie, słysząc pod butami chrzęst miałkiego szkła. Na pewno szyby. Wyjrzałem na zewnątrz. Na dole było czarno od chmury dymu, który piął się coraz wyżej, w naszym kierunku, co chwila wdzierając mi się do ust. Pod dymem — piekło ognia. Ten gmach się palił. I to jak — pomyślałem. Poczułem przypływ ogromnego, instynktowego strachu. Ręce mi zaczęły drżeć, nogi drżały również i uginały się pod ciężarem ciała.

Wrzawa jak gdyby przycichła. Ustały wybuchy. Tylko kłęby dymu przeszły w olbrzymie chmury, tylko ciepło stawało się upalne, a płomienie pięły się coraz wyżej. Za tym wszystkim zginął obraz miasta. Nie było

już nic. Staliśmy się płonącą wyspą pod czarnym niebem.

Wlokłem Zoję powolutku do hallu. Rozwarłem wejście na całą szerokość. Przewalały się tu kłęby dymu. Szedłem już resztką sił, zupełnie prawie zadławiony. Gdy tylko zrobiłem krok poza próg, dojrzałem wśród kłębów białą, wysoką postać. Półprzytomny zorientowałem się dopiero po chwili, że to był Jonis ubrany w maskę i strój ochronny.

Wziął Zoję na ręce, zakrywszy jej twarz maską z podłączonym aparatem tlenowym. Ja uczepiłem się jego ramienia i brnąłem za nim krok za krokiem.

Wszystko odbywało się w żółwim tempie, po omacku. Słabłem, ale chciałem wytrwać.

Nadzieja na ratunek dodawała mi otuchy. Prowadź, prowadź — powtarzałem niby to Jonisowi, choć wiedziałem, że on tego nie słyszy i słyszeć nie może. Przeszliśmy do hermetycznego szybu przez jakieś

pomieszczenia, o których istnieniu nie miałem pojęcia. W każdym wysokościowcu znajdowało się kilka takich szybów, zaopatrzonych w niezależne źródło siły.

Było tu jasno jak w dzień i kursowały jeszcze szybkie windy. Ale i tutaj powietrze było już e dymem. Drzwi pomieszczenia ciągle ktoś otwierał na różnych piętrach. I te nieliczne oazy ratunku mogły być w każdej chwili opanowane przez pożar. Na naszymi piętrze byliśmy widać jednymi z ostatnich. Jonis wcisnął najpierw do przepełnionej windy Zoję i sam za nią się wtoczył. Maskę miał już uniesioną, wyszły spod niej zupełnie zmierzwione jego piękne, jasne włosy.

— Pojedziesz za nami — krzyknął do mnie. — Będziemy w willi Anzelma. Tam cicho.

Powoli przychodziłem do siebie. Kaszel jeszcze pruł mi oskrzela, ale czułem już wyraźną ulgę, gdyż do szybu windy dopompowano powietrze. Oddychałem

głębiej, kaszlałem.

Jeszcze głębsze oddechy. Odpluwałem gęstą flegmą.

— No już. Wskakuj! — powiedział mi ktoś, gdy otwarta klatka znowu podjechała na piętro. Jeszcze było sporo osób. Niektóre zupełnie nieprzytomne holowano na ramionach.

Dzieci okrywano specjalnymi kocami ratunkowymi, robiono im od razu zastrzyki.

— Ktoś wysadził w powietrze laboratoria — usłyszałem. -— Zapaliła się cała dzielnica — dodał ten sam głos.

— Mizraki! — krzyknął ktoś stojący dalej ode mnie. — Widziałem je ze swego tarasu.

Uciekały z domów całymi gromadami, aż jasno było od ich cielsk.

Zamilkł nagle, jakby się przestraszył, że ONE mogą go usłyszeć. Mimo woli wszyscy rozejrzeliśmy się trwożnie po kątach. Nie było ani jednego splotu.

— Czyż nie mam racji? Widziałem jak

wycofywały się z domów. Wyskakiwały z bram i okien wijąc się w powietrzu. A potem, po wybuchach, stawały pionowo jak węże w transie, jak potężne węże tańczące w takt muzyki i ziały ku płomieniom całymi kaskadami iskier.

Najgorzej było na dole. Windy nie docierały do najniższych pięter, gdzie szalał już ogień. Do wyłazów na piątym i czwartym piętrze dostawiono „rękawy" i w ich wnętrza, nad morzem ognia, jeden po drugim, ześlizgiwali się ludzie, nieprzytomni i dzieci w objęciach ratowników. Uratowanych ładowano do krytych wozów wśród huku walących się wokół gmachów i wieziono spory kawał w kierunku śródmieścia. Część transportowano od razu do szpitali. Takich zaś jak ja puszczano wolno, wskazując miejsca, w których można było jeszcze uchwycić jakiś środek lokomocji. Korytarze magnetyczne zostały zatrzymane od momentu, w których wybuch przełamał

jeden z nich, co spowodowało śmierć kilkuset osób. Nie zaprzestały jednak swej służby koleoptery i helikoptery. Tysiące aut zbliżało się do miejsc ładowania uciekinierów, starając się im przyjść z pomocą. Jednak dopiero po dwóch godzinach udało mi się dotrzeć do domu, gdzie natychmiast usiłowałem połączyć się ze swoimi przyjaciółmi z administracji. Po długich tarapatach uzyskałem na wizji Nimroda. Z puklami włosów, wijącymi się na uszach i niesfornie opadającymi na czoło, wyglądał raczej na poetę niż na dygnitarza policyjnego, którym w gruncie rzeczy był, choć to się teraz całkiem inaczej nazywało.

— Ten pożar — to były moje pierwsze słowa.

— Wiem, co ludzie mówią. Akcja ratunkowa jeszcze potrwa. Ale to wszystko nieprawda, zupełnie bezpodstawne, tak, zupełnie. Mogę ci tylko powiedzieć, że w jednym z laboratoriów przeprowadzano

próbę nowego paliwa. Wszyscy tam zginęli. To tam wybuchł i stamtąd rozprzestrzeniał się pożar.

— Mizraki?

— Jesteś w kręgu młodzieńczych mrzonek?

— Muszę z tobą dłużej pogadać.

— Tobie raczej przydałby się Archan.

— Właśnie, masz rację.

Musiałem mieć speszoną minę. Nimrod był raz świadkiem, jak podczas przyjęcia u Rilli profesor Archan pokpiwał sobie z mojej maszyny do wykrywania myśli, nad którą wówczas z ogromną pasją i poświęceniem pracowałem.

— Oczywiście, że pojadę do Archana.

— Spróbuj. Ja ci w tym wiele nie pomogę. To nie w mojej kompetencji, a na pogawędkę zaproszę cię za kilka dni. Niech ta sprawa z pożarem wreszcie się skończy. To koszmar.

— Ja tam byłem.

— Byłeś zapewne w dawnym mieszkaniu

Rilli!

— Skąd wiesz?

— Domyśliłem się tylko. To zresztą twój stary trop i dawne zainteresowania. Myślałeś, że atakują nas istoty z zaświatów. Mizraki — zaczął się śmiać. — Mizraki?

— Obserwowałem jak uciekały przed tą straszną historią, jakby wiedziały dokładnie, co się za chwilę będzie święcić. Czy według ciebie to przypadek?

— Wiele zwierząt wyczuwa trzęsienie ziemi, szczury uciekają z okrętu, który ma zatonąć. Czy jest to dowód, że szczury spiskują?

— Nie obracaj tego wszystkiego, co ci mówię, w żart!

Zdenerwował mnie. Ciągle miałem w oczach dantejskie sceny. Tragedia tamtych chwil żyła we mnie, dręczyła mnie. I wiedziałem dobrze, dlaczego. Czy wolno było sobie powiedzieć, że to przeznaczenie, niespodzianka, która może każdego czekać?

Czy współczesnemu człowiekowi wolno poddawać się cieniom starej, wschodniej filozofii? A druga strona tej samej sprawy: czym byłoby nasze życie, gdybyśmy o nim mogli wszystko wiedzieć, gdybyśmy znali dokładnie ścieżki przeznaczenia? Wieczny dylemat. W praktyce jednak znany jest jedynie jego pierwszy wariant. Drugiego od wieków poszukują guślarze i uczeni.

Szybko zakończyłem tę rozmowę. Jeśli nawet coś wiedział, czy kogoś podejrzewał, to mimo wieloletniej znajomości, a właściwie prawie przyjaźni i tak by mi tego nie zdradził. Ja zresztą na jego miejscu także chyba nie postąpiłbym inaczej.

— Nie masz do mnie żalu, stary? — zapytał, gdy mu mówiłem do widzenia.

— Nie mam — odparłem szczerze.

— Spróbuj nawiązać kontakt z Archanem, choć powtarzam, że to trudna sprawa. Kto wie, czy i ja nie powinienem się z nim spotkać. Może byśmy razem...

— Dziękuję, dziękuję. Będę u ciebie, stary.

Szybko mu przerwałem. Wiedziałem, że na pewno nie ma zamiaru w ogóle porozumiewać się z Bazą Księżycową. A gdyby chciał faktycznie to zrobić, nie zawiadamiałby mnie o tym nigdy.

Działałem trochę jak w gorączce. Natychmiast po rozmowie z Nimrodem zrobiłem następny błąd taktyczny. Połączyłem się z Biurem Księżycowym, którego szefa przy jakiejś okazji poznałem podczas naszego wspólnego pobytu z Archanem. Wiedział, że się przyjaźnimy. Teraz jednak, sądząc z wyrazu jego fizjonomii na wizji, nie bardzo orientował się z kim w ogóle ma do czynienia. Doświadczony dyplomata pokrywał gładkim uśmiechem obojętność, a może niechęć do mojej sprawy. Gdy poprosiłem, aby przekazał Archanowi moją prośbę o widzenie się z nim, lub samemu pozwolił mi ją przekazać, powiedział prędko:

— Ależ oczywiście, zaraz spróbujemy się połączyć. Tylko że to musi trochę potrwać.

— Jak długo? — spytałem niecierpliwie.

— No, myślę, że wszystko razem z zezwoleniem na podróż jakiś tydzień. W najgorszym razie dwa. Ale przecież i to bardzo krótki termin. Zaznaczam, jeśli wszystko wypali.

Próbowałem protestować.

— Proszę mi wierzyć — zawołał — zrobię wszystko co w mojej mocy.

— Dziękuję — odparłem ze złością.

A on:

— A więc jak? Zaczynamy oficjalne starania, czy też mamy od pana otrzymać później ewentualne potwierdzenie?

— Potwierdzenie, jakie potwierdzenie? — krzyknąłem. — Już potwierdzam. Proszę zaczynać.

— Proszę więc mówić. Włączam dokumentację.

Jeśli podania miały nabrać urzędowej

mocy, musiały być sygnowane własnym głosem lub własnym podpisem. Włączano w takich razach aparaturę rejestrującą słowa petenta i jego obraz. Podanie szło w kurs. Dołączono do niego oczywiście wszystkie wiadomości, zakodowane w specjalnym oddziale Centralnego Instytutu Statystyki. Była to droga w tym wypadku prawie beznadziejna, prowadząca nie do Bazy Księżycowej, lecz po prostu donikąd. Wściekły na swoją bezmyślną szamotaninę, zdałem sobie dopiero teraz sprawę z tego, że nie wiem nic o dalszych kolejach losu Zoi i Jonisa. Czy dotarli do willi Anzelma? Co tam robią, co ich tam może czekać? I w tych pytaniach tkwił gorzki owoc szoku, przeżytego niedawno.

Na moje sygnały w willi Anzelma nikt nie odpowiadał. Nawet uprzejmy robot nie informował, że nikogo nie ma w domu i może tekst przekazać gospodarzom po ich powrocie.

Trzeba było zatem znów wejść w ogarnięte paniką miasto, usiłowałem skorzystać z jego zdezorganizowanej komunikacji. Trzeba patrzeć w twarze przerażonych i słuchać ich szaleńczych rozmów. Pojmowałem tych ludzi. Sam również byłem pełen niepokoju, podniecenia i strachu.

I nie mogłem się tym uczuciom oprzeć. W takich chwilach zaczyna działać duch zbiorowości, instynkt stadny. Nie są potrzebną żadne środki masowego przekazu, aby błyskawicznie rozplenić strach i oszołomienie, wzniecić obłęd i panikę.

Przełamałem swój opór i w koleopterze, czując się tak jakbym miał za chwilę umrzeć, przeskoczyłem na lądowisko tuż nad willową dzielnicą artystów. To był jedyny środek lokomocji, w którym nie potrzebowałem się z nikim stykać. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że cała automatyka ochraniająca wejście do willi nie działa, albo ją wyłączono, albo uległa

zepsuciu w czasie katastrofy. Roboty na trzech nóżkach, wysokie i obojętne sterczały pod ścianami hallu w typowej bezużytecznej martwocie przedmiotów technicznych, którym brak energii odebrał sens istnienia. Szedłem dalej cicho po gęstych dywanowych trawach, czujny, wietrzący następny akt katastrofy. Nie wiem dlaczego, nie wołałem głośno ani Zoi, ani Jonisa.

Czemu się tak skradałem? Po tym co przeżyłem ostatnio, byłem przekonany o stopniowej eskalacji zagrożeń, czułem to zresztą od chwili, kiedy zastałem Anzelma leżącego niemal w ramionach mizrakich. Nie wierzyłem Nimrodowi. Czułem, że dokonany został zamach na miasteczko nauki i że grupa stworzona zapewne niegdyś przez Rillę była w tą sprawą wmieszana.

Tak, zaczynała się seria zbrodni wymierzonych przeciwko ustalonemu od lat porządkowi społecznemu. Atak przybierał szerokie rozmiary, zbliżał się więc czas,

wiedziałem to dobrze ze swoich studiów historycznych, w którym życie jednostek przestawało się liczyć. A właśnie w czasach, kiedy spada wartość egzystencji jednostkowej, życie całych społeczeństw staje się igraszką. Jedni powiadają, że igraszką losu, drudzy mówią o szaleństwie wyrzutków społeczeństwa, trzeci tłumaczą to walką o władzę. Nieważne, kto ma rację, kto w tych dociekaniach jest naiwny, a kogo można by uważać za mędrca. Nie liczy się inicjacja procesu, liczy się tylko jego eskalacja.

Koła machiny z wplątanymi w nią losami jednostek, narodów, społeczeństw czy państw kręcą się coraz szybciej i coraz więcej ludzi wyrzucają poza orbitę. Nikt się z tego ruchu już nie potrafi wyplątać. Ani jego inicjatorzy, ani jego ofiary.

Cichutko, po wspaniałych dywanach, wchodziłem na galerię, aby z niej ogarnąć jak najwięcej przestrzeni tego wielkiego mieszkania. Biegła ona górą, nad salonem,

nad sypialniami i jadalniami — główna tętnica ruchu w tym domu, z zastawkami drzwi, zwykle szczelnie zamkniętymi. Teraz były otwarte lub uchylone. W domu panował mrok. Tylko z gabinetu Anzelma sączyło się mdłe światło. Spojrzałem z góry. Chciałem się cofnąć i natychmiast wrócić do siebie. Przełamałem jednak swoją naturę. Wyznaję, że do takiej determinacji doprowadziły mnie deszcze iskier, delikatnych i cienkich, promieniujących z kątów od mizrakich... A więc znowu zaczynało się coś dziać, znowu niepokoiły się te pozaziemskie stwory.

Kto wie — pomyślałem — czy rzeczywiście nie one są sprawcami wszystkiego, czego ostatnio doświadczyłem. A więc bałem się i strach niszczył moją naturę. Patrzyłem przez szparę. W mdłym blasku dyskretnie rozlokowanych świecących płyt dojrzałem Zoję wyrywającą się z rąk Jonisa. Szamotali się w zupełnej ciszy, tak jak ja się z nią szamotałem, aby zdobyć kasetę z

pamiętnikiem Anzelma. Ach, ten pamiętnik! Dalej tkwił w mojej kieszeni. Ile sobie po nim obiecywałem.

Udało jej się odepchnąć Jonisa.

— Nie chcę — powiedziała. — Nie mogę.

— Nienawidzisz mnie?

— O nie. Właśnie dlatego nie mogę. Nie chcę.

— Bo jestem jak oni, mizraki. Powiedz.

— To nie to. Nie czuję wcale twojej inności. Nie czuję, że jesteś mizraki. Oni także nie wydają mi się obcy. Choć, choć ich właśnie nienawidzę. A ty?

— Ja także.

— Mówisz tak tylko dla mnie.

— Czuję się właśnie całkiem inny niż oni.

Popatrzyła na niego z wyrazem rozpaczy w oczach, jakby jej ktoś go chciał zaraz odebrać. Wyciągnęła ręce, ujęła w nie jego głowę, przycisnęła na moment do swoich piersi.

Ale gdy chciał ją ponownie objąć i

przytulić, odsunęła go tym samym niemal ruchem dłoni, jakim przedtem przygarnęła.

— Jesteś inny niż oni i niż wszyscy ludzie, jakich znałam. Zapomniałam o tym. A gdy sobie przypomniałam, było już za późno.

— Za późno?

— Tak, za późno. Już po tym, co się stało, co się dzieje, jest za późno. Czy wiesz, że ja, wiedziałam, to znaczy mogłam się domyśleć tego wybuchu i pożaru, który zniszczył setki, może tysiące istnień.

— Co ty mówisz?

— To prawda. Oni rozmawiali przy mnie o opanowaniu wielkiego laboratorium z bronią. Z nową bronią. Powinnam była... Ach, rozumiesz przecież.

Więc to prawda — pomyślałem. Koszmarny pomysł zamachu, który mógł zrodzić się tylko w głowach fanatyków lub zbrodniarzy, działających z premedytacją, był najczystszą prawdą. Ludzie to podejrzewali, a ja zacząłem już tracić tę swoją pewność, że to

ma związek z mizrakimi, że to grupa fanatyków podszywających się pod te istoty z innej planety, czy raczej powołująca się na związki z tymi istotami. Wymyśliła to Rilla. Czy nie dlatego zginęła, że potem okazało się, iż wie za dużo? A może chciała zahamować szaleństwo, jakie rozpętała nieopatrznie?

Poczułem odrazę do Zoi. Był to najgorszy rodzaj *femme fatale*.

Przypomniała mi się płonąca dzielnica, sceny oglądane przed wejściem do windy. Znowu jej głos, tam na dole. Stała w wielkich drzwiach gabinetu, z dłońmi ciągle wyciągniętymi i rozczapierzonymi w ruchu obronnym.

— Ach, chciałabym już umrzeć.

Pojąłem, że to nie żadna przewrotność, żadna komedia, żadna gra. Myślała o śmierci, pragnęła jej, ale nie miała siły umrzeć, tak jak nie miała siły oprzeć się zmiennym i coraz okrutniejszym kolejom swego losu. Determinacja i rozpacz tkwiły w tym głosie,

chęć ucieczki i strach przed nią, marzenie o wyzwoleniu i poczucie bezsilności. Moja odraza topniała tak szybko, jak powstała. Ustąpiła miejsca litości.

Zoja cofała się przed idącym za nią powoli Jonisem, starała się zamykać drzwi, których nie można było zamknąć, bo martwe roboty tkwiły w kątach znieruchomiałe, zupełnie jak mizraki. Mizraki nie sypały już tym cienkim i ostrym deszczem iskier. Ich obłe cielska pokornie przylegały do ziemi. Niezmiernie trudno było teraz uwierzyć w jakieś związki między tym, co działo się w miasteczku nauki a mizrakimi, między ich splotami a śmiercią Anzelma.

Przypomniały mi się twierdzenia Rilli o mądrości tych zaziemskich istot.

Zapytałem jej raz:

— Są według ciebie mądre i nie chcą z nami konfliktu, a czy możesz być pewna, że w jakiś nie znany nam sposób, bezkonfliktowo nie starają się wpływać na

nasze życie?

— Odsuwałam zawsze tę myśl, bo to byłoby dla nas zbyt straszne.

Widocznie obłe, inteligentne cielska znalazły sobie sojuszników-szaleńców, sojuszników-zbrodniarzy, żerujących na takich ludziach jak Anzelm, Jonis czy Zoja. Ileż osób w naszym świecie przez całe życie, przez całe nawet pokolenia nie przechodzi żadnej próby charakteru, wegetuje wśród komfortu tego świata, w najlepszym razie wskakując w środek akcji dramatów holotelewizyjnych. Ileż osób nie przeczuwa, czym w drastycznej próbie może stać się człowiek, jak wznieść się ponad innych lub jak nisko upaść. Czy jestem odporny, czy sam nie stałbym się narzędziem w rękach tworów silnych i bezwzględnych?

Ach, można to sobie także wyobrazić całkiem inaczej, *ŕ rebours*. Uświadomiona słabość potrafi przedzierzgnąć się w siłę, łagodność w chamstwo, skromność w

wyuzdanie.

Dokąd gna nas to koło rozpędzone przez mizrakich, czy jakieś inne podszywające się pod nie istoty? Dokąd ciągnie nas los, który przecież determinuje się nieustannie w każdej sekundzie, w każdym najmniejszym ułamku czasu? Los niepowtarzalny, ahistoryczny, nieobliczalny dlatego, że wiecznie się w nas wszystkich dzieje, że każdy z nas go stwarza osobno i jest przez nas wszystkich razem tworzony.

Odgłos moich szybkich kroków tłumiły leżące na galerii dywany. Śledziłem cofającą się powoli Zoję i równie powoli goniącego ją Jonisa. Wydało mi się, że jestem na jakimś balecie, którego muzyka wsącza się bezgłośnie, lecz natychmiastowo, do wnętrza naszych ciał, wypełniając je bez reszty.

Wycofałem się chyłkiem. Niech się tylko między nimi rozegra dalszy ciąg tej muzycznej frazy. Ja zaś, naiwny łowca prawdy, dotknąłem miniaturowego pudełka z

drutem magnetycznym i tak jak cicho wszedłem, po cichu opuściłem ten dom. Miasto tętniło gwałtownym życiem, choć był to sam środek nocy. Prawie nigdy o tej porze nie opuszczałem swego mieszkania i nie miałem pojęcia, czy życie wre tym gęstym, ciasnym nurtem zawsze, nawet i w tych godzinach, czy też jest to reakcja żywych, którzy zetknęli się przed chwilą ze śmiercią.

## V

Drżącymi dłońmi uruchamiałem aparaturę odtwarzającą, do której włożyłem, wyjętą ze srebrnego puzderka, miniaturową kasetę z notatkami Anzelma Konseliusza. Mogłem go wreszcie poznać, całego od wewnątrz, takiego, jakim był sam wobec siebie, sam dla siebie.

Pozbawionego tajemnicy, bez maski, bez udawania, bez gry tej w dosłownym i w przenośnym znaczeniu. Dusza w probówce —

jakby sam o tym powiedział. Myślę, że w podniecenie wprawiła mnie także możliwość wyjaśnienia do końca spraw, w które zostałem wciągnięty przez śmierć tego bliskiego człowieka. Ciekawiło mnie po prostu i nadal naiwnie ciekawi, jaki był naprawdę ten wirtuoz, geniusz, przyjaciel o stu twarzach. Zafascynowany zawsze jego osobowością, zdobyłem wreszcie szansę porównania jego imponującej zewnętrzności z najgłębszą intymnością.

Zawsze mnie to pasjonowało. W swojej dociekliwości, która kazała mi zbudować aparat do wykrywania myśli, poszukiwałem prawdy nie o innych, lecz faktycznie o sobie. Nie dowierzałem bowiem ani swemu aparatowi, ani swoim sądom o innych i o samym sobie. Chciałem w swej poczciwości wiedzieć, jak jest tam w środku w każdym z nas, jak się kręcą nasze śrubki i kółka, zdając sobie równocześnie sprawę z beznadziejności i infantylizmu takich dociekań.

Aparat syczał lekko, sącząc powolny, powiedziałbym rozwlekły, głos Anzelma, relacjonujący wydarzenia i przeżycia. Potwierdzało się najpierw w całej rozciągłości to, co o ich romansie już opowiadała mi Zoja. Były więc początki tego romansu: zazdrość starego mistrza o Jonisa, którego przy tym, jak sam powiadał, nazbyt ubóstwiał. Dziennik prowadzony dość sucho, na marginesie życia wielkiego człowieka, miał charakter całkowicie aliteracki, Więcej, rzekłbym, że był pozbawiony inteligencji tego przecież niezwykłego człowieka. Wyprany z niej do cna. Suche fakty i prymitywne uwagi, co kilka, kilkanaście a często nawet co kilkadziesiąt dni. Żadnych głębszych refleksji. Notatki były banalne, straszliwie i beznadziejnie banalne. Może zresztą miał rację, może w życiu każdego takie banały właśnie najwięcej mówią o nas. Drażniła mnie jednakże płaska faktura pamiętnika, zdawała się przy tym odsłaniać portret

człowieka, jakiego właściwie nie znałem, jakiego się w ogóle nie mogłem spodziewać.

Tak, muszę to powiedzieć — niezwykle nieciekawego, wręcz prymitywnego, zarówno umysłowo jak i uczuciowo. Czy każdy z nas nie składa się przede wszystkim z podobnych, jakże prostych elementów? — pomyślałem z przerażeniem.

Sprawa miała posmak melodramatu: młodziutki Jonis — wirtuoz do potęgi, piękna i głupia dziewczyna oraz stary, zgorzkniały playboy, usiłujący się ratować przed atakami swego wieku i swych słabości. Nigdy nie lubiłem melodramatów, właśnie dlatego, że stanowią one nieodłączną i lwią część życia każdej jednostki, narzucają nam małostkowość, naiwność, gwałtowność i prostactwo duchowe. Niestety, przeżywa to jednakowo geniusz i parweniusz, zwykły zjadacz chleba i artysta. Znamy się tylko z analogii, nie zaś z różnic, z tego co wspólne, co podobne, a nie z cech indywidualnych. Czy

to, co nas dzieli, co stanowi o naszej istocie, o naszym „ja” da się w ogóle poznać, zrozumieć? Myślałem naiwnie, że będzie mówił o tym, co jemu tylko właściwe, co jest jego jedyną i niepowtarzalną własnością. Karmił mnie tymczasem samą prozą doznań. W ten sposób melodramat człowieka, którego uważałem za najlepszego a może jedynego przyjaciela, stawał się nie do zniesienia.

Swoje opisy produkował zwykle po dwugodzinnych ćwiczeniach, gdy zmordowany i sfrustrowany wstawał leniwie od fortepianu, szukając wyraźnie jak najprymitywniejszej ucieczki od swej sztuką. Notował mnóstwo szczegółów zupełnie nieważnych dla słuchającego.

Większość ich była wprost idiotycznie błaha, nie mówiąc o tym, że często żenująca.

Być może zbyt pochopnie i niesprawiedliwie oceniałem Anzelma na podstawie jego dziennikowej relacji.

Wspomnienia swoje i uwagi, było to w jednym miejscu całkiem wyraźnie powiedziane, zbierał dla siebie samego, nie dla przyszłych biografów. Chciał zapewne zapamiętać swoje przemijające życie, szczegół po szczególe, aby na podstawie detali odtworzyć sobie kiedyś własne myśli i stany uczuciowe. To był wyraźny, uświadomiony motyw jego pamiętnikarstwa. Nie życzyłby sobie na pewno, abym nawet ja znał te wszystkie bzdury.

Nieraz opowiadał mi przecież o sobie. Jak się okazuje, nigdy nie odsłaniał się wówczas w taki sposób, jak teraz, w tych jakże płytkich notach.

Fakty zdawały się zakrywać istotę spraw. Być może w tym pamiętniku biedny Anzelm usiłował sam przed sobą ukryć swe prawdziwe rozterki. Może pragnął zapomnieć o sobie? I po to tyle niepotrzebnych rzeczy utrwalał, mówiąc je do mikrofonu. Czy kiedyś potem to przesłuchiwał? Czy zdawał

sobie sprawę, co i w jaki sposób notuje? Było to zresztą, jak się okazało, jedno z wielu nagrań. Ciekawiło mnie, czy pozostałych dlatego nie znaleziono po jego śmierci, że zdołała je zniszczyć lub schować Zoja? A może to on sam, kiedyś, w przystępie wściekłości je zniszczył, a ocalało tylko to ostatnie, dzięki temu, że zginął i nie zdołał zatrzeć po sobie śladów swych słabości.

Słuchając fragmentów opisu romansu Anzelma z Zoją, jego rozgrywki z Jonisem, poczułem się rozczarowany i oszukany. Oszukany przez swego najlepszego przyjaciela, a także i przez Zoję, choć przecież siłą skonfiskowałem jej ten magnetyczny drucik. Zacząłem więc, naciskając odpowiedni taster, przeskakiwać nad całymi zbiorami faktów w rodzaju" „Grało mi się dziś lepiej po uściskach Zoi. Jak ona..." Tu następowały szczegółowe opisy czułości.

Lub: „Ona chodzi ostatnio jak struta, czy to nie zostało spowodowane częstszymi

kontaktami z Jonisem, który coraz mniej daje nam w dzień czasu na intymność. Dziś powiedziała mi:

— Nie masz pojęcia, co się ze mną dzieje, nie masz pojęcia. Za mało mnie ciągle znasz.

— Chodzi ci zapewne o Jonisa? — zapytałem.

Speszyła się. Nie wiem czemu, ale lubię ten jej ciągły niepokój, to zmieszanie, gdy nie chce mi po wiedzieć prawdy o sobie, tylko ucieka ode mnie. Pożądam jej wtedy najbardziej, a ona odwzajemnia się niewolniczą wprost uległością.

— Ach, z Jonisem to nie ma wiele wspólnego — odparła.

— Więc ze mną?

— Skąd wiesz?

Objąłem ją, tuliłem, pieściłem w pełnym świetle, czego nie lubiła. Ale zaraz po każdej takiej fudze, tak nazywałem jej ucieczki wewnętrzne przede mną, robiłem z nią, co mi się żywnie podobało.

— Ejże, kłamiesz — mówiłem, pieszcząc ją coraz gwałtowniej i brutalniej. — To na pewno Jonis jest jeszcze ciągle przyczyną twoich rozterek.

Że też nie potrafię się utrzymać w ryzach, że muszę dawać upust swej egzaltowanej zazdrości.

Zawsze w takich razach zaczyna jąkać się, plątać w wypowiedziach, płakać. Jestem pewny, że chodzi jej o Jonisa. Przeklęty mój chłopiec z marzeń. Staje mi się wtedy jeszcze droższa i jeszcze bierniejsza w swym oddaniu. Zapomnieliśmy zresztą wkrótce o całym świecie.

Powolutku skłaniałem ją do...”

Znowu następowała seria żenujących intymności To było ponad moje siły. Nagle nastawiłem uszu.

Tekst sunął za szybko, wymykał się mojej rozproszonej uwadze. Trzeba go natychmiast zatrzymać i wzmocnić, aby stał się bardziej zrozumiały. „Sprzeczaliśmy się dzisiaj do

późna — notował Anzelm — znowu naturalnie o Jonisa. Mówię o nim Zoi różne niepochlebne rzeczy. Na przykład, że ukradł mi niektóre moje kompozycje, co jest tylko częścią prawdy, lub że usiłował mnie kiedyś otruć. Był istotnie taki moment, gdy zaoferował mi swoje usługi — jako kucharz — amator, a potem ja ciężko się zatrułem. Powziąłem wówczas podejrzenie, cień podejrzenia. I wiązałem to prędko z jego pochodzeniem od mizrakich. Oczywiście ta cała historia nie miała w ogóle sensu, bo gdyby chciał mnie naprawdę zgładzić, miał po temu mnóstwo sposobności i możliwości. Na przykład wtedy, kiedy spadłem ze schodów. Było to już po moim związaniu się z Zoją. Jego oczy mają odtąd dla mnie jedno spojrzenie: chłodna stal, nóż, ostrze pełne nienawiści. Jest zresztą zawsze poprawny w stosunku do mnie. Nigdy ze mną nie mówi o swojej miłości, nie wylewa na mnie pomyj za moją podłość, za to, że ich w łajdacki sposób

rozłączyłem. Ale wiem, że mnie szczerze nienawidzi, mimo że jestem dla niego niezwykle czuły. Niemal tak jak dla Zoi.

Wtedy pod schodami, leżałem we krwi. Całą głowę miałem we krwi, dławiłem się własną krwią uderzywszy ustami o marmurowy występ, a potem czaszką o kant balustrady.

Łatwo byłoby mnie dobić. Kurowałem się przecież z tego potem tygodniami. Ale on, mimo swej nienawiści, skoczył mi natychmiast na ratunek i traktował jak dawniej, jak swego najlepszego mistrza, ojca i przyjaciela. Przypomniał mi się dzień, kiedy u Rilli Mizraki po raz pierwszy zobaczyłem tego chłopca z marzeń. Z moich marzeń. Ach, do czego nas doprowadziłem. Posłuchałem Rilli.

Wobec Zoi składałem wszystko, co złe, na konto mizrakich. I mieszając z błotem te obłe cielska i ich twory, do których zaliczałem Jonisa, czułem jak oni drży, jak targa nią

rozpacz, jak znowu staje się potulna i uległa. Moje szczęście było stale splecione z jej i moim nieszczęściem. Zoja w każdej chwili mogła ode mnie uciec. A tak naprawdę uważam, że fakt, iż Jonis jest mizraki, wcale nie umniejsza jego ludzkich wartości. Przeciwnie, znam dobrze tego chłopca. Nie wiem, czy istnieje na świecie ktoś lepszy od niego. Wpadłem więc we własną pułapkę. Archan przypisuje tym istotom, tym obłym cielskom nadludzką moc. Rilla oceniała je podobnie. Czasem boję się Jonisa, tak jak bała się go Rilla, jak bała się również jego pobratymców. Jonis kiedyś, przypadkowo, w czasie rozmowy o sztuce, powiedział mi:

— Ach, skąd wiesz, ilu nas już jest. Może są nas setki tysięcy, miliony. Może sam jesteś mizraki?

Nic już z tego nie rozumiem. Pojąłem tylko, że musiał się kontaktować z tamtymi. Dobrze, że oni u mnie się nie pokazują. Bardzo dobrze. Zakazałem ich wpuszczać.

Moje roboty są sprawne, kto wie, czy nie najsprawniejsze w tym mieście. Nie chcą widzieć tej bandy.

Może lepiej, żebym nie widział i Jonisa!”

Tekst się urwał. Szumiał nie nagrany drut. A po minucie: „Nie ma go, nie ma. Dobrze, że poszedł już stąd. Ma swoje locum, dlaczego ciągle do mnie wraca. Gdyby nie on, gdyby nie moja szaleńcza miłość do niego, nigdy bym się z Zoją tak nie związał, nigdy nie przeżywałbym tego, co przeżywam”.

Znowu zwyciężał banał. Znowu było tylko o pieszczotach, o zazdrości, o tym, gdzie spędził dzień, kogo widział, o czym rozmawiał, kiedy zażywał pigułki wzmacniające, kiedy łykał mikstury na wzmożenie wrażliwości uczuciowej, ile środków podniecających pożarł przed kolejnym seansem z Zoją. Obrzydlistwo. Najdziwniejsze, że o samej muzyce, która go tak pasjonowała, nigdy nie było ani słowa. Jak gdyby nie istniała w jego życiu.

Odnotowywał tylko daty koncertów, kto w nich brał udział, mierzył siłę oklasków, szczerość gratulacji. Ale cóż to miało wspólnego z jego muzyczną naturą, co mogło mieć wspólnego z jego nieludzką wprost wrażliwością, która, zdawało się, nawet matematykę przemieniłaby w świat udramatyzowanych dźwięków. Był w tym przeciwieństwem Jonisa.

Znowu więc zacząłem przyśpieszać bieg drucika. Być może opuszczałem nawet jakieś istotniejsze sprawy. Zresztą niewiele nowego się dowiedziałem. Potwierdzało się tylko, że Jonis był mizrakim, będąc równocześnie człowiekiem z marzeń Anzelma Konseliusza.

Powracał również kilkakrotnie motyw żalu do Jonisa i żalu do Rilli, co wydało mi się takim samym banałem jak uczucie Anzelma do Zoi.

I tak, dotrwałem do relacji z ostatnich dwóch tygodni przed śmiercią Anzelma Konseliusza, człowieka coraz bardziej mi

obcego. Wyrzucałem sobie ten swój nowy stosunek do zmarłego przyjaciela, który przecież tylko w tych idiotycznych, marginalnych notatkach zdawał się umykać od swej wielkości. Kto wie, czy to ona, ta jego wielkość, jego sława, najbardziej mu nie ciążyła. Mimo prób zrozumienia, czynionych z mojej strony, obcość rosła. W zapisie z tych ostatnich dwóch tygodni, jakże przecież niedawnych, znalazło się jednak kilka spraw, które mnie zastanowiły. To chyba o nich mówiła mi Zoja, że wiele mi wyjaśnią. A więc po pierwsze: Anzelm z maniackim niemal uporem opisywał rosnący z dnia na dzień rozstrój nerwowy Zoi. Naraz wiadomość: przyznała się Anzelmowi, że prześladuje ją jeden z mizrakich. „Któż to jest, skąd go znasz?” — pytał ją Anzelm. Wyobrażałem sobie jak nią potrząsał, jak kipiała jego zazdrość oczekująca zadośćuczynienia. „Jonis też go zna” — odpowiedziała.

„Dopiero po moich długich i dość

brutalnych naleganiach — przyznaje się Anzelm Konseliusz — zgodziła się jednak na takie wyznanie:

— Jonis też go zna. Naprawdę. On należy do paczki cioci Rilli. Wiesz. Teraz pracuje w filharmonii. Gra tam na trąbce.

— Co cię z nim łączy?

— Nic, och, nic, Anzelmie, ratuj mnie.

— Mów, co ci grozi, co to wszystko znaczy?

Płakała, jąkała się. Nie potrafiła, czy też nie chciała niczego powiedzieć. Ta ohydna, pełna udręczeń i brutalności scena trwała do późnego wieczora. Żarła mnie coraz większa zazdrość. Kłóciliśmy się, godziła nas miłość i znowu wybuchała kłótnia. Czy mnie jeszcze kocha? Postanowiłem ją uwolnić od tej obrzydliwej sfory. Był na pewno jednym z nich.

Tylko którym, to bardzo chciałem wiedzieć. Nie pragnąłem wcale spotkania z żadnym, ale musiałem ich zobaczyć. Nie

powiedziałem jej o tym. Odprowadziłem ją koleopterem milczącą, wystraszoną, posiniaczoną na całym ciele. Cały czas żądałem od niej jego nazwiska, ale milczała, nie mogłem z niej wydobyć ani słowa. Tylko łzy ciekły jej nieustannie po policzkach. Dopiero, gdy wychodziłem od niej nad ranem, powiedziała mi, jak nazywa się jej prześladowca. Poszedłem do filharmonii, mimo że z instytucją tą zerwałem już rok temu.

Chodziłem tam co kilka godzin. Szukałem przede wszystkim Łysego, pamiętałem też jego przeklętych przyjaciół. Ani jednej z tych twarzy nie spotkałem jednak nigdy. Nie istniał także nikt o nazwisku podanym przez Zoję. Zawsze mnie okłamywała".

Doszło do nowej ostrej sceny. Zaczął naprawdę podejrzewać, że jest zdradzany, że ów Łysy lub któryś z jego kumpli, a może wszyscy oni, są jej kochankami. Było to ogromnie obelżywe. Zdawał sobie z tego

sprawę, że ją obraża i poniża. Tym bardziej powtarzał swoje nie udowodnione posądzenia. Ciągle wpadał w szał, uzyskując w zamian milczenie i potulną uległość. Bogiem a prawdą, słuchając tego koszmaru, sam znowu nabierałem coraz gorszego mniemania o dziewczynie. Kto wie, czy nie miał racji. Pamiętam, że wówczas bywałem u niego często, ale grał widać przede mną komedię. Nic a nic o tych jego szamotaniach nie dowiedziałem się. Miałem go za najdelikatniejszego w świecie człowieka, całkowicie opanowanego przez muzykę. Podobny jego obraz zachowali po dziś dzień i inni, ci, którzy go blisko i mniej blisko znali. Nie wiedziałem wówczas, jak zresztą nikt nie wiedział, co on faktycznie przeżywa lub raczej, jaki rodzaj przeżyć sobie narzuca. Z tej przecież ciągle niedalekiej perspektywy już go źle osądzam, już nim pogardzam, już ganię jego szaleństwo. Przypisuję mu raczej błazeństwo niż prawdziwe doznania.

Histerię. Inaczej tego nie wolno nazwać.

Tymczasem puszczane trochę mimo uszu notatki stawały się gwałtowne, rwały się.

Coraz częściej traciły sens. Słuchałem niechętnie tego bełkotu, aż wreszcie to, czego się dosłuchałem, wstrząsnęło mną do głębi tak, jak nic dotychczas innego w moim przecież dość burzliwym życiu.

Z bezkształtnej miazgi zdań i wyrazów, raz nie kończonych, to znowu powtarzanych do znudzenia lub przeplatanych okrzykami, wynurzyły się nagle obrazy pełne znaczenia, zbudowane normalnie, wyspy realizmu wśród sztormu natręctw.

„Zoja twierdzi, że nie jej, lecz mnie grozi niebezpieczeństwo. Jakie? Nie mówi, nie chce mi powiedzieć, płacze, pragnie uciekać.

— Jesteś w niebezpieczeństwie — powiada. — Radzę ci zaraz ode mnie wyjechać, zaraz.

Wygląda na szczerze przerażoną. Pragnie się mnie pozbyć. Rozstać się z nią? Przegrać?

Nigdy. Kupiłem ją przecież. Ach, jaką cenę za nią zapłaciłem. Gdy mi to przychodzi na myśl, uświadamiam sobie, że prędzej bym ją zabił, niż opuścił. Znowu zaczynam zmuszać ją siłą do wyznań. Staję się okrutny. Okrucieństwo wobec Rilli było momentem chwilowej słabości, dziś to, co robię z Zoją, tłumaczę sobie jako swą siłę. Ale czy to faktycznie siła? Co we mnie siedzi, co się ze mną zrobiło?”

Znów rwane zdania, wyrazy bez znaczenia, bełkot. Ponownie przestał się opierać nigdy u niego nie obserwowanym falom szaleństwa. Wyglądało to na jego własny teatr, odgrywany przed samym sobą. I ponownie z tych strzępów mowy ludzkiej wyłoniło się pełniejsze wspomnienie. Wtedy pojąłem, co on zrobił i doznałem wstrząsu.

Wsłuchany w nierówny szum jego wypowiedzi dojrzałem go wyraźnie w gwałtownej sprzeczce z Rillą. Wyrzucała go. Pragnęła za wszelką, tak, za wszelką cenę

odsunąć go od Zoi, oddzielić go od dziewczyny uczuciem Jonisa. Wyobrażałem sobie, jak Rilla i on obrzucają się wzajemnie wymysłami, zieją nienawiścią. W gabinecie doszło do szamotaniny, gdy kazała mu natychmiast wynosić się, a on nie posłuchał rozkazu. Po pierwszej takiej awanturze wszedł w konszachty z Łysym i z jego przyjaciółmi. To byli zapewne ci osobnicy, których Rilla utrzymywała, podobnie jak i Jonisa, w przekonaniu o ich pochodzeniu od obłych, zaziemskich cielsk, walających się po wszystkich kątach Ziemi.

Dlaczego z przyjaciół, z pupilków Rilli stali się nagle sprzymierzeńcami skłóconego z nią Anzelma? Powiedzieli mu o „szatańskim wynalazku Rilli", tak to ich przywódca, zwany Łysym, określał.

To niemożliwe, żeby Konseliusz nie domyślał się, o jaki wynalazek im chodziło. Dał się oszukać? A może tak już czuł się skołowany tą swoją beznadziejną miłością, tą

idiotyczną zazdrością i tą niespodziewanie rodzącą się nienawiścią do Rilli, że uwierzył Łysemu, że zechciał mu uwierzyć.

Nie mógł przecież zapomnieć, jak i ja dotąd nie zapomniałem, o odkryciu Rilli, która w organizmie wielu istot żywych stwierdziła istnienie lokalnego hormonu.

Przypominam sobie dokładnie, jak tuż przed śmiercią wyjaśniała istotę swego odkrycia jemu i mnie. Mówiła, że to wprawdzie jest hormon lokalny, nie odgrywający większej roli w życiu człowieka, jednakże wyodrębniony i skumulowany, albo pobudzony do intensywnego wydzielania w głębi ciała może stać się... Jak ona to określiła?

— On może przerwać to wzajemne wobec siebie zobojętnienie, ten marazm, w jaki my, ludzie zapadamy. On ma szanse uczynić nas czułymi, czasem przeczulonymi. Czyż to nie wspaniałe?

Mnie zwierzyła się nieco później, iż

hormonu tego użyłaby chętnie w wielkich dawkach do wydobycia z marazmu nie tylko ludzi, lecz przede wszystkim obłe mizrakowe cielska.

— Ale boję się tego, tak bardzo się boję — wołała głosem pełnym rozpaczy.

Czy uświadamiała sobie negatywne możliwości zastosowań hormonu, czy nie brała w ogóle pod uwagę w swym wynalazczym zaślepieniu jego potencjalnej trucicielskiej roli? Nie wiem, jak to naprawdę było, w jakiej postaci i w jakim celu podaje się to ludziom. Rilla miała prawdziwego bzika na punkcie mizrakich. Nie ulega wątpliwości, że wiązała z tą istotą - wężem swoje szanse i nadzieje. Stąd chyba jej naiwne zaślepienie.

Nie mam pojęcia, czy hormon dawkowało się w formie pigułek, płynów, czy maści.

Czy nacierało się nim ciało, a może wystarczał tylko jego dotyk lub zapach, żeby zaczął swe działanie. Porażony tym

świństwem człowiek miał się stawać kłębkiem bólu fizycznego i psychicznego. Wszystko go rozdrażniało, prowadząc szybko do frustracji i kompletnego załamania, najmniejsza kontuzja, niepowodzenie, nawet czyjś niechętny gest. Każdy ruch sprawiał cierpienie. Nigdy przedtem nie słyszałem o czymś takim, nie miałem też pojęcia, czemu moja dobra przyjaciółka wynalazła czy odkryła akurat hormon bólu, a mój przyjaciel Konseliusz, podmówiony przez Łysego, spróbował tego środka dla spowodowania zbrodni. Nie wiem także, czy w bełkotliwej opowieści Anzelma Konseliusza nie było więcej z potwornej bajki niż z realiów życiowych. Może nagrywając swoje zwierzenia, układając w pamiętniku całą tę potworną opowieść, chciał po prostu usprawiedliwić sam przed sobą swój niczym głębszym nie uzasadniony czyn. Jedno było pewne. Te mizraki, ci ludzie, bo tak ich nazywał, mieli na pewno jakiś cel w

skłóceniu Anzelma z Rillą, a odsunięciu od niego Zoi. Ale tej motywacji nie poznałem, nie była wyjaśniona w pamiętniku. Głównym motywem zbrodni Anzelma pozostała jego naiwna zazdrość. To wynikało ze słów zarejestrowanych w pamiętniku.

Doszło wkrótce do jeszcze gwałtowniejszej sprzeczki z Rillą. Znowu wyrzuciła go ze swego domu. Była dla niego bezwzględna, mówiła mu podobno rzeczy, których od nikogo jeszcze nie słyszał. Tak się wyraził, nie cytował jej. Wtedy, widocznie z przygotowaną już trucizną, z „hormonem bólu", wtargnął do jej garażu. Widzę doskonale ten opisany moment skradania się. Być może Anzelm nasmarował specyfikiem kierownicę lub podrzucił otwartą fiolkę, aby parowała w małej kabinie wozu. Tego specyfiku nikt wówczas jeszcze nie znał, mógł więc ujść uwagi tych, którzy *post factum* przeprowadzali badania i analizy chemiczne.

Wychodzi potem znowu kocim krokiem z garażu i przymilnie, jak gdyby nigdy nic, jak gdyby chciał się znowu wkupić w łaski Rilli, namawia ją na wspólną przejażdżkę. Te jazdy to była jej mania. Nieraz z Anzelmem a także i z Archanem odradzaliśmy jej podróże. Miała przecież tak fatalny wzrok. Powiedział coś, co podrażniło jej rozbuchaną ambicję. Postanowiła pojechać, a wtedy on się delikatnie z przejażdżki wycofał. I zaczął publicznie, wobec przybyłych właśnie kilku jej przyjaciół z kręgu uczonych, odradzać podróży. Pojechała. Pół godziny później znaleziono ją martwą. W przepaści, w rozbitym na drzazgi jej zbyt szybkim wozie, którym tak lubiła pędzić po przepaścistych dróżkach parku narodowego, po jego krętych alejkach.

Rozpaczał po niej. Robił sobie straszliwe wyrzuty. Nękany wspomnieniem zbrodni, która w myślach wiązała mu się w logiczny ciąg z nastrojem, w jaki popadł z powodu

zazdrości o Zoję, a może też i z jakiejś obawy przed tymi, którzy go do czynu namówili, miotał się między melodramatem, zbrodnią i strachem. Ni stąd ni zowąd zamieścił realną notę o niespodziewanym przyjeździe profesora Archana z Bazy Księżycowej. Ich rozmowa została zanotowana we fragmencie:

„— Wyślij Jonisa gdzieś daleko. On przecież także jest mizrakim. Nie wierzę w ich łagodność. Jestem pewny, że oni coś przygotowują. To, co mówisz mi o Zoi...

— Może masz rację. Wyślę go. Czuję, że on nie może mnie znieść. Ale o mizrakich mów z kim innym. Ja nic na nich nie poradzę.

— Bombarduję nasze władze od miesięcy ostrzeżeniami — zawołał Archan. —

Wyśmiewają mnie. Podobno mówi się o mnie, że jestem zmurszałym strażnikiem muzealnej broni, której już nikt nigdy nie będzie potrzebował. Wszyscy oni są zadowoleni, że siedzę tam w Bazie,

pogrzebany za życia.

— Co mówisz?

— Mówię ci prawdę. Myślałem, że mi pomożesz.

— Nie mogę, nie potrafię teraz. Zrozum, chodzi o moje życie.

— Długo tak nie wytrzymasz. Odeślij ich oboje”.

Okrzyk. Jak gdyby krótka szamotanina. Potem trochę sztuczne śmiechy. Dźwięki fortepianu. Archan swym basem wtórował mazurkom Chopina, które nagle przeszły w delikatne dysonanse muzyki Szymanowskiego. Ale zaraz wszystko ucichło. Widocznie przerwał notatki.

I po chwili ciszy: „Nie wiem, czemu Archan wpadł w jakąś panikę, długo mi tłumaczył, że z powodu mizrakich wchodzimy właśnie w niebezpieczną fazę. Nie nadążałem za jego trudnymi, nudnymi wywodami. Myślałem o Rilli, o Zoi, o Jonisie. Obecność Archana dobrze na mnie działa,

uspokaja, mogę o nich myśleć, mogę mówić do mikrofonu. Może i dlatego jeszcze niezbyt dobrze rozumiałem, o co Archanowi chodzi. Zresztą ciągle odsyłał mnie do swojej pracy, przyznałem się bowiem z grzeczności, z najszczerszej przyjaźni, że czytałem te jego potępione brednie, że udostępnił mi je jakiś dygnitarz. Wywołało to ogromne zakłopotanie Archana. Żachnął się, jakby chciał mi krzyknąć w twarz »kłamiesz«, ale się pohamował.

Powiedział natomiast:

— Słuchaj, co z tobą? Naprawdę tak źle? Toż ja ci tę swoją pracę przesłałem bezpośrednio. Nie potrzebowałeś pośrednictwa dygnitarzy. To ja raczej liczyłem na twoje pośrednictwo. Chciałem, aby tam gdzie trzeba moją rzecz przeczytano.

Zrobiło mi się ogromnie głupio. Cóż on jednak za sensacje wyprawia, kogo i po co chce straszyć. Mówił mi o sposobie na mizrakich przez siebie wykoncypowanym, o

szczegółach tej metody, którą właśnie dopracowuje. Nie mam czasu na walkę z wiatrakami. Raz, raz tylko dałem się nabrać tym łajdakom, tym karykaturom Rilli i Archana, to oni, oni są winni zbrodni, ja ją tylko wykonywałem, słuchając ich poruczeń. Zoja coraz bardziej załamana. Błaga, abym to ja wyjechał".

Następna nota została znowu poświęcona rozważaniom o charakterze Zoi, o jej uczuciowości, o jej pieszczotach. Marginesowo wtrącił uwagę o jakichś dwóch drabach, którzy usiłowali wedrzeć się do willi. Była krótka walka między nimi a robotami. Unieruchomili roboty pierwszej posługi.

„— Nie wiedzieli — mówi Anzelm Konseliusz znowu normalnym, chełpliwym tonem — nie mieli widać rozeznania, że dysponuję robotami najwyższej klasy, że mam je zawsze w odwodzie. Ta moja willa to twierdza. Ledwo się z ich łap wydarli i

uciekli. W ostatniej chwili, spostrzegłem błysk łysiny u jednego z czmychających. Poznałbym go po tym wszędzie. Jak on śmie, jak może mi się pokazywać na oczy. Nie pozwalałem Zoi nigdzie wychodzić, ale któż ją utrzyma. Nie wiem skąd przybiegła na odgłos walki. Nienawidzę jej zakłamania, niczego nie chce mi powiedzieć. Nie chce mi powiedzieć, co ją wiąże z nimi, z tą sforą.

— Jeśli nie wyjedziesz — woła do mnie — jeśli nie wyjedziesz, to zginę. Albo, strzeż się mnie. Och, mnie się musisz najbardziej wystrzegać.

Ciągle znika i wraca. Wraca i znowu znika. Czy potrafię tak dłużej wyżyć?”

I to były już ostatnie zanotowane słowa Anzelma Konseliusza w tym jakże krótkim fragmencie jego dziennika. Znowu wydało mi się, że wiem już wszystko. Połączyłem się z willą Konseliusza targany niepokojem o dwoje młodych, którzy tam jak gdyby powtarzali melodramat z jego pamiętnika.

W ten sposób znalazłem się między mądrością Archana głoszącego nadejście jakiejś katastrofy kosmicznej, w której możliwość gotów byłem uwierzyć, a melodramatycznymi zmaganiami małej grupki nie najważniejszych przecież ludzi. Myślałem o tym, co naprawdę warunkuje kształt naszego życia, w jaki sposób zazębiają się, a jak nas dzielą sprawy z wymiarów świata i jednostek? Na te pytania nie potrafiłem sobie odpowiedzieć i nigdzie nie było na nie wyczerpującej odpowiedzi. Zdałem sobie sprawę, że tkwią one we mnie, że dławią mnie od czasu mej pierwszej dojrzalszej refleksji, od pierwszego *Sturm und Drag*. Pytania pozornie bez sensu, ale przecież od nich zależą postawy, jakie przybieramy, gra, jaką podejmujemy, lub nieumiejętność gry, nieumiejętność — towarzyszka mego dość długiego już istnienia.

Nie widziałem, kiedy wtargnął.

Siedziałem podparty łokciami na biurku, wpatrzony w lichtarze i ramki starych miniatur. Z przyjemnością zbierałem starocie, bo był to sposób na zapomnienie. Podniosłem głowę. Jonis stał milczący tuż nade mną. Wzdrygnąłem się zaskoczony.

— Nie zamykasz za sobą. To niedobrze. Teraz to niedobrze.

— Ciągle się boisz tych swoich przyjaciół, kolegów, czy diabli tam wiedzą kim oni są dla ciebie, mizrakich?

— To prawda. Boję się swoich pobratymców. Do wszystkiego są zdolni — mówił spokojnie, odmierzał niemal każde słowo.

— Zoja?

— Powiem ci o niej. Patrz, silę się na spokój, żeby ci to powiedzieć.

Przyjrzałem mu się uważniej. Stał podparty kolanami swych długich nóg o moje biurko, zaciskał pięści na blacie, wbijał paznokcie w skórę, aż krew wystąpiła i

cieniutkim strumieniem spływała na zielone obicie antyku.

— Stało się coś?

— Błagała mnie, żebym odszedł. Odszedłem. Czy rozumiesz, co oni z nią wyczyniają.

Oni ją, oni ją napawają „hormonem bólu”. Wiesz, co to „hormon bólu”? Jest taki środek, wynalazek Rilli Mizraki, .naszej, tak oni ją nazywają, naszej świętej wyzwolicielki. Podaje się go w różnych postaciach, a on z człowieka robi cierpiące bydlę. Zoja bywa posłuszna im wszystkim, każdemu z nich, podnóżek ludzki, narzędzie. Tego się nie da porównać z psią wiernością. Czy rozumiesz, jak to jest? Tego sobie nie można wyobrazić. Po dawce „hormonu bólu”, najczulszy dotyk staje się torturą, słowo niepokoju wprawia w przerażenie, słabo wypowiedziana prośba staje się rozkazem, biczem. Wiem, że byłeś tam na galerii. Widziałeś nas.

Prawda, że widziałeś?

Zmieszałem się. Wstydziłem się, że złamałem cudzą intymność.

— Byłem — odparłem, nie patrząc mu w oczy.

— Do końca?

— Skąd wiedziałeś? Nie, wyszedłem po kilku minutach.

— Zgubiłeś to.

Spinka od mankietu, tego się już całkiem nie nosi, ale ja lubię swoje stare spinki po dziadku czy pradziadku, sam już nie wiedziałem, czyje były.

— Po co przyszedłeś? — zawołałem. — Żeby mi powiedzieć o zbrodniach, o torturach?

Nic na to wszystko nie umiem poradzić. Jestem wobec was, jak i wobec siebie samego, zupełnie bezsilny.

— Ale to, co się dzieje, jest tylko wstępem. Jak pożar był pierwszym aktem.

— To oni, pobratymcy, to oni wysadzili laboratorium z nowym środkiem

eksplozyjnym?

— Nie wiem. Myślę, że oni maczali w tym palce.

— Nie kontaktujesz się z pobratymcami? Ty, mizraki?

— Nie chcę ich widzieć. Nic im nie mogę zrobić.

— Także bezsilny, no, no.

— Pragnę ratować Zoję.

— Za mało wiem, żeby ci w tym pomóc.

— Namawiasz mnie do zdrady. Uważam, że zawsze dla ratowania siebie lub innych trzeba kogoś zdradzać, że nawet sobie nie można dochować wierności,

— Skąd wiesz, że teraz tam, w willi Anzelma Konseliusza, ona jest bezpieczna?

— Znam się trochę na automatyce, a ona się nie zna. Tam są cudowne zabezpieczenia.

— Zostaw to. Zamknąłeś ją dla siebie, jak w więzieniu. To, co robisz...

— Słuchaj, znamy się od dawna, błagam, jedź do Archana, znasz dobrze Archana, jedź!

Powiedz mu, co się dzieje. On pomoże. On zna receptę na mizrakich. On unicestwi spisek i zbrodnię.

— Myślałem o tym. Ale to niemożliwe. Wszelkie kontakty zerwane lub strzeżone. Nie dostanę się prędko do niego.

— Po to tu przyszedłem. Ja będę chronił tylko Zoję. Więcej nie potrafię zrobić. Nie umiem. Nie chcę. Ale ty możesz zrobić więcej. Tu jest glejt.

Przekazał mi małe jak moneta, zakodowane zaproszenie, klucz do Bazy Księżycowej.

Nikt nie mógł mi już zabronić jazdy lub robić trudności. To była żelazna zasada. Nie pytałem skąd to ma, nie pytałem o nic więcej.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Wybiegł gnany swoją pasją, jakże przypominającą tę, która dręczyła Anzelma Konseliusza i która prawdopodobnie doprowadziła go do śmierci. Od tej śmierci miałem rosnące wciąż przeświadczenie, że zostałem wciągnięty w

sprawę, mogącą radykalnie zmienić moje życie. Teraz ta świadomość stała się wprost obsesyjna, dyktowała mi sposób zachowania, postępowania. Działałem odtąd jak gdyby pod presją czyjejś woli, przekształconej w moje zamiary i chęci. Przekazany glejt zawierał krótkie i bardzo rzeczowe informacje o sposobie dostania się do Bazy Księżycowej. Zdecydowałem się nazajutrz wyruszyć w podróż. Oznaczało to dopiero początek przygotowań do tej trudnej wyprawy, chociaż niektórzy znajomi uczeni uważali podróż na Księżyc za wycieczkę o takim komforcie, jaki nieprędko dotrze do Ziemi.

— To poligon najnowszej, najmodniejszej techniki — mówiono.

Nie kocham techniki, choć wiem, że bez niej nie byłoby życia. Odsuwałem więc myśl o podróży, traktowałem ją jak konieczne, wielkie zło. I wtedy jeszcze raz zamyśliłem się nad Anzelmem Konseliuszem, nad jego

pamiętnikiem. Wyrzucasz mu — mówiłem sobie — że zazdrosny, brutalny, że śmieszny i mały. Tak samo dobrze mógłbyś go krytykować za to, że musi chodzić, mówić, jeść czy siusiać. Mógłbyś się śmiać ze wszystkich, z tego co w nich naturalne, pierwotnie ludzkie.

Więc jaki właściwie on powinien być? Jak ożywione roboty, hodowane specjalnie maszyny, służące tylko do imitowania czynności aparatów i urządzeń technicznych, po to, aby można było się odciąć, uciec na chwilę od sztuczności. Chciałbyś więc dowiedzieć się z pamiętnika, że twój serdeczny przyjaciel, Anzelm Konseliusz, przestał być w pełni człowiekiem, po to tylko, żeby w swojej wyobraźni wystawić mu pośmiertny pomnik? A może — pomyślałem — on był naprawdę jednym z ostatnich ludzi, w którym sztuka wykrzywiła trochę naturę? Prawdziwym człowiekiem targanym przez uczucia i namiętności.

Znasz wielu takich? — zapytałem siebie. — Znasz innych podobnych? A sam, jaki sam jesteś? Pisząc pamiętnik, Anzelm uciekał od współczesności. Ratował w ten sposób swoje człowieczeństwo — małe, banalne, okrutne, niemądre, ale autentyczne.

To szczególne. W ten sam sposób reagował jego uczeń, jego odbicie i marzenie zarazem — Jonis Broczis, dla którego głównym sposobem ratowania Zoi było zamknąć ją, uwięzić, to znaczy zachować ją dla siebie. Tkwił w tych obydwu mężczyznach typowo staroświecki, atawistyczny egoizm.

Rozległ się charakterystyczny dźwięk wideofonu. Obraz się nie pojawił. To mnie zaraz uderzyło. Głos był sztuczny, głos robota mechanicznego. Żywe roboty wydawały dźwięki zwierzęce, nieartykułowanie skamlały. I to był ich minus w stosunku do mechanicznych.

— Radzę natychmiast opuścić dom. No, wyjdź szybko z mieszkania, bo będziesz

znowu miał kłopoty.

Ktoś liczył widać na to, że znajdzie u mnie zabrany Zoi pamiętnik Konseliusza, że wyjdę i pozostawię go w biurku, że ulegnę panice.

— A jeśli nie wyjdę?

— To cię wyniosą jak Anzelma Konseliusza.

Chciałem odpowiedzieć, że na pewno nie wyjdę, ale nikt mnie już z tamtej strony nie słuchał. Wyłączył aparat. Byłem śmiertelnie zmęczony, chciało mi się spać, ale nie miałem żadnych aparatów ostrzegawczych, nigdy mi nie były potrzebne. Ani aparaty, ani roboty o tej specjalizacji. Przesunąłem wielką, także antyczną, konsolę, pod główne drzwi. Omal przy tym nie zbiłem uchylnego lustra, którego boki zdobiły dwa pięknie rzeźbione łby końskie.

— No i zatarasowałem swoje drzwi — odezwałem się głośno. Zdarza mi się tak do

siebie na głos mówić tylko wówczas, kiedy jestem naprawdę śmiertelnie

zmęczony. Chciałem choć na kilka godzin zasnąć.

## VI

Zbudził mnie wideofon. Świeciło słońce. Gdy mimochodem spojrzałem na zegarek, okazało się, że jest dziesiąta. A ja przecież za wszelką cenę pragnąłem dzisiaj rozpocząć podróż do Bazy Księżycowej, do Archana. Na ekranie znowu było tylko jaskrawe światło. Więc to ten sam.

— Witam — powiedział tym samym co wczoraj głosem.

— Z kim mówię? Dość tej zabawy. — Byłem wściekły, że się zbudziłem, że znowu mnie jakiś drań napastuje i że jeszcze nie zacząłem przygotowań do swojej podróży.

— Zoja porwana — powiedział tym samym tonem. Może to mistyfikacja, może tam, po

drugiej stronie, dawno już nikogo nie

było, a tylko automat odgrywał nakazaną mu rolę.

— Porwana? Co za bzdury. Kto, kiedy ją porwał? Pokażże się wreszcie na wizji, tchórzu.

— Nie pokażę się, staruszku — zareplikował natychmiast, dając mi tym samym znać, że jest po drugiej stronie naprawdę. — Chcę cię tylko poinformować, że dzisiaj bardzo wcześnie rano, gdy Zoja wyszła z domu Anzelma Konseliusza i pędem biegła do przystanku koleopterów, trzech facetów ją pochwyciło i wywiozło. Właśnie koleopterem. Dokąd? Nikt mnie nie był łaskaw poinformować.

— Dlaczego mnie o tym zawiadamiasz?

— Ponieważ interesowałeś się Zoją i mizrakimi. Co będziesz robił? Na pewno będziesz działał. Myślę, że mógłbyś ją uwolnić.

— W jaki sposób?

— O, coś wymyślisz.

Chciałem przeciągnąć tę rozmowę. Liczyłem, że lada moment przyjdzie do mnie kolega, którego wczoraj, po rozmowie z Jonisem, zdążyłem jeszcze poprosić poprzez automat o pomoc w załatwianiu spraw wyjazdowych. Gdyby teraz wszedł, ułatwiłby mi identyfikację mego rozmówcy, który dzwonił z budki ulicznej lub z wideofonu koleopterowego. Poznałem to natychmiast po szczególnym pogłosie, jaki panował w tych pomieszczeniach.

— Wiem, co myślisz — gadał dalej — że dzwonię z publicznej rozmównicy. Masz rację, ja także poznałbym to po pogłosie. Nie sądź jednak, że nakryjesz mnie w tej budce. Już ją opuszczam.

— Jesteś mizraki — krzyknąłem.

— Ależ oczywiście. We własnej osobie.

Potem była już cisza. Ubierałem się z maksymalną szybkością.

— A nie szukaj niczego w domu Konseliusza. Tam już niczego i nikogo dawno

nie ma.

Usłyszałem to, gdy na powtórny sygnał wziąłem, a raczej wyrwałem z magnesu słuchawkę.

Oczywiście nie posłuchałem i pierwsze kroki skierowałem do willi Anzelma. Chodniki magnetyczne były już uruchomione i chociaż jeszcze tak niedawno widziałem ludzi wylatujących z nich podczas pożaru, jakby to były manekiny z trickowego holofilmu, bez drgnienia powiek wskoczyłem do przezroczystego wnętrza i uległem zapierającemu dech pędowi. Automat nad drzwiami prosił mnie grzecznie o pozostawienie informacji, bowiem w domu nikogo nie ma i nikogo nie kazano mu wpuszczać. Musiałem się włamać do środka, co nieuchronnie prowadziło do uruchomienia sygnalizacji alarmowej. Znałem jednak dobrze ten system i kilka moich manipulacji w centralce przydrzwiowej (od Anzelma jeszcze dawno

dowiedziałem się, gdzie ją umieszczono) wystarczyło do powstrzymania piekielnie zręcznych robotów. Należały do najnowszej generacji, na którą tylko jeszcze bardzo nieliczni mogli sobie pozwolić. Wycofały się do swoich kątów. Gdybym się spóźnił z manipulacjami w centralce o jedną czy dwie sekundy, pochwyciłyby mnie i w najlepszym razie wypchnęły z mieszkania.

Wbiegłem na galerię, a stamtąd do salonu. Nuty porozrzucane, mnóstwo rzeczy pogubionych. Widocznie Jonis pakował się przed porwaniem Zoi i robił to gorączkowo. Nowy obraz tego dawniej marmurowego chłopca utrwalał mi się coraz mocniej w wyobraźni. Był on gwałtowny, brutalny, może czasem nawet okrutny, jak jego mistrz. Nie znałem go od tej strony. To także była moja klęska — te nowe postaci dawnych przyjaciół. Zawsze szczyciłem się niezłą znajomością ludzi. Uważałem się w tych sprawach za doradcę wielu sławnych osobistości, z

Anzelmem na czele. Znowu przypomniała mi się kpina starego Archana, gdy po raz pierwszy dowiedział się, że zbudowałem aparat do odczytywania myśli.

A może to nie Jonis, może posądzałem go o więcej niż naprawdę zdolny był zrobić?

Może jej nie porwano, lecz uciekła po prostu z jego więzieniu w czym mogli jej dopomóc ci, których on nazywał swymi pobratymcami.

Obłe cielska prawdziwych mizrakich dojrzałem na starych miejscach, bezwładne i bierne, pokorne jak zawsze dawniej, jakby nigdy nic nie zaszło ani w tym domu, ani w tym mieście. Obszedłem całą willę, znałem doskonale jej zakamarki i skrytki. Wszędzie nieład.

Miał rację mój informator z wideofonu, niczego i nikogo tu nie było. Nie miałem czego szukać. Pogrzeb Anzelma miał się odbyć nazajutrz z wielką pompą, od której on zresztą nigdy za życia także nie stronił. Ciała

w domu już nie było. Przyszło mi na myśl, że powinienem najpierw połączyć się z kimś ze służby bezpieczeństwa. Na przykład z Nemrodem. Wolałem jednak porozmawiać z nim tym razem bez uprzedzenia go, osobiście.

Znajdował się akurat u siebie. Wpuszczanie do gmachu odbywało się bez żadnych przepustek, choć zaczęły się niespokojne czasy, a pożar w nieźle pilnowanej dzielnicy naukowej świadczył o dużych szansach bandytów różnego pokroju. To było moje przekonanie, którego władze zapewne nie podzielały. Stosowano stary już system identyfikacji. Gdy naciskałem sygnał przy wejściu nazbyt monumentalnym, pełnym rzeźb wielkich i małych, kamery przekazywały obraz mojej postaci do centralnej filmokartoteki. Komputery analizowały błyskawicznie mój życiorys i decydowały samodzielnie czy wolno mi wejść natychmiast, czy też trzeba będzie poczekać

na mobilizację ewentualnej ochrony osoby, do której chciałem się dostać.

Wpuszczono mnie od razu. Nimrod, to jasne, już wiedział, że to ja, już mnie oczekiwał.

Jego poczciwa gęba siliła się na ironię.

— Szukasz Jonisa Broczisa, prawda? My także. Jestem pewny, że to my go znajdziemy.

— Więc jednak on porwał Zoję? Macie pewność?

— On lub ta grupa, którą posądzałeś o podpalenie. Nazywają sami siebie mizrakimi.

Głoszą, że pochodzą od istot pozaziemskich, bardzo inteligentnych, jak wiesz, do tej kategorii Rilla zaliczała te obłe cielska. Jeśli by to była prawda, bylibyśmy okrążeni, rozszyfrowani zawsze i wszędzie. A tego właśnie jakoś się nie obserwuje. Daj spokój bajkom. To nie są istoty pozaziemskie, ani od takich istot nie pochodzą.

— Wszystko mi jedno kim są. Porwali, podpalili, a więc są zdolni do gwałtów i mordów.

— Nie oni jedni. Powiedziałem ci, że nie mamy absolutnie powodów do podejrzewania tej grupy o spowodowanie wybuchu w laboratorium nowej broni. To raczej jeszcze jedna tragedia.

Ciekaw byłem, co wie o romansie Anzelma Konseliusza z Zoją i perypetiach tego melodramatu, ale nie chciałem zdradzać, że w moim posiadaniu jest fragment pamiętnika z ohydnym wyznaniem Anzelma. Nie mogłem mu tego pokazać.

On natomiast wyjął z pliku papierów kartę listową używaną tylko od wielkiego święta na własnoręczne wypisywanie gratulacji, kondolencji lub życzeń. Na górze był rodzaj pieczęci, przedstawiającej obłe sploty mizrakich.

— Aha! — zawołałem. — To tak.

— Tekst jest na odwrocie.

Był to maszynopis z dyktafonu.

„Uważajcie na Jonisa. I pamiętajcie, że zawsze jest z nami”.

— Może ty już się domyślasz, o co tu chodzi. Może już wiesz? Ty lubisz wszystko wiedzieć — pokpiwał sobie dobrodusznie Nimrod. I dodał:

— Ja uważam jednak, że chodzi o klasyczny *raptus puellae*. Jonis porwał swoją ukochaną, ten twój Jonis Broczis, albo oni to zrobili, ci tutaj podpisani. To wszystko nieźle świadczy o sile uczuć naszej młodzieży, której jakże często się tych uczuć odmawia. Wygląda na manifestację wielkich emocji.

— Pogadajmy poważnie. Słyszałeś o „hormonie bólu”?

— Ja przecież najpoważniej w świecie. Wiem, że się narkotyzują.

— Ejże, a śmierć Anzelma Konseliusza?

— Była według wszelkich praw boskich i ludzkich śmiercią naturalną. Atak serca.

Pomoc tylko przyszła za późno. Zaraz mi

powiesz, że nic nie wiem, że od zmarłego wyszła wówczas Zoja — ostatnia osoba, jaka mogła widzieć go jeszcze przy życiu. Ale ta sprawa naprawdę nie ma nic wspólnego z kryminałem. Nie zabiła go, nie zrobił tego ani Broczis, ani twoje mizraki, których obłe cielska otaczały ciało jak wieńce. Znamy te podejrzenia, analizowaliśmy je wraz z komputerami wielokrotnie. Nic nie zmieni jednak prawdy o naturalnej śmierci Konseliusza. Rozumiesz? Lepiej więc i teraz uwierzyć w porwanie z miłości, na przykład w oszołomieniu narkotycznym. Naprawdę.

Już miałem na końcu języka, że Konseliusz wyznał w swoim dzienniczku, iż zabił Rillę Mizraki. Ale przecież jego wyznanie było mgliste, nieprawdopodobne, jak wszystko, co w ostatnich okresach swego życia przeżywał ten człowiek. Żaden więc dowód prawdy. Teraz dopiero zrozumiałem to doskonale. Teraz, gdy siedziałem naprzeciw tego kpiącego stróża porządku

publicznego.

Milczałem.

— Podejrzewasz wychowanków Rilli? Przecież to błazeństwo. Ci ludzie wykorzystują zadawnioną, tkwiącą w nas wszystkich fobię, płynącą ze wstrętu do prawdziwych mizrakich.

Nigdy naprawdę się z nimi nie oswoimy. Ja też.

Leżały po kątach bezwładne, pokorne, czego się od nich można było spodziewać?

— A jeżeli oni są naprawdę mizrakimi?

— Kto, oni? — wskazał na obłe cielska.

— Nie, tamci. Jonis i jego koledzy.

Nimrod spojrzał na mnie nagle z wielką uwagą, zmarszczył czoło, lekko pokiwał głową.

— No, no — powiedział. — Nie wiedziałem, że to tak daleko zaszło. — Dla niego wiara podobnie jak nauka należały do dziedzin podejrzanych. Ufał tylko własnym zmysłom i narzędziom, jakby te nie były

skonstruowane w laboratoriach naukowych.

— Wiesz co — dodał — gdybym wiedział, że myślisz tak serio, byłbym ci już dawno ułatwił kontakt z Archanem, choć to teraz bardzo trudne. Ale wcale nie z powodu mizrakich.

Trudno się porozumieć, są zaburzenia magnetyczne, no, plamy na słońcu, czy jak to się tam u was tłumaczy. Dla mnie są to po prostu zaburzenia magnetyczne. Kropka i koniec. Chcesz lecieć?

— Polecę.

— Nie będzie to łatwe. Może...

Pokazałem mu swój glejt. Zagwizdał ze zdziwienia. Nie zapytał jednakże skąd go mam.

Nie było to w jego stylu. Wiedziałem. Zaraz gdy wyjdę, zrobi wszystko, aby się dowiedzieć, jak zdobyłem taką przepustkę na prom kosmiczny i do Bazy Księżycowej.

— Więc wal natychmiast. Promy, mimo zaburzeń w telekomunikacji, kursują. A on,

Archan, stary lis, lubi siedzieć tylko u siebie, tam pod tym swoim szklanym dachem. Brrr...

— Nie znoszę, tak jak i ty, Kosmosu, ale polecę.

Ruch turystyczny, który odbywał się w zorganizowanych grupach między Ziemią a Księżycem, zatrzymano już dość dawno ze względu na trudności telekomunikacyjne. Uczeni twierdzili, że zaburzenia magnetyczne wiążą się z wystąpieniem w Galaktyce jakichś nie znanych dotąd ciał międzygwiezdnych, ciemnych mas. Niektórzy wyrażali obawy, że masy te mogą dość szybko trafić w sferę naszego układu słonecznego, co stworzyłoby pewne niebezpieczeństwo dla życia na Ziemi. Na razie jednak tylko zaburzenia telekomunikacyjne były stwierdzonym faktem. Istniały natomiast przesłanki, żeby przypisywać je także nadmiernej eksploatacji górnych warstw atmosfery przez różne środki teleprzekazu, z przekazem energii słonecznej

na czele. Siłę dla sztucznych słońc, dzięki którym uzyskuje się dodatkowe zbiory, czerpiemy z promieniowania prawdziwego słońca przekazywanego poprzez systemy lustrzane oraz za pośrednictwem mikrofal. Źródła zaburzeń komunikacyjnych upatrywano również w ogromnej liczbie sputników naukowych i rozrywkowych, które powoli zaczynały tworzyć warstwę sztucznych ciał, krążących wokół Ziemi.

— Jeśli będzie tam na górze tak gęsto — powiedział kiedyś profesor Archan — to wkrótce nie zorientujemy się, gdzie mamy głowy, a gdzie nogi.

Z promów kosmicznych korzystać mogły teraz tylko osoby, lecące do Bazy Księżycowej w interesach naukowych lub specjalnie uprawnione do takich lotów. Ruch musiał być całkiem nikły, ponieważ władca Bazy, jak nieraz nazywano Archana, nie bardzo życzył sobie wizyt ze starej planety.

Ze ściśniętym sercem jechałem

chodnikiem magnetycznym wśród gęstniejącego ruchu miejskiego do stacji lotów kosmicznych. Ciągle myślałem o tym, co się stanie tutaj, na Ziemi, jaki los spotka Zoję i Jonisa.

— Nie bój się o nich, stary — powiedział mi na odchodnym Nimrod. — Znajdziemy ich, choćby uciekli na Księżyc. Młodzieżowe igraszki, nic więcej. Zresztą wkrótce się przekonamy, a ja prześlę ci informacje następnym promem. Zresztą może do tego czasu już się telekomunikacja poprawi. Głowa do góry.

Droga była daleka. Szybowałem nad wielką aglomeracją, w dole kłębiło się życie, całymi haustami łykałem czyste, dotleniane tutaj specjalnie, powietrze. To także jedna z korzyści naszej komfortowej epoki. Oddychało się tu świeżym powietrzem. Piło się wspaniale czystą, pełną minerałów i witamin wodę, kąpało się w kryształowo przejrzystych basenach. Patrząc z góry na

tętniące miasta, poczułem nagły żal, że muszę to wszystko opuścić. Nie brałem udziału w spotkaniach towarzyskich, rzadko gościłem w teatrach czy filharmoniach. Muzyki wolałem słuchać w wąskim gronie przyjaciół muzykujących lub z drutów magnetycznych. Telewizję i holoprzekazy ledwo tolerowałem. A teraz tego wszystkiego zacząłem żałować. Znad wiszących w powietrzu dzielnic przeskoczyliśmy do krytego szorstką fakturą dachówek najstarszego kwartału miasta. Potem minęliśmy drażniące skały drapaczy chmur, przenosząc się w krainę jednorodzinnych kolorowych pudełek. Za nimi wpadało się w sieć tuneli, w których oprócz refleksów światła niczego już się nie widziało. Pasażerów koło mnie było coraz mniej.

Pustoszało. W wagonikach-niewidkach dostrzegało się jedynie las bezsensownych już oparć.

Ich regularny rytm ginął bardzo daleko z

przodu. Odnosiło się wrażenie, że stoimy, że tylko kreski świateł szybują do tyłu, uciekają przed nami, po to, aby dać miejsce nowym, takim samym długim, bezkresnym liniom świetlnym.

Bałem się o Zoję. Właściwie tylko o nią. Zacząłem robić sobie wyrzuty, że w takiej sytuacji decyduję się na wyjazd, ale pragnąłem jednocześnie jak najprędszego spotkania z Archanem. Wierzyłem ślepo i bez uzasadnienia, że tylko on zdoła zatrzymać bieg wydarzeń, te koła, w których tryby, od chwili śmierci Anzelma Konseliusza, zostałem wraz z małą grupką osób porwany.

Ostatnia wrażenie z tego świata — pomyślałem gdy wypadłszy z jednego z tuneli spostrzegłem ażurową, niebotyczną ścianę konstrukcji. Zbliżałem się do dworca, z którego tylko jeden potężny skok pojazdu dzielił mnie od celu podróży. Ginęły w chmurach szczyty wież, zbudowanych z elementów wyglądających w dole jak zygzaki

piorunów. I zaraz zaczynały się hale, zwykle pełne tłumu ciekawych i tych, co przychodzą tu żegnać ludzi, decydujących się na odlot ze starej Ziemi. Dzisiaj także i tutaj świeciło pustkami. Mój niewidzialny pojazd magnetyczny przefrunął nad pustynią hal, pod samymi ich pułapami. Zdałem sobie sprawę z tego, że w tym momencie jestem jedynym człowiekiem, jedyną żywą istotą wśród tej wspaniałej, sztucznej scenerii. Ściany dworca pokryto mozaikami, pełnymi świecących, różnokształtnych płaszczyzn. Miały charakter bajkowy. Dawały one przedsmak baśni kosmicznej dla dużych dzieci, w której miałem za chwilę dobrowolnie uczestniczyć.

Przy wąskim wejściu do księżycowej części dworca pokazałem swój znaczek robotowi, który jak martwy tkwił nieruchomo na swoich trzech nóżkach, stanowiąc przeszkodę nie do przekroczenia. Minęło pół minuty zanim, po sprawdzeniu

mojej tożsamości, robot skrzekliwym głosem zwrócił się do mnie:

— Proszę wejść, proszę wejść, droga wolna.

Jednym nagłym obrotem odsłonił przejście do windy. Wahadłowiec miał wyruszyć dopiero nazajutrz rano. Transport do bazy rakietowej z dworca trwa cztery godziny i odbywa się w całkiem zamkniętej kapsułce kolei linowej. Po upływie tego czasu, który można spędzić na którymś z wybranych widowisk holofilmowych, ogromna winda, wciśnięta szczelnie w ścianę skalistego szczytu, wywiozła mnie na jeden z najwyższych dachów świata. Wokoło pełno wiecznego śniegu. Jeszcze Ziemia, pomyślałem z ulgą, ale i z rozpaczą, że wkrótce i ten widok zniknie mi z oczu. Przepaścisty biały krajobraz ogląda się zza grubych szyb, a później przez jeszcze grubsze wizjery rakiety-promu. Pojazdu, w którym ma się jechać, nigdy nie można obejrzeć w

całości. To jest dopiero początkowy etap przygotowania organizmu do podróży.

Tego najbardziej nie znoszę. Tego się boję. Każdy przygotowuje się do odlotu sam, w oddzielnej kabinie. Wchodzi się okrągłym włazem i sam fakt wejścia jest jednoznaczny z podjęciem ostatecznej decyzji lotu. Odtąd już nie własna wola czy złe samopoczucie, lecz tylko obiektywne badania zdrowia mogą spowodować wycofanie z podróży. Wprowadzono tę nieco drakońską zasadę, ponieważ mnóstwo osób przerywało nagle ze strachu i w skrajnej nerwowości ćwiczenia przygotowawcze i po prostu uciekało. Nieraz opóźniało to podróż, wprowadzało też podobno elementy ryzyka technicznego.

Każdy więc, kto chciał polecieć, wiedział z góry, informowano go o tym nieustannie w przerwach między projekcjami holofilmów lub nawet w środku ich akcji, że gdy wkroczy do komory ćwiczeń, musi już narazić się na trudy wojażu, całkiem zresztą niebagatelne.

Opracowano kilkadziesiąt figur gimnastyki przyrządowej. Ewolucje, dostępne zresztą każdemu przeciętnie sprawnemu człowiekowi, wykonywało się pod opieką specjalnych robotów, będących zarazem przyrządami ćwiczebnymi, instruktorami i instrumentami rejestrującymi reakcje ustrojowe. Był to więc jednoczesny trening i sprawdzian.

Do prac tego rodzaju używano nie tylko robotów sztucznych, wyspecjalizowanych urządzeń mechanicznych i elektronicznych, lecz także tak zwanych naturobotów. Genetykom i hodowcom udało się ukształtować potworki roślinno-zwierzęce o tak rozwiniętych cechach, że okazywały się coraz częściej sprawniejsze od zespołów instrumentów i aparatów zwanych robotami. Nosacz wielopalczasty był na przykład stworem, który węchem precyzyjniejszym niż psi mierzył wydzielanie większości hormonów. Wyczuwał ich bieg we krwi

poprzez gęstą sieć tkanek i natychmiast je ściśle odnotowywał, emitując mikrofale wprost do wielkiej pamięci medycznej, zainstalowanej w centrum dworca. Pająk-mózgowicz osiadał swym niezwykle lekkim, prawie nic nie ważącym ciałem, na głowie badanego i odnotowywał skrupulatnie przebieg prądów mózgu. Inne naturoboty mierzyły reakcje pozostałych części ciała. Tu poznawano podróżnika kosmicznego na wylot. Badanie było szokujące, ale za to niezwykle delikatne, całkowicie nieinwazyjne, nadzwyczaj dokładne jak pisano o tym szumnie w prasie i krzyczano w innych środkach masowego przekazu.

Dla mnie dotyki wprawdzie subtelnych, ale obcych, potworowatych żywych istot były czymś szczególnie ohydnym, czymś, co wzbudzało długotrwałą lub nawet permanentną odrazę. Może rzeczywiście były mniej agresywne od sztucznie budowanych instrumentów, jednakże żyły. Uważałem, że

używanie żywych istot do badań łamie intymność naszych ciał, niszczy poczucie naszej odrębności, jest atakiem na indywidualność. Moje poglądy podzielali niemal wszyscy. Niewiele tylko osób twierdziło, że kontakty z istotami, których życzliwość wyraża się stuprocentowym wypełnianiem ważnych funkcji badawczych, może być niezwykłą przyjemnością, nawet rozkoszą. Brrr!

Najgorsze były badania wstępne, w których zatrudniano najwięcej naturobotów: pająków, muszek, glist, żywych drążków, węży skręcających się usłużnie w kółka — uchwyty dla rąk. Przypomniały mi się właśnie w tym momencie słowa Nimroda:

— Nie wierzysz, że to porwanie z miłości.

W sali ćwiczeń trudno było w ogóle uwierzyć w istnienie uczucia, które nazwaliśmy miłością. Rozebrałem się, drżąc z obrzydzenia i wiedząc co mnie czeka. Poddałem się. Jakże cudowne wydały mi się

owady prawdziwe, atakujące na przykład człowieka leżącego w promieniach naturalnego słońca na poczciwej, tradycyjnej trawie. Gdy ułożyłem się na białym niezwykle wygodnym żywym łóżku, zleciały się do mnie z pojemnika umieszczonego pod sufitem roje wielkich chrząszczy. Obsiadły moje ciało, ale ich dotyk był prawie niewyczuwalny. Należały do najnowszej generacji aparatury badawczej i leczniczej. Były wytworami inżynierii genetycznej i zarazem sztuki inżynierskiej. Stanowiły cud techniki. Niektórzy mówili, że to w ogóle szczyt osiągnięć technicznych. Po ich przemarszu przez skórę wiedziało się już prawie wszystko o powierzchni i wnętrzu ciała. Następne badania wynikały po prostu z tych wstępnych oględzin. Docierano z kolei do miejsc w ciele określonych przez chrząszcze, jako słabsze, narażone na większe ryzyko. I jeszcze jedną rolę pełniły te ohydne owady: łapkami wciskały pod skórę

dziesiątki substancji, leków profilaktycznych, które w przypadku ich nieobecności musiano by wstrzykiwać igłami.

Musiano by wstrzykiwać igłami, powtarzałem sobie, zaciskając pięści podczas pochodu owadów po moim ciele i dusiłem się z obrzydzenia. Wstrząsałem się po tej pierwszej przeprawie do innego świata. Teraz zaczynały się dalsze ćwiczenia, w których coraz większy wysiłek pozwalał zapominać, w jaki sposób jest się badanym.

Mały robot pokazał mi, jak mam go dosiąść i zamienił się w błyskawicznie wirującą huśtawkę. Potem wyrzucił mnie na matę, na której musiałem się zmagać z rodzajem ośmiornicy, dalej były skoki, podrzuty, bieganie po uciekającym płaskim wężu. Do taktu przygrywała, trzeba przyznać, dość oryginalnie brzmiąca muzyka. Na srebrnej tacy w przerwach między poszczególnymi ewolucjami trójnożny robot mechaniczny serwował napoje, w które,

wiedziałem to również, wmieszano uprzednio leki osłaniające serce, naczynia krwionośne oraz układ mięśniowy ze względu na czekające je przeciążenia.

Następnie rozpoczynała się praca wirówek, których najbardziej nienawidziłem. Były bowiem coraz szybsze, coraz bardziej dociskały się do mnie swymi nieco lepkimi ciałkami.

Czułem się tak, jakbym miał się lada chwila rozlecieć w kawałki. Przerzucano mnie z jednej żywej maszyny na drugą, kręcono, windowano, zrzucano w dół. Czasem zdawało mi się, że tracę przytomność. Krajobraz stawał się ciemny, wszystkie istoty i przedmioty zlewały się w jedną obłą masę, nieco przypominającą mizraki. Traciłem orientację.

I nagle uczucie to mijało.

Jeszcze krótka galopada wymuszonych ćwiczeń, a potem twardy, gwałtowny sen.

Próbowałem z nim walczyć, bałem się go,

bałem się utraty świadomości. Oczy zaszły mi mgłą, zaczynały się zwidy, mieszające rzeczywisty porządek zdarzeń. Pomyślałem o tym, jaki jestem słaby, jak łatwo człowiekowi odebrać świadomość, uczynić go niczym lub jeszcze gorzej — powolnym narzędziem.

Z wysiłkiem jeszcze raz rozwarłem powieki. Zdawało mi się, że widzę Zoję, o którą się tak bałem i tak ciągle się boję. I usnąłem jak martwy.

Odnalazłem siebie bardzo rześkiego, świeżego, jak gdyby odmłodzonego, w dodatku już w skafandrze, w kabinie promu. Im bardziej ryzykowna była podróż, tym większego komfortu się doświadczało. W tym także jest coś przeciwnego naturze.

Rozejrzałem się. Kabiny promów kosmicznych przypominają bardziej wnętrza samolotów pasażerskich niż kapsułki typowych pojazdów przestrzennych, w których załoga ciśnie się jak śledzie w beczce. Niewiele się pod tym względem zmieniło od

półwiecza. Pomieszczenia pasażerskie promów budowano już nie tylko dla profesjonalistów, trzeba było turystom osłodzić czymś gorzką pigułkę podróży. Były bardziej pękate, przestronniejsze od wnętrz samolotów, wyposażone w ekraniki telewizorów na plecach każdego fotela. Swój natychmiast wyłączyłem. Zauważyłem też gałki do uruchamiania „doznań zapachowych", „klimatyzacji", „doznań uczuciowych".

Dwa rzędy za mną siedziało po obu stronach kabiny kilku młodych ludzi, zapewne naukowców udających się na księżycową praktykę. Nie zazdrościłem im tej praktyki pod ciężką dłonią Archana. Dwaj z nich, elegancko ubrani, jak na jakiś raut, przygładzali ze sztucznymi uśmiechami swoje małe angielskie wąsiki, wymieniając przy tym żywo jakieś uwagi.

Zaskoczył mnie i zafrapował ich widok. Przypatrywałem się im przez moment. Potem

odwróciłem głowę. I poczułem, że muszę obejrzeć się po raz wtóry. Ogromnie mi kogoś przypominali. Ależ tak, na pewno znałem tych ludzi. Musiałem ich znać od dawna. Szczególnie owych dwóch z wąsikami. Wytężyłem pamięć.

Olśnienie i niewiara.

Zdawało mi się, że oszalałem. Być może były to zwidy związane jeszcze ze sztucznym snem. Uszczypnąłem się boleśnie w ramię. Uświadomiłem sobie, obserwując te trochę zniekształcone wąsikami oblicza, że jedno należy na pewno do Rilli Mizraki, drugie jest kopią twarzy starego Archana. Obaj siedzący za mną byli młodzieńczymi kopiami moich własnych przyjaciół. Jeszcze raz starałem się otrząsnąć z tych łudzących pierwszych wrażeń. Zauważyli, że przypatruję się im uważnie. Patrzyli na mnie z kpiącymi uśmiechami. Wrażenie jednak nie ustępowało. Potęgowało się.

Usiłowałem wstać, ale wówczas zabrzmiał

pierwszy brzęczek ostrzegawczy, zamigotało żółte światło na ekranie telewizora. Powstrzymałem odruch. Trzeba się zastanowić, uspokoić, pomyśleć — mówiłem sobie. Koło mnie był pusty fotel. Trzy rzędy przede mną siedziała dziewczyna, musiała być młoda, bo takich długich włosów nie nosiły kobiety w sile wieku.

Czyżbym znowu uległ złudzeniu? Głowę miała opuszczoną nisko, twarzy nie mogłem dostrzec, ale tę sylwetkę także dobrze znałem. Nad nią sterczał glistowaty naturobot, a tuż przy nim przysadzisty facet o ogromnych barach mówiący coś głośno, lecz niewyraźnie. W jego nadmiernie szerokich ramionach tkwiła świecąca, łysa czaszka.

Widocznie dziewczyna leciała po raz pierwszy i pomagano jej zapinać całą tę koszmarną uprząż kosmiczną, do czego zresztą nakłaniało wciąż migające na ekranach żółte światełko. Powoli powiększało się, pęczniało, start był więc

coraz bliższy.

Pojawił się jeden z członków załogi, poznać go było można po błękitnym, nakrapianym czerwono kombinezonie. Kroczył powolutku w towarzystwie wysokiego, trójnogiego robota.

Kontrolowali pasażerów przygotowujących się do podróży. Tylko ja pośród tych pasażerów miałem na sobie kombinezon urzędowy, bardzo podobny do tego, jaki nosiła załoga. Reszta była w zwykłych, ziemskich strojach. Na nie nakładano przezroczyste pokrywy wypełniane zaraz mieszanką gazów, służących zarówno do oddychania, jak i do amortyzowania przeciążeń. W takich pojazdach, obok kilkustopniowej kontroli automatycznej, uzyskiwanej za pomocą czujników, śledzących każdy oddech zarówno załogi, jak i pasażerów, stosowano dodatkowy system kontroli przeprowadzanej przez ludzi i roboty.

Robot wraz z kontrolerem przystąpili z kolei do mnie. Zapytałem ich, czy wiedzą kto leci w tym promie. Kontroler uśmiechnął się z ironiczną pobłażliwością, poklepując mnie po ramieniu, robot natomiast umocował uprząż, sprawdzał działanie klimatyzacji, urządzenia wydzielającego zapachy, stabilność fotela oraz automatyczną uchylność oparć. Były to nudne funkcje i zarazem męczące. Budziły niemal panikę, gdy leciało się po raz pierwszy. Spojrzałem znów w kierunku pochylonej dziewczyny. Serce zabiło mi gwałtownie. Byłbym przysiągł, że ją także znałem. Uniosła w tej chwili lekko głowę, z wielkim trudem, jak gdyby miała na szyi obrożę, odwróciła ją i patrzyła na mnie. To Zoja. Rozwarła usta. Chciała coś powiedzieć, zawołać. Zrobiła taki ruch, jakby się chciała zerwać, ale byliśmy skrępowani uprzężą, a sygnał dźwiękowy stawał się coraz ostrzejszy w miarę powiększania się żółtej plamy w telewizorze.

Nie zdążyłem do niej zawołać, gdyż w tej właśnie chwili rozległ się trzask przy jednym z wąskich wejść do kabiny. Zobaczyłem wdzierającego się przez stawiające opór drzwiczki Jonisa Broczisa. Wymknął się zręcznie z łap robotowi i poskoczywszy za kontrolerem, zatoczył się na wolne miejsce koło mnie. Wtedy pochwyciły go natychmiast awaryjne uchwyty.

Było już bowiem za późno na nakładanie uprzęży. Nawet pudło przezroczystego skafandra nie zdążyło podjechać po suficie do nowego pasażera. Wskoczyła mu tylko na czaszkę wielka plastykowa kula. Pogasły wszystkie światła. Brzęczek zamienił się w wyjącą syrenę alarmową odliczającą sekundy. Nie dosłyszałem jej ostatnich dźwięków. Dojrzałem tylko piękną twarz Jonisa, zniekształconą, jakby po bokserskim ciosie. Zrobiło mi się niedobrze i słabo.

Traciłem szybko przytomność. Czułem silny ból w piersiach, miałem wrażenie, że

wkręcał się w nie gruby świder. Już myślałem tylko o tym bólu, o sobie, zapadałem się w siebie, a więc przestawałem istnieć.

## VII

Pierwsze uczucie: szczęście z samego faktu istnienia. Zaraz refleksja, że coś niedobrego dzieje się w tej kabinie. Dlaczegóż jedzie w niej Zoja, czemu w ostatniej chwili przemocą wtargnął tu Jonis Broczis? To znaczy, że nie miał nic wspólnego z domniemanym porwaniem dziewczyny. Może w ogóle nie było żadnego porwania? Wydało mi się, że w tym jednym i ostatnim momencie przed startem, gdy spotkały się nasze spojrzenia, moje i Zoi, jej twarz wyrażała rozpacz, przerażenie, błaganie o pomoc. A może to znowu tylko złudzenie?

Czułem się lekko, lecz była to lekkość dręcząca, nie do zniesienia. Dopiero w tej

chwili uświadomiłem sobie, że znajdujemy się w stanie nieważkości, że odbywam drogę na Księżyc, do starego Archana.

Spróbowałem uwolnić się od krępującej uprzęży, uniosłem się przy tym trochę z fotela.

Nad Zoją, dojrzałem to z całą precyzją, kłębiły się pod sufitem splątane w walce ciała. Z tego kłębowiska dobiegały odgłosy coraz głośniejszych oddechów.

— Co się tu dzieje? — Bezskutecznie usiłowałem uwolnić się z ochronnych więzów.

Nie ustępowały.

— Siedź cicho, staruszku — powiedział facet z wąsikiem, sobowtór Archana, jeden z tych, których w pierwszej chwili wziąłem za młodych naukowców, jadących na staż do Bazy Księżycowej. — Jesteś skrępowany! Na nic szarpanina.

Stojący obok niego robot przygiął mi gwałtownie kark swą ogromnie lepką i

twardą jak pręt metalowy dłonią. Zrobił to w wymyślny sposób, aby mi sprawić ból, jak najwięcej bólu.

Następnie zostałem uderzony i jeszcze bardziej przygnieciony do przodu. Nie miałem siły się unieść, trwałem więc nadal w tej pozycji. A może tylko zabrakło mi odwagi. Zostałem nagle zaatakowany i mogło mi przecież jej zabraknąć, usprawiedliwiałem się. Siedziałem z głową niemal na kolanach, tak samo jak Zoja, kiedy po raz pierwszy ujrzałem ją w pojeździe.

Złośliwy naturobot odbił się tymczasem nade mną od oparcia mego fotela i jednym susem, płynąc w powietrzu, przyłączył się do skłębionych ciał.

Sobowtór Archana poleciał za nim. Już byłem wyprostowany, już znowu łowiłem oczami każdy szczegół dramatu, którego aktorem stałem się sam. W przyciemnionym, najprawdopodobniej umyślnie, świetle kabiny widać było przede wszystkim

miotającego się w walce Jonisa. Dobrze sobie radził. Dopiero pochwycony przez roboty, przyduszony, poddał się. Gdy został przytroczony do oparcia jednego z przednich siedzeń, napastnicy zwolnili uścisk. Jęknął. Ja natomiast odetchnąłem, Jonis na razie był żywy. Związano go luźno, żeby jego bezwładne ciało bujało jak balon pod ściankami pojazdu. Sobowtór Archana podał swemu koledze, sobowtórowi Rilli Mizraki duży pistolet do zastrzyków. Lufę skierowano natychmiast ku twarzy huśtającego się lekko ciała Jonisa.

— Zostawić go. On jednak jest nasz. Zresztą nawet większe dawki takim jak on, jak my, nie szkodzą. Zostawić — krzyknął. — Już wygraliśmy.

Barczysty dowódca w aureoli swej łysiny podskakiwał z rękami wyciągniętymi do góry i koziołkował odbijając się od ścian. Zachowuje się jak piłkarz po zdobyciu gola — pomyślałem mimo woli.

— Wygraliśmy, wygraliśmy — wołał.

Odłożyli pistolet na półkę. Wtedy właśnie otwarły się drzwi do sterowni i do wnętrza kabiny wciśnięto dwa bezwładne ciała w mundurach. Dwaj członkowie załogi. Gdzie reszta? — zastanawiałem się.

— Nie żyją? — pytał Łysy, zatrzymując się nad nimi.

— Inaczej się nie dało. Walczyli jak diabły — odparł jeden z drabów, którzy wtaszczyli ciała.

A drugi:

— Naturoboty dobrze się sprawiły. Dobrze się je przeprogramowano.

— Trudno. Nie chciałem tego — powiedział Łysy tak, abym dobrze to usłyszał.

Nie boję się śmierci, boję się sposobu umierania, boję się tego, co z człowieka może zrobić cierpienie. Często mówi się o zezwierzęceniu człowieka przed śmiercią, w czasie okrutnego umierania. Jest to jednak coś gorszego od zezwierzęcenia. Przecież

świadomość zwierząt i ich odczuwanie bólu są wobec naszej świadomości i odczuć znacznie ograniczone.

Żywię strach przed ludzkim upodleniem, towarzyszącym cierpieniu, zwłaszcza fizycznemu.

Rozwój nauk biologicznych, szczególnie inżynierii molekularnej, przestawiającej w komórkach cegiełki dziedziczności, zmieniającej je i wymieniającej, sprawił pogrom chorobom bakteryjnym i wirusowym. Zlikwidował prawie w zupełności raka. Żadne jednak środki nie ochronią nas od skrajnego upodlenia w obliczu konieczności umierania. Trudno gloryfikować medycynę, jeśli nie umiała nigdy opanować czynników decydujących o istocie człowieczeństwa. Chyba że upodlenie...

Przeleciało mi to wszystko przez myśl, gdy patrzyłem na tych brutali o kamiennych twarzach. Pewny prób upodlenia czułem

swoją bezsilność. Zoja, pochylona i nieruchoma, ciągle tkwiła w fotelu, przez cały czas bezwładnie spoczywało, nie wiadomo czy jeszcze żywe, ciało Jonisa Broczisa, a ja byłem nadal skrępowany i obolały. Mieliśmy jeszcze do przebycia kawał drogi. W takich warunkach podróż stawała się pasmem nieustającej męki.

Podszedł do mnie wreszcie sobowtór Archana, widać mój opiekun. Tym razem bez robota, ale za to z wycelowanym w moją pierś pistoletem zastrzykowym. W tym momencie

Łysy podpłynął do niego i powstrzymał go.

— Jeszcze za wcześnie — powiedział. — Niech się na razie napatrzy.

Potem zwrócił się do mnie:

— To zastrzyki „hormonu bólu”. Może coś o nich słyszałeś? Choć wątpię, bo to wasz najnowszy, ludzki wynalazek. Iście wspaniałe odkrycie. Ona — wskazał na Zoję — już dostała porcyjkę. O, naprawdę niewielką, jak dla ptaszka. I popatrz, nie potrzeba jej dotykać, nie trzeba bić, ani w ogóle czymkolwiek straszyć, aby bała się ruszyć. Taki ból odczuwa przy każdym ruchu, tak każda myśl ją zadręcza, że staje się z własnej woli i wyboru coraz bardziej martwa.

— Łotrze, lepiej od razu nas zabij! — krzyknąłem.

Chciałem mu powiedzieć, że choć „hormon bólu” jest wynalazkiem człowieka, to przecież miał być użyty do całkiem innych celów. Przypomniał mi się jednak mój przyjaciel Anzelm Konseliusz. Przymknąłem powieki i wyobraziłem sobie, jak skrada się

do garażu Rilli z fiolką hormonu ukrytą w zaciśniętej dłoni.

Łysy zaśmiał się, jakby rozumiał, dlaczego milczałem.

— Och, mamy czas — stwierdził wesoło. — Mamy jeszcze sporo czasu. Zabijać, po co? Z tym się zawsze zdąży. Wy, ludzie, dobrze o tym wiecie. Zdążymy, zdążymy. A ciebie, staruszku, będzie pilnował ten miły naturobot. Aha, prawda że się go bardzo brzydzisz? Nie znosisz jego opieki, bo on jest żywy, lecz inny niż ty.

Dobrze to zaplanowano. Nie mogłem tylko pojąć, skąd w tych ludziach, w istotach niczym wyraźnie nie różniących się przecież od nas, taka żądza zemsty. Co miały z tego?

— Wykorzystujemy naturoboty — dodał Łysy — bo łatwiej je przestrajać niż wszystkie inne mechanizmy. Cudowne są te potworki.

— Nikt by ich nigdy do takich robót nie używał — wyjąkałem. Zabrzmiało to dość słabiutko, bez przekonania. Głos mi

odmawiał posłuszeństwa.

— Są inteligentne — powiedział.

Naturobot znowu docisnął mnie kilkakrotnie swą lepką łapą. Zrozumiałem, że każda moja replika, chociażby najbardziej nieśmiała, będzie w swoisty sposób karana, każda próba buntu zduszona w zarodku, i o to im chodziło.

— Okrucieństwo jest typowo ludzką cechą — dodał Łysy.

Nie miałem do czynienia z osobnikami prymitywnymi. Ich styl porozumiewania się, sposób mówienia świadczył o dużej inteligencji. W dodatku działali nie spontanicznie, lecz z premedytacją, przekraczającą moją wyobraźnię. Nie mogłem się połapać, o co im właściwie może chodzić. Terroryzm obserwowany z daleka ma cechy celowego działania. Wydaje się na przykład walką o władzę lub walką przeciwko konkretnej władzy, przeciw porządkowi społecznemu. Z bliska, jak osądziłem teraz,

staje się abstrakcją, *pure nonsensem*. Cóż w tej całej historii, jeśli oni nawet zamierzali podstępnie opanować laboratorium Archana, znaczyła moja skromna osoba, dlaczego znęcali się nad Zoją, czemu atakował ich Jonis. Uważali go przecież za swego pobratymca? Zresztą zapewne nie chodziło im ani o laboratorium, ani też o samą osobę Archana. Z dawna wiedziano, że w Bazie Księżycowej gromadzono potężną artylerię atomową, sterowaną laserami. Działo się to jeszcze wtedy, gdy świat zaczęły dopiero opasywać obłe cielska mizrakich i wierzono w teorię ich odkrywczyni sugerującą początek inwazji istot z innej planety.

A więc nie wykluczone, a nawet wielce prawdopodobne było, że nasi prześladowcy zapałali żądzą władzy nad światem. Gdy kilka lat temu Centralny Instytut Statystyczny przeprowadził międzynarodowe badania ankietowe, których najważniejsze pytanie brzmiało:

„Czy pragnąłbyś władzy nad światem, czy objąłbyś tę władzę w sprzyjających ci warunkach?”, zaledwie ćwierć promille badanych odpowiedziało potakująco. Ćwierć promille?

Ach, to myślenie statystyczne, tworzywo nowoczesnej wyobraźni o otaczających nas zjawiskach. Uznano tę wartość za zerową, zlekceważono zupełnie. Toż faktycznie, gdyby nawet nadarzyła się jakaś możliwość zagarnięcia władzy we współczesnym świecie, trzeba by nie lada okazji, by możliwość tę wykorzystali właśnie ci, co władzy pożądają. W dodatku, czy większości z tych potakujących odpowiedzi nie należało zaliczyć do fantazji, do mrzonek lub do zwykłej fanfaronady. Komentatorzy ankiety długo i gęsto tłumaczyli to w uczonych i popularnych rozprawach.

Błąd polegał na lekceważeniu siły jednostek. Teraz przekonałem się na konkretnym przykładzie, w jaki sposób

maleńka grupa takich silnych jednostek potrafiła zawładnąć strzeżoną jak skarb kabiną wahadłowca i z przerażającą pewnością siebie mknąć tym wahadłowcem do laboratorium. Kilka osób zdobywało klucz do potęgi. Aż dziwne, że w ciągu tak długiego czasu nie można było dać sobie rady z terroryzmem, że lekceważono bogatą kolekcję doświadczeń i faktów. Gdy ataki terroryzmu przycichały, jakby się kamuflując, czając przed następnym wybuchem, ludzkość jakoś zbyt szybko o nich zapominała.

Raz porywano ludzi znanych i wpływowych, sławnych, to znowu mordowano pionki, zabijano jak gdyby dla samego zabijania. Zbrodnia służyła więc nie tylko określonym celom, lecz była formą zabawy i rozrywki, wynikiem przewrotności intelektualnej.

Mijały godziny, dziesiątki godzin. Czas się rozmazywał, przestawał istnieć. Nie, nie bito

nas. Nasi prześladowcy posługiwali się wyłącznie naturobotami, które towarzyszyły na każdym kroku i przy każdej czynności naszej trójce, a zapewne także reszcie załogi promu, jeśli w ogóle jeszcze egzystowała. Byliśmy nieustannie obserwowani. Uwolniono nas z więzów, ale w nieważkości mieliśmy kłopoty z normalnym poruszaniem i porozumiewaniem, z uzyskaniem odpowiednich proporcji między snem i jawą. Trudne było życie w takich warunkach. Naturobotom nakazano widocznie, żeby traktowały nas jak dzieci, jak niemowlęta.

Nosiły nas, układały do snu, karmiły dość monotonnym pożywieniem z tubek.

I nagle przestano mi podawać najpierw posiłki, a wkrótce potem wodę. Natomiast Zoi i Jonisowi przynoszono więcej jedzenia i napojów. Jedli jak gdyby za mnie, ale nie zdawali sobie z tego sprawy. Czyż nie widzą faktycznie tych różnic, nie dostrzegają, że oni są nasyceni, a ja po prostu głoduję? —

myślałem najpierw z żalem, wkrótce z rozpaczą, a potem z wściekłością. Tak, to wtedy czas zaczął się zacierać.

Doprowadzono mnie bardzo szybko w tych nieziemskich przecież warunkach do stanu, w którym najważniejsza stawała się jakaś okruszyna pożywienia lub kropelka wody. Wstydziłem się wołać Jonisa, czy Zoję, nie chciałem żebrać o pożywienie u naturobota. Jonisa z Zoją wkrótce zresztą wyprowadzono z kabiny. W jej pękatym wnętrzu z opustoszałymi fotelami pozostałem samotny. Nie wiedziałem, kiedy ich przeniesiono, czy też może przenieśli się sami. Zapamiętałem jednak boczne drzwiczki do kabiny, w której, jak sądziłem, powinni przebywać.

Wówczas obserwując siebie coraz podejrzliwiej, zauważyłem, że przekraczam granice kabiny.

Lekko odepchnąwszy się od swego fotela, przeniosłem się pod drzwiczki. Uchyliłem je.

Obok śpiącej przy bocznej ściance Zoi tkwił w specjalnym futerale pełny pojemnik z sokiem.

Zwolniłem ruchy. Byłem dumny, że udało mi się oszukać wypoczywającego „swego" naturobota, lękałem się nieostrożnego gestu, który mógłby wszystko zepsuć. Posuwałem się małymi, kilkucentymetrowymi podrzutami ciała, zahaczając się dłońmi o przedmioty, które uważałem za stałe. Byle się nie pomylić. Przypominało mi to trochę wspinaczkę wysokogórską.

To tak, jakbym pod nawisem znalazł się nagle bez haków, liny, młotka i musiał się ratować tylko za pomocą gołych rąk, dźwigać się i dźwigać w górę.

Bicie mego serca wypełniło bez reszty ciszę wnętrza pojazdu. Był to huk, który umarłych postawiłby na nogi. Ale pojemnik miałem już w rękach, Wessałem się w jego smoczek, chłodny cierpki sok koił wyschłą i szorstką śluzówkę ust i gardła, wielkie

hausty dławiły.

Nagle poczułem na ramieniu czyjąś dłoń. To była ręka Jonisa. Wyrwał mi ze złością pojemnik.

Nie potrafiłem szybko uciekać, wydostałem się z kabiny tych dwojga na czworakach, ale nikt mnie nie gonił. Zawahałem się przy drzwiczkach i odwróciłem. Zoja opierała się na łokciach, wsunięta do połowy w swoje posłanie, rodzaj śpiwora. Patrzyła na mnie z przerażeniem.

— Zostaw go — zawołała do Jonisa. — Ach, zostawmy go w spokoju.

Odtąd postanowiłem nic nie pić i nic nie jeść. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem była głodówka. Zniszczyć w sobie wszystko co niebezpieczne nie dla tych potworów, lecz dla mnie i dla nas ludzi. Odtąd naturoboty stawiały przede mną całe kolekcje tub. Wyobraźnia podsuwała mi zapachy, co było gorsze od każdej tortury. Zapachy cudowne. W literaturze naukowej, beletrystycznej i

pamiętnikarskiej sporo czytałem o głodzie. Znałem więc zarówno fakty, jak i nomenklaturę doznań. W konfrontacji dotychczasowych doświadczeń z rzeczywistością, przekonałem się, że moja wiedza była zupełnie niczym.

O czym ja myślę, muszę myśleć, jak my jesteśmy właściwie skonstruowani? Gdzie filozofia, gdzie miłość i nienawiść, gdzie wiara i niewiara. Jak cieniutka jest otoczka cywilizacji i kultury.

Jedynym moim zajęciem stało się odtąd niszczenie pojemników z płynami i pokarmami, a raczej bezskuteczne próby niszczenia. Pojemniki nie poddawały się żadnym zaimprowizowanym narzędziom. Wyciskałem więc ich zawartość i rozpędzałem po całym pomieszczeniu wielkie i małe kule, sześciany i graniastosłupy, jakichż tam jeszcze form brakowało! Tkwiłem w chmurze jedzenia i wody zdany na dobrowolną torturę smaków i zapachów.

Wśród tej gęstniejącej chmury pojawił się Łysy.

— Ho, ho, chcesz być dzielny, staruszku.

Mełłem w ustach jedzenie i wypluwałem je. Więc się cofnął i z daleka już powiedział:

— Jesteś istotnie dzielny. Ale mimo wszystko, pozostało ci tylko myślenie o jedzeniu.

Nic więcej. Cóż, mamy prawo próbować zawrócić was do pierwotnych czasów ludzkości, pragniemy pojąć pierwociny człowieczeństwa, które tak ukochaliśmy.

Dalej mełłem kulki potraw i wypluwałem je.

Patrzył na mnie i uśmiechał się. Odgarniał otaczającą nas chmurę żarcia i śmiał się. Nie wiem, jak długo to trwało, ale widziałem to doskonale, że ten śmiech zastygał na jego twarzy.

Łysy zrobił ruch dłonią, jakby chciał strzepnąć z ust ten zakrzepły wyraz niby-radości, ale nie zdołał.

Stał jak zahipnotyzowany. Cóż widział? Widział przecież mnie, siedzącego pod przeciwległą ścianką pojazdu i spluwającego jedzeniem.

Długo wycofywał się tyłem, wpatrzony we mnie. Plecami i łokciami otworzył drzwi sterowni i nie odrywając wzroku od mej twarzy zniknął w ciemności. Zazgrzytały zasuwy.

Wtedy straciłem przytomność.

Gdy ją odzyskałem, ocucony przez naturoboty, dojrzałem Łysego, który krył się za ich barami. Zawołałem słabym jeszcze głosem, żeby dał nam spokój, żeby dał spokój Zoi, Jonisowi i reszcie załogi, więzionej, jak mi się wydawało, w tylnym pomieszczeniu roboczym.

— Wstawiając się za innymi, ratujesz siebie, egocentryku, uciekasz od siebie — starał się pokpiwać.

I śmiał się znowu.

Wkrótce powiedział mi:

— Staruszku, my nie byliśmy ludźmi, ale pragnęliśmy ogromnie zostać wami. Stajemy się ludźmi przez okrucieństwo, które czujesz na sobie ty i twoi.

Rozejrzałem się. W kabinie było teraz bardzo jasno. Nasi kaci w towarzystwie naturobotów stali wokoło na magnetycznych butach, ułatwiających im chodzenie w sferze przyciągania, słabszego sześciokrotnie niż ziemskie, bliskiej już księżycowej planety. Sobowtór Archana zwrócił się do Łysego ze słowami:

— Czy oni jeszcze żyją?

— Trochę — odparł Łysy.

— Muszą?

— Zaczekamy. Z tym nie ma się co śpieszyć. Są mi potrzebni.

— Nie myślisz o tym serio.

— Bez dyskusji. Całkiem serio.

Nie chwytałem sensu ich rozmowy, właściwie sprzeczki. Brałem tę swoją niedomyślność za skutek skrajnego

wyczerpania.

— No, staruszku — zwrócił się do mnie Łysy — od dziś przerwa.

— A oni? — zapytałem natychmiast, wskazując na Zoję i na Jonisa. — Dla nich także?

— O staruszku, za dużo chcesz, ciągle jeszcze jesteś człowiekiem, przynajmniej kawałkiem człowieka. Ile ci jeszcze potrzeba?

Nie odpowiedziałem, starałem się nie patrzeć na niego, bojąc się, aby nie dostrzegł wyrazu mojej twarzy. Uważałem, że wyglądam jak nędzny, zbity pies, jak ochłap ludzki.

— Masz dość? — zapytał. — Ach, masz już dość. Dobrze, dobrze, im także pofolgujemy.

Spróbowałem się podnieść, stanąć na własnych nogach. Dopiero wtedy sam wyczułem, że działa siła przyciągania księżycowego. Mój ruch musiał wypaść koślawo. Dla Łysego było to komiczne, śmiał się ze mnie, śmiali się jego koleżkowie.

Czekałem, aż zaczną się naśmiewać z nas naturoboty.

— Ależ jestem słaby — rzekłem głośno — udając słabszego niż naprawdę byłem. Łysy odwrócił się wówczas i nakazał wyjść swoim podwładnym. Zostały tylko śledzące nas z daleka zmartwiałe naturoboty. Ciekawiło mnie, dlaczego zdecydowali się nam pofolgować. Trzymając się oparć fotelowych zmierzałem w stronę Jonisa. Nad jego wycieńczonym, niezwykle wychudzonym ciałem zatrzymaliśmy się oboje. Ja i Zoja.

— Nie dają mi już tego hormonu — powiedziała.

— Nie mamy najmniejszej szansy — wyszeptał Jonis, otwierając oczy i wyciągając dłoń do Zoi. — Ani ty, stary człowieku, ani ona, ani nawet ja, choć jestem parszywym mizrakim jak oni.

Zadziwiająco szybko ten biały chłopiec wracał jednak do sił. Już po krótkim czasie kipiał energią i optymizmem. Czy sprawiało

to jego nieludzkie pochodzenie? Coraz bardziej w nie wierzyłem, podobnie jak wierzyłem w nieludzki rodowód naszych prześladowców. A może wystarczyła mu do regeneracji sama obecność Zoi? Zresztą nie tylko obecność. Pochwyciłem jej spojrzenia, obserwowałem delikatną pieszczotę jej rąk, gdy go pielęgnowała.

Zniknięcie prześladowców zdawało się wyzwalać energię w tej dziewczynie, zmieniać ją całkowicie. Była jakby odnowiona. Nie poznawałem jej.

Rzeczywiście zaczął się okres względnego spokoju dla naszej trójki. Żądałem, zwracając się do naturobotów i do ścian, pełnych na pewno aparatury podsłuchowej, aby nas połączono z ocalałą resztą załogi promu. Niestety, bezskutecznie. Nie wiedziałem ciągle, czy oni jeszcze żyją.

Patrząc na młodą parę, myślałem z poczuciem satysfakcji, że mimo swego wieku jestem jednak znacznie odporniejszy od

Jonisa i od Zoi. Oni teraz dopiero odprężali się, odnawiali.

Ja byłem zawsze jednakowy, choć nigdy przedtem tak nie cierpiałem i nie miałem najmniejszej okazji do doznawania takiego upokorzenia, jakie mnie tu spotkało. Wiedziałem, że taki ból, takie upokorzenia kiedyś istniały, że były udziałem wielu pokoleń ludzkości.

— Często się nam zdaje — mówiłem Jonisowi i wpatrzonej w niego, jak gdyby zahipnotyzowanej jego osobowością, Zoi — że mądrość niesie ze sobą dobroć, wielka inteligencja wyklucza fanatyczne ekscesy, zaślepienie. A wcale tak nie jest. Przypisujemy ludziom nadludzkie cechy. Tymczasem wielu geniuszy wykazywało jednostronność charakterologiczną, wielu wielkich myślicieli podsycało nienawiść, inicjowało wrogość.

— Chcesz mi wpoić przekonanie, że nie trzeba być nieczłowiekiem, aby postępować

jak moi pobratymcy. Chcesz ich sprowadzić do wspólnego z nami mianownika. To na nic się nie zda. Oni są mizrakimi i ja jestem mizrakim. I przeklinam to pokrewieństwo.

— Jesteś od nich całkiem inny — powiedziałem, patrząc na Zoję, która zasłaniała usta ręką, jakby pragnęła zdusić w nich krzyk.

— Mizraki — dodałem — to obłe, półroślinne, półzwierzęce cielska. Jakim sposobem mogłyby dawać początek istotom tak podobnym do człowieka.

Mówiłem coraz głośniej, dowodziłem idiotyzmu tej koncepcji, braku na nią dowodów naukowych. Krzyczałem, tupałem nogami. Chciałem słowami odwrócić rzeczywistość, przez rzucenie na nią uroku. Ulegałem emocji, która czyni nas zawsze naiwnymi, infantylnymi. W tym momencie z wielką siłą powróciło uczucie odmiany, którego doświadczyłem po raz pierwszy, spoglądając na martwego Anzelma

Konseliusza i słuchając matematycznej gry Jonisa Broazisa.

W świecie, znanym mi tak dobrze jeszcze do niedawna, stało się coś, co uczyniło go całkowicie innym, nie moim. Miałem już kiedyś krótkie okresy podobnych doznań, kiedyś w dzieciństwie, po śmierci matki, potem ojca.

Zaczęło się wyjaśnianie. Zoja milczała, tylko jej szeroko rozwarte oczy świadczyły, że i ona zmienia swój świat na obcy. Za automatycznymi drzwiami znajdowali się okrutni porywacze, bestie — nieludzie. Za ścianami tkwiła odwieczna pustka przestrzeni międzyplanetarnej, z daleka prażyło słońce.

Krążyliśmy wokół Księżyca i żadnej znikąd pomocy nie mogliśmy się spodziewać. Na Ziemi nic przecież nie wiedziano o zamachu, a w Bazie Księżycowej stary Archan także nie mógł się niczego domyślać. W czasie rozmowy ze współwięźniami

zastanawiałem się, w jaki sposób dać mu znać o zaskoczeniu, które go czeka, które i jego może zgubić. Słuchając wyznań Jonisa odczuwałem ich niewiarygodność. Była w nich luka zasadnicza: brak dowodów.

Twierdził, że mizraki są istotą-mózgiem i istotą-energią. Jakąż pojemność musiał mieć taki myślący organ, jeśli jego sploty liczą setki tysięcy kilometrów. A więc mizraki to przede wszystkim, to nade wszystko, potęga intelektualna. Czyżby Rilla miała rację? Według wiadomości, jakimi chłopiec dysponował, a wiedział sporo od swoich pobratymców i od świetnie uświadomionego w tym względzie Anzelma, także i zasoby energetyczne tej niezwykłej istoty były wprost nieobliczalne. Według tych informacji mizraki miały zdolność kondensowania ładunków energii o mocy setek bomb wodorowych. Więcej, umiały podobno przerzucać te ładunki we wnętrzu własnego cielska z szybkościami kosmicznymi.

Dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę z obecności mizrakich w naszym pojeździe. I tutaj walały się po kątach w grubych wężowych splotach. Wyglądało jednak na to, że nie mają kontaktu z resztą swego wężowego cielska, pozostawionego przecież tysiące kilometrów stąd, daleko, na Ziemi. Były tu także samotne.

Jonis pochwycił moje spojrzenie.

— Tak — powiedział — one są tu samotne, nie połączone z ziemską resztą. Stanowią jedynie zapas.

— Zapas?

— Oni mówią — wskazał na drzwiczki — że to zapas energii, której potrzeba nam, mizrakim w ludzkiej postaci. Nienawidzę ich, nienawidzę...

— Gdybyś naprawdę nienawidził, a miał z nimi coś wspólnego, nie mógłbyś i siebie znieść — zaryzykowałem.

— To prawda. Oni także — znowu wskazał na drzwi sterowni — także nienawidzą

mizrakich. Pogardzają sobą, swoim pochodzeniem. Nienawidzą siebie samych. Chcą być ludźmi. Mówili mi, że chcą odrodzić ludzkość.

Trochę mi się mieszało w głowie. Spróbowałem usystematyzować histeryczną relację Jonisa i wiadomości dotychczas zdobyte. Powiedzmy, że istnieje faktycznie stwór stworów, mózg mózgów, istota o nadzwyczajnej inteligencji, naładowana energią jak tysiąc wulkanów i pragnie ona przekształcić się w ludzi. W jakiż sposób mogłaby to zrealizować? Nie obserwuje się przecież żadnych przejawów jej konkretnego działania. Wyobrażałem sobie obłe cielsko mizrakich raczej jako hodowlę samego mózgu. Robiono już takie doświadczenia na zwierzętach.

Trzasnęły drzwiczki od sterowni. Łysy podszedł do mnie, klepnął mnie poufale w ramię.

— Darmo kombinujesz, staruszku.

Odgadłem twój tok rozumowania. To prawda, że nasi protoplaści, że mizraki nie znają sposobów konkretnego działania, nie opanowali sztuki metamorfozy, mimo że marzyli od wieków, by zostać ludźmi. To wy, ludzie, wynaleźliście ten sposób. Rilla Mizraki, stary Archan ze współpracownikami. To wy wynaleźliście nas, podobnie jak waszym dziełem jest „hormon bólu". Dlatego jesteśmy identyczni z wami.

Dlatego, budując nową ludzkość, chcemy się odciąć od was.

— Torturując i mordując — wybełkotałem klęczący, już tak jak Zoja pełen pokory i zarazem buntu. Z Łysym szedł naturobot i lepkimi łapskami zmuszał nas do uległości.

— Nikogo nie zabiliśmy — powiedział spokojnie Łysy, patrząc z pogardą na nasze klęczące postaci. Jonisa do uklęknięcia nie zmuszał. — To raczej wy w upadku, w rozpaczy, z miłości i z nienawiści, w

fanatycznym upojeniu jesteście zdolni do zabijania.

— Nieprawda — zawołałem, usiłując wstać z kolan.

— Zobaczymy — powiedział, wpatrzony w wizjer, który właśnie ukazywał roziskrzony gwiazdami kawałek nieba. I zaczął mocnym, niemal wielkim głosem, jakby przemawiał, mówić o miłości, jaką mizraki darzyły zawsze ludzi. Nie wiedział, skąd się ta miłość wzięła i odkąd się datuje, w jaki sposób ją odziedziczył on i jego kompani, ale czuł zawsze nieodpartą chęć życia pełnią człowieczeństwa. Mizraki, ten wielki, nieskończony mózg o zaziemskim pochodzeniu, przekazały im tę miłość w momencie, gdy zostali utworzeni.

Tak, użył wyraźnie słowa „utworzeni”, choć się przy nim zająknął, jak gdyby chciał się wyrazić, że zostali stworzeni. Mizraki — bezkształtna mądrość, cudowna inteligencja bez żadnych szans działania, zazdrościły

zawsze człowiekowi jego czynnego, zmysłowego życia i użycia. Jego wzlotów, upadków, anielstwa i diabelstwa.

— Jednostajność wegetacji mizrakich, ich wieczna, nieznośna wspólnota, w której każdy jest wszystkim i wszyscy są każdym, nie ma początku ani końca, nie zna narodzin ani śmierci. Nie ma historii ani sztuki. To budzi nudę, każe bogom zejść na Ziemię, nawet gdyby przez to mieli utracić swą boskość. Tak, to jest coś w tym rodzaju — dodał szybko widząc, że zabrnął w biblijny niemal patos. A my popatrzyliśmy na niego teraz dopiero nie jak na istotę z innej, może, planety, ale na pewno z innej epoki. Zdenerwował się.

Pokazał kapłańskim ruchem obłe, milczące cielska istoty, której potomkiem się mienił.

Zawołał:

— Mizraki nie cierpią, nie odczuwają żadnego bólu W ani psychicznego, ani

fizycznego. One tylko wiedzą, wiedziały zawsze, że jedynym przeciwieństwem ich wiecznego marazmu jest krótkie życie ludzkie. Chcą tego życia za wszelką cenę. Rozumiecie? Nie wiem, czy to trwało setki, czy tysiące lat. Mizraki nie rozumieją czasu, wieczność nie liczy chwil ani stuleci. Ale ta wieczność pragnie rachować swoje dni, chce skończyć ze swym nieustannym istnieniem zbiorowym, chce mieć początek i koniec, chce podzielić się na tysiące, na miliony imion. Chce odczuć nienawiść i miłość, doświadczyć bólu i rozkoszy, codzienności i szału.

To, co przez stopniowe opanowanie przyrody traci ludzkość, my pragniemy odrodzić, my, pochodzący bezpośrednio z mizrakich. Czy teraz to już jest bardziej jasne?

— Chcecie odrodzić człowieczeństwo, eliminując prawdziwych ludzi. Skąd ja to znam?

Naturobot, pobudzony widocznie niesłyszalnym rozkazem, znowu mnie zmuszał do padnięcia na kolana. Jonis poskoczył do Łysego krzycząc:

— Zostaw go, zostaw ich.

Widział, jak Zoja klęka nie uderzona. Jak się gnie z samego już tylko strachu. Ach, więc Jonis był już taki silny. Wydało mi się to niewiarygodne. Widziałem na własne oczy, jak po tylu ciosach i mękach zmaga się teraz z Łysym, opasłym siłaczem. Jak tamten nie może się wyrwać z jego długich i żylastych rąk. Robot nie reagował. Widocznie odróżniał mizrakich od obcych. Nie wiadomo jakim sposobem, ale musiano go i tego już nauczyć, jeśli nauczono go katowania, którego nikt na Ziemi nie stosował od lat.

Uznałem tę walkę za pierwszą a może jedyną nadarzającą się okazję do działania.

Dojrzałem otwarte drzwiczki do sterowni, rozwarłem je i jednym susem skoczyłem do niewielkiej salki nawigacyjnej, w której za

pulpitem stali dwaj z wąsikami — sobowtór Rilli i sobowtór Archana. Z otwartej, przygotowanej widać na wszelki wypadek do akcji szafki z bronią porwałem pierwszy z brzegu pistolet. Był to pistolet do zastrzykiwania „hormonu bólu". Jeden z moich przeciwników przemknął koło mnie i uciekł, drugi zaatakował. Liczył, że zdoła mnie obezwładnić zanim „hormon bólu" zacznie działać, a może wierzył, iż mizrakim hormon niczego nie zrobi. Coś w tym rodzaju słyszałem już z ust Łysego. Ale ja nie nacisnąłem spustu, tylko ciężką głownią trafiłem go w czaszkę. Upadł, lecz szybko, choć z trudem dźwignął się na kolana.

— Człowieku, daruj mi — błagał.

Uderzyłem go po raz drugi. Zwinął się w kłębek jak robak. A potem wymierzyłem lufę w jego twarz siną i nieruchomą i całą serię cieniutkich pocisków z „hormonem bólu" wstrzeliłem w tę znienawidzoną fizjonomię. Gdy leżał przede mną i przestał łapać

powietrze, wydało mi się, że zabiłem Rillę Mizraki, że zabiłem ją samą ponownie, nie zaś jej sobowtóra.

Na chwilę mnie to sparaliżowało. Ale już zdążyłem zaryglować drzwiczki, znałem dobrze automatykę nowoczesnych zamków i stanąłem twarzą w twarz z półkolistą aparaturą o setce klawiszy i kilkudziesięciu oczach wskaźników. Tak, był to wielki robot, którym kierowało się mową i dotykiem, raczej wielka głowa służąca do sterowania pojazdem.

Chciałem przede wszystkim połączyć się z Bazą Księżycową. Powiedziałem to głośno i na wezwanie zabłysła rytmiczna seria wskaźników w prawym kącie, tworząc razem duże świetlne „K". Wskaźniki pulsowały. Bałem się naciskać od razu klawisze, aby nieopatrznie nie spowodować katastrofy.

— Zostaw to — usłyszałem wokół siebie, dochodzący ze wszystkich stron głos Łysego.

Odskoczyłem od klawiatury, która dalej

pulsowała swymi żółtymi wskaźnikami. Zrozumiałem natychmiast, że zapora drzwi nie puściła, że Łysy po prostu włączył tylko głośniki.

Nie było go jednak na wizji. Ekran, na którym mógłby się zapewne ukazać, tkwił ciemny nad błyszczącymi światłami. Widocznie Łysy nie zdołał jeszcze w pełni opanować sytuacji w kabinie.

Słuchając powtarzającego się, huczącego zewsząd głosu Łysego, przypatrywałem się rozpaczliwie klawiaturze. Wśród jej symboli dojrzałem wreszcie znany mi z listów Archana symbol Bazy Księżycowej. Archan nazywał go swoim herbem i mówiąc o nim zwykle śmiał się ze mnie: „Twoim herbem musiało być kłamstwo". Prawda — odkrzykiwałem mu wtedy.

Drżącymi palcami leciutko dotknąłem klawisza, poczułem, jak mi ucieka spod opuszków, jak prąd płynący z mego palca włącza go. Cisza. Obejrzałem się. Przede mną

z podwiniętymi nogami, skręcony leżał mój przeciwnik.

— Uwaga — powiedziałem. — Baza Księżycowa. Muszę mówić z profesorem Archanem. Natychmiast. Słyszysz mnie?!

— Jedynie ja ciebie słyszę — huczał znowu głos Łysego. — Zostaw to. Nic ci z tego nie przyjdzie. Nie umiesz się z tym obchodzić. Zostaw w tej chwili i wejdź wreszcie tutaj.

Inaczej twoi pupile będą zmuszeni wzajemnie się wyniszczyć,. Kogo wolisz oddać na pierwszy ogień? Zoję czy Jonisa? Może Jonisa, żal mi go, bo jest z naszych. Ale cóż, Zoja bardziej do tego przywykła. Po prostu pełni kolejną misję. Zrobisz to Zoja, prawda?

Usłyszałem teraz okrzyk Zoi, przeraźliwy, nieartykułowany. Wrzask zniewolonego zwierzęcia.

— Jeśli jej, jeśli ich nie zostawisz w spokoju, zniszczę wszystko. Widzę tu taki

klawisz... — powiedziałem, nie mając pojęcia jakbym to zrobił.

— Nie umiesz niszczyć.

— Zniszczę. Już.

— Zaczekaj, niczego nie niszcz — posłyszałem nagle głos Archana. Kontakt z nim spowodował automatyczne wyłączenie odgłosów z kabiny. Wydało mi się, że byłem nareszcie sam na sam z profesorem.

— Automaty szukały mnie. Nie chciałem jednak przerywać pracy. Co ci się stało?

W kilku słowach naszkicowałem sytuację. W momencie, gdy użyłem słowa „mizraki", przerwał mi.

— To nie są żadne istoty pochodzące z innej planety. Powstały z odpadów, ze śmieci. I z nas, i z tego cielska, które pewnie tam koło ciebie się wala. Nie bój się ich. Ja mam na nich sposób. Staraj się utrzymać w sterowni. Od czasu do czasu będę ci doradzał, jak masz postąpić. Nie ugnij się. Nie daj się stąd wziąć. A teraz wyłącz się. Damy sobie

radę.

Ponownie musnąłem klawisz.

To, co wówczas usłyszałem, nie było krzykiem Zoi, ani jękami Jonisa. Krzyczał, wył Łysy. Wycie przeszło w łkanie. Za chwilę odezwał się znowu, zewsząd, ale szeptem, który głośniki zamieniły w szum, głośny jak przypływ morza.

— Mówiłeś, że my zabijamy, że wy jesteście bez zmazy. Patrz. To była moja próba.

Nasza próba. Uśmierciłeś mego przyjaciela. Przypatrz mu się.

Mimo woli spojrzałem na leżącego, jakże był podobny do Rilli. To toczące się koło, ta lawina, która mnie porwała, od chwili gdy zobaczyłem martwego Anzelma Konseliusza, zrobiła ze mnie innego człowieka. Takiego, jakim nigdy nie chciałem zostać. Przed którym się broniłem przez całe dotychczasowe życie. Nie wiem, jak długo stałem wpatrzony w swoją ofiarę. Nie wiem,

jak to się stało, że nagle zobaczyłem drzwiczki od kabiny rozwarte na oścież i poczułem twarde jak żelazo i lepkie dłonie naturobotów.

## VIII

Stary Archan, uprzedzony przeze mnie nie dał się zaskoczyć ani zastraszyć. Natychmiast powiadomił o ataku na prom wszelkie kompetentne instytucje ziemskie. Słyszeliśmy część tego komunikatu, komentarze i pocieszenia. Porywacze nie krępowali się nas, nie starali się zamykać przed nami środków masowego przekazu. Przeciwnie, udostępniali nam je, żebyśmy się mogli wsłuchiwać w uparte milczenie starego uczonego z Bazy Księżycowej, co miało nam odebrać nadzieję na pomoc. A także nie szczędzono nam nieustannych, płynących z Ziemi lamentów i wyrazów współczucia dla naszej nieszczęsnej doli. Pozdrawiano nas,

obiecywano energiczne działania, ale oprócz gadania niczego nie przedsiębrano. Łysy i jego towarzysze obserwowali nasze miny po każdym takim komunikacie. Wiedzieli doskonale, że wtedy właśnie potęguje się nasza rozpacz i nasza tęsknota, a także nasze poczucie dystansu i żalu do bliźnich za to, że nie ratują nas z opresji.

Gdy tylko przyszedłem do przytomności po akcji w sterowni, Łysy wprowadził ze sobą do kabiny pasażerskiej sobowtóra Rilli. Ujrzawszy go przy życiu nie wpadłem w euforię.

— No, i kto tu zabija — powiedział Łysy. — Zabiłeś go, staruszku, naprawdę go zabiłeś, ale on jest mizrakim, on zmartwychwstał. Szczerze mówiąc wolałbym, aby nie wyżył.

Tak jest, wolałbym.

Sobowtór Rilli spojrzał na niego z wyrzutem.

— A cóż ty myślisz? — zwrócił się Łysy do niego. — To zmartwychwstanie jest twoją,

moją, jest naszą przegraną. Znakiem, że jeszcze w pełni nie staliśmy się ludźmi. W ten sposób sprzeniewierzamy się naszym mocodawcom. Ale tobie, staruszku — powiedział to już do mnie — tobie pokazałem dowodnie, do czego zdolny jest człowiek, nawet taki jak ty. Roztrwaniasz już swoje zasady, ideały. Przestajesz być sobą.

Wiedziałem, że aby powrócić do normalnych warunków każde z nas było gotowe coraz więcej poświęcić, oddać. Odsprzedać jak gdyby część siebie, żeby resztkę swego „ja" jeszcze ocalić, zachować chociaż na krótki czas. Traciłem szacunek dla siebie, dla swoich bliźnich, czułem rosnącą niechęć do przodków, do całej ludzkiej tradycji. Przestawałem ufać w potęgę umysłu Archana. Te bestie, które nas tu trzymały wydały mi się bez porównania mądrzejsze.

Znowu wstąpiła we mnie otucha, gdy Archan tubalnym głosem zapowiedział walkę.

Rozpoczął ją natychmiast. Mógł odesłać nas z powrotem na Ziemię, zawrócić pojazd i wymusić odwrót. Równałoby się to jednak naszej nieuchronnej zagładzie. Porywacze, nie mając innego wyjścia, pozabijaliby nas, chociażby dla zemsty. Walka Archana polegała na razie na umiejętnym odwlekaniu decyzji. Stary uczony musiał być bardzo skołowany, jeśli jedynym sposobem, jaki znalazł, było odwlekanie. Ale i za to byłem mu wdzięczny.

— Ciągłe odpychanie waszego pojazdu to dobra próba dla mojej nie używanej energii laserowej. Mogę ją precyzyjnie regulować i koncentrować na waszym pojeździe tak, że krążąc wokół Księżyca nie wróci na Ziemię ani też nie wyląduje w Bazie Księżycowej. Będziecie tak krążyć wokół mnie i czekać, czekać, co ja dalej zrobię. Ludzie z nadzieją, a mizraki?

O, powiedzcie mizraki, jak się wam mój plan podoba?

Była to niewątpliwie próba psychologiczna. Liczył na to, że porywacze poddadzą się.

Jak długo będą mogli utrzymać się w takim stanie, który nie dawał im żadnych korzyści, żadnych szans? Pomyślałem sobie jednak, że ten chytry lis gotów był i nas w końcu poświęcić.

Cóż, bronił arsenału, bronił pracowni naukowej, od której w dużej mierze zależały dalsze losy całego świata. Trudno mu to było mieć za złe. Nawet, jeśli w głębi ducha postanowił już przekreślić nasze istnienia. Liczył się z taką ewentualnością. Tak, domyśliłem się tego, że się z nią serio liczył, bo zaraz po pierwszym komunikacie — ultimatum wzywającym Łysego i jego bandę do kapitulacji i to bezwzględnej, ogłosił:

— Słuchajcie mnie, wy, którzy siebie nazywacie mizrakimi. Już zaczynam koncentrować promieniowanie laserowe na powierzchni promu. Zaciskam pięść

pancerną laserów wokół skorupy pojazdu. Jeśli w tych warunkach spróbujecie użyć silników do wydarcia się z tej pięści w którąkolwiek stronę, skorupa pęknie. Na razie każę wam użyć całej energii, jaką dysponujecie, do stworzenia umacniającego pierścienia energetycznego, który zrównoważyłby nacisk promieni laserowych na pojazd. Rozumiecie? Daję wam na to pół godziny czasu.

Wiem, że w takim terminie jest to przy pewnym wysiłku możliwe. Do roboty. Albo niech wszystko zginie. W zduszonej kapsułce zostawię was na zawsze w przestrzeni. Nie liczcie na pomoc energetyczną prawdziwych mizrakich, tych obłych cielsk, które się tam obok was walają po kątach. One są oddzielone od swego ziemskiego zaplecza i dlatego nie będą was długo wspomagać. Obliczyłem to dokładnie. Tu nie ma mowy o wieczności. Tak jest, nie ma o niej mowy.

Łysy wysłuchał rozkazu z otwartymi

ustami, zupełnie skamieniały. Potem odwrócił się i dojrzał przestraszone twarze swoich podkomendnych. Starał się opanować. Ale gdy mówił:

— Nie wierzę, profesorze Archan, nie wierzę, żebyś poświęcił swoich Ziemian — głos mu drgał i załamywał się.

Mijały minuty. Archan nie odezwał się już więcej. Łysy zabrał swoją kompanię i zniknął w sterowni. Zoja uśmiechała się. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy, gdy po piętnastu minutach poczuliśmy, jak temperatura wewnętrzna kabiny szybko zaczyna rosnąć. Uczony widocznie rozpoczął już zaciskanie laserowej pięści na kompozytowym poszyciu pojazdu.

Jonis zbliżył się do Zoi. Usiadł przy niej, przytulił głowę do jej kolan i tak w milczeniu trwali.

Nie wiem, dlaczego powiedziałem wówczas głośno, kierując te słowa do Zoi i Jonisa:

— Urządzenia Bazy Księżycowej przygotowywano także z myślą o wyrzuceniu Księżyca, a nawet Ziemi z ich orbit wokółsłonecznych.

Temperatura rosła. Gorąco stawało się nieznośne. Nie dano nam żadnych płynów, skąpiono wody. Paliło nas pragnienie. Minuty zaczęły się dłużyć, rozrastały się, stawały się torturą. Archan był konsekwentny. Przypomniały mi się wrażenia z pożaru w bloku mieszkalnym Rilli. Znowu za nami przyszedł ten koszmar, nawet tutaj dogonił nas.

Nie zauważyliśmy, kiedy temperatura powróciła do normy. Gdy spojrzeliśmy na czasomierze, stwierdziliśmy, że minęła niecała godzina od ultimatum Archana. Poczułem radość.

Nie tylko dlatego, że przestępcy ulegli, że przegrali pierwszą bitwę psychologiczną. Zrozumiałem, że żadne z nas nie boi się już śmierci. Przed chwilą nawet czekaliśmy na

nią. Przypomniałem sobie słowa Archana, gdy dyskutowałem z nim jeszcze na, początku jego kariery.

On był wówczas asystentem na uniwersytecie, ja szczeniakiem z gimnazjum.

— Człowiek nigdy naprawdę nie boi się śmierci, drży tylko przed umieraniem. Miał rację teolog osiemnastowieczny Messilon, mówiąc że śmierć jest jak horyzont. Gdy idziemy naprzód mamy złudzenie, że się oddala. Przecież każdy dla siebie jest wieczny, bo nie zna, nie czuje swego początku ani końca. W tej swojej wieczności staramy się uciekać od siebie, od naturalności w świat wytwarzanych przez nas pośredników. Nauczyliśmy się także zabijać za pośrednictwem precyzyjnych, nieczułych i bezmyślnych narzędzi. Okrucieństwa naszych decyzji złagodziliśmy brakiem osobistego uczestnictwa w ich wykonaniu. Prawda, że nikt z nas nie skrzywdzi nawet muchy. To znaczy, nie niszczymy jej

bezpośrednio, przecież mamy tyle środków do tępienia owadów.

— Więc boimy się cierpienia? Tylko cierpienia?

Milczał.

— A ty boisz się cierpienia?

Nie odpowiedział. Ale i to mi wystarczyło. Wobec ostatecznych problemów stajemy się naiwni, prości. Nie uniknęli tego także nasi prześladowcy. Jakże ludzcy byli jednak w swych reakcjach.

Łysy podszedł do mnie. Miał niepewną minę, przy tym obserwował dokładnie moją twarz. Był ciekaw, co mu odpowiem, jak się zachowam. Nie chodziło mu zapewne tylko o wysondowanie mojej opinii. Zrozumiałem, że w swych rozmowach ze mną interesuje się nade wszystko tym, co odczuwam i co myślę, doznając cierpień i patrząc na cierpienia innych.

Studiował naturę ludzką.

— Mam sposób na waszego genialnego

Archana — powiedział. — Z konieczności będziemy każde z was, po kolei, wystawiali na działanie kosmicznego upału i zimna, a także na ciśnienie energii emitowanej z laserów Bazy Księżycowej.

— Chcesz wymordować wszystkich?

— To nie my będziemy was zabijać. To może zrobić sławny profesor Archan, albo pozwoli nam wylądować.

— Nigdy się na to nie zgodzi.

— Będzie więc musiał niszczyć was powolutku. To z kolei nasza próba psychologiczna.

Rozumiesz, staruszku? Próba dla niego i dla was. Będziecie go jeszcze błagać, aby nas wpuścił do Bazy. Tak, wy sami proście go o to na klęczkach.

Wprowadzono Zoję i jakieś dziesięć osób w mundurach i kombinezonach. Wszyscy byli mocno skrępowani. Jonis ryczał najgorsze złorzeczenia, wył jak zwierzę. Trzymali go siłą w sterowni, aby nam nie

pomógł.

— Powiesz, staruszku, Archanowi o naszym na niego sposobie. Przedstawisz mu nasz plan ze swoim błagalnym komentarzem.

— Nic nie powiem. Mów sam — odparłem.

— Musisz pogadać z Archanem. Ty musisz. Patrz na nich.

Nie odzywałem się.

— Więc chcesz skazać na śmierć tych ludzi? — pytał Łysy pokazując mi zmaltretowanych członków załogi i grupkę naukowców, których dotąd trzymano w innym, tylnym pomieszczeniu. Pokazał mi ich, żebym wiedział, że żyją i że mają jeszcze pewne szanse przeżycia, jeśli ja i Archan skapitulujemy.

Milczałem.

Zbliżył się do mnie, pochylił się nad moją głową. Rzuciłem się mimo woli do tyłu w nagłym strachu przed bólem fizycznym. Przez ułamek sekundy zdawało mi się, że

nadszedł mój kres. Jednakże on szeptem, aby ani jego ludzie, ani więźniowie nie słyszeli, powiedział prosząco:

— Stary człowieku, pogadaj z Archanem, przedstaw mu moje warunki. On ze mną nie chce gadać. Próbowałem. W ogóle się nie włącza.

Jeszcze raz spojrzałem na grupkę wynędzniałych ludzi, którzy wyprostowani, utrzymywani w pozycji na baczność przez roboty, karzące za najmniejsze uchybienie rozkazom, patrzyli na mnie w milczeniu, ale z tak błagalnym wyrazem twarzy, że uległem.

— Dobrze — odparłem bardzo głośno. — Jeśli Archan nie chce z tobą rozmawiać, to ja mu powiem o twojej kolejnej nikczemności, o tym, co chcesz z nami zrobić. Nie spodziewaj się jednak po mnie żadnego komentarza.

Połknął tę pigułę, choć widziałem, jak się mienił na gębie, jak siniał i czerwieniał z wściekłości. Ujął mnie pod rękę, dźwignął z

ziemi i wraz z naturobotem powlókł do sterowni.

Byłem kompletnie wyczerpany. Czułem, że doszliśmy do krańca możliwości.

— Mów do Archana, opowiadaj mu. Twoi ludzcy krewniacy będą tam, w kabinie, słyszeli każde twoje słowo. Będą świadomi, jak ich skazujesz i jak skazuje ich twój przyjaciel na powolną śmierć.

Urządzenia uruchomione. Słychać ostre tykanie sygnału teleprzekaźnika, coraz gwałtowniejsze, wspierane jaskrawym światłem. Wiedziałem, że słyszą nas w tej chwili nie tylko Archan i członkowie jego załogi, lecz także dyżurni stacji ziemskiej, jeśli już ustały przerwy w łączności radiowej. Zrozumiałem, iż moje osłabienie płynie nie tylko z wyczerpania fizycznego. Czułem brzemię odpowiedzialności, jaka na mnie zaciążyła w tym momencie. Wobec całego świata miałem współdecydować o życiu lub śmierci ludzi. Nigdy nie chciałem tego robić,

nigdy nie miałem dość odwagi, aby ingerować w czyjeś losy. W znacznie zresztą błahszych sprawach niż ta, która tutaj miała się rozstrzygać. Byłem bliski zupełnego załamania.

Czułem się jak zagubione dziecko, małe, nędzne i bezradne.

— Archan — wołałem głosem pełnym tłumionych łkań. — Archan, odezwij się. Muszę ci coś powiedzieć.

Milczenie.

— Archan, błagam, odezwij się.

Musiał nas słyszeć, musiano nas słyszeć także na Ziemi. Ale ani z Bazy Księżycowej, ani ze stacji ziemskich nie dochodził żaden odgłos.

— No cóż — z wściekłością krzyknął Łysy — będziemy twoich ludzi wystawiać po kolei na zewnątrz pojazdu. Do skutku.

Spojrzałem na swoje dłonie, które mi rozwiązano przed rozmową. Były wolne. Dawało mi to jakąś możliwość. Zacząłem

myśleć nad sposobem na tego: łajdaka. Robot stał przy drzwiczkach, drugi czuwał nad Jonisem. Koło mnie znajdowała się specjalna półka, otwarta, napełniona pistoletami Najpierw go pchnę — pomyślałem — a gdy się zatoczy, znajdę czas na wybranie któregoś z dalej położonych pistoletów laserowych, z którymi jako tako umiałem się obchodzić. Czy zdążę jednak taką broń odbezpieczyć i wymierzyć, zanim on przystąpi do odwetu.

— Jonis, ona pójdzie na pierwszy ogień, ta twoja Zoja. Cóż ci z niej. Jesteś przecież mizraki. Brać tę kobietę z krwi i kości.

Prom często drgał teraz pod naporem naciskającej na jego powierzchnię energii laserowej.

Wciągnęli do sterowni Zoję, wcisnęli na jej delikatne ciało szorstki kombinezon, na głowę wetknęli przezroczystą kulę.

Wyobraziłem sobie, jak ją będą wyrzucać na zewnątrz. Ale nie wiedziałem, co się dzieje z człowiekiem w takich warunkach. I to było

dla mnie jeszcze gorsze od świadomości najgorszego. Musiała myśleć to samo.

— Boisz się, boicie się śmierci? A przecież każdy z was musi umrzeć. Musi — powiedział Łysy.

— Tym droższa dla nas, ludzi, staje się każda minuta, każdy ułamek sekundy naszego istnienia — odparłem przez zaciśnięte zęby

Nie patrzył na mnie. Śledził każdy ruch skazanej. Schylił swój łysy łeb nad jej twarzą, dotykał nosem plastyku jej kuli, obejmującej głowę.

— Właśnie tego nie rozumiem. Tego nie mogę pojąć. Tych waszych subtelności: sekundy, ułamki sekund życia Czego tak bronić? Tego chcę się do wiedzieć, chcę to czuć.

Mocował kulę skafandra na szyi dziewczyny. Wtedy nie wytrzymałem. Mój naiwny plan zaczął się urzeczywistniać.

Zdążyłem, chociaż wydawało mi się, że

trwa to dziesiątki minut. Pochwyciłem rurę wyrzutni laserowej i nie zdając sobie sprawy, iż robię to szybciej niż w normalnych warunkach, szybciej niż on zdążył zareagować, wymierzyłem cios w głowę Łysego. Padł i zastygł w bezruchu. Znowu uniosłem rurę. Tym razem miałem wrażenie, że robię to już błyskawicznie. Trafiłem jednak w próżnię.

On już był na nogach, już ściskał mnie swymi ogromnymi ramionami, dusił, dławił, wzywał pomocy. A gdy leżałem pod jego stopami, powiedział dysząc:

— Jesteś najprawdziwszym człowiekiem, najprawdziwszym z was wszystkich. Archan też musi być takim samym, jak ty, dobrym człowiekiem. Na to liczę.

— Bracia — zwrócił się do swoich. Już nie wzywał robotów. — Jemu dać kombinezon, jego pierwszego wypchniemy z pojazdu.

Nie bałem się. Nie wierzyłem jednak, że naprawdę zaryzykuje, sądziłem już teraz, że

to po prostu gra. Mógł przecież nas oboje, Zoję i mnie, wyrzucić na zewnątrz. Tymczasem widziałem, jak ściągano z niej kombinezon, jak do jej ciała przypadł uwolniony już z więzów Jonis. Jak ją cucił i ratował. Odetchnąłem. Nie interesowałem się odtąd zupełnie tym, co ze mną zrobią. Uważałem, iż to maskarada, którą zaaranżował Łysy, aby zastraszyć Archana i Ziemian. A nawet gdyby to nie była maskarada — pomyślałem — niech się to już dzieje.

Może lepiej, żeby było prędzej. Może ten bydlak ma rację, dziwiąc się, że się trzęsiemy przed każdym ułamkiem sekundy egzystencji. Wmawiałem sobie, że jestem rad, iż to mnie właśnie można poświęcić. Można, ale się nie musi — było echem tej refleksji. Szukałem więc ostatniej deski ratunku, klnąc równocześnie naturę ludzką. Nie znaczyło to, że klątem tylko swoją naturę.

— No, prawdziwy człowieku, w Kosmos.

Dziwne to było wydostać się teraz z temperatury ciepłego pokoju pod prażące słońce.

Zaciskałem oczy przed nielitościwym blaskiem. To był dopiero przedsmak potęgi tego stosu, na którym chciano mnie spalić.

— Kiedy usłyszałem to wszystko w swoich głośnikach, które każdy szelest potrafią uczynić hukiem, gdy użyłem aparatury przybliżającej, która, choć niewyraźnie pokazała mi na ekranach właśnie ciebie, wyhamowałem działanie laserów. Nie wiedziałem co dalej zrobić.

Powiedziałem tym łotrom, że pozwalam im wylądować. Wymierzyli mi celny cios. Wystarczył.

Słuchałem słów Archana, nie wierząc, że to on mówi tuż nade mną. Było po wszystkim.

Wciągnięto mnie najpierw półprzytomnego do śluzy. Robiono jakieś

okłady, smarowano ciało różnymi miksturami. Nie bardzo mnie to obchodziło, chociaż cały czas czułem ból. Przede wszystkim rozsadzało mi czaszkę. Był to pulsujący ból o zróżnicowanej sile. Przypominały mi się sceny z dzieciństwa, a potem twarze, chyba wszystkie, jakie w życiu widziałem, wciskały się w moją, stawały się moimi twarzami.

Starałem się równocześnie zrozumieć, dlaczego mnie wciągnięto z powrotem, czemu darowano mi jeszcze życie. Czemu nie pozostawiono mnie samotnego w przestrzeni, samego wśród wszechświata, w którym, byłem tego pewny, człowiek pojawił się tylko przypadkiem.

Tysiące myśli kłębiło mi się pod czaszką, mieszając się co chwila z bólem, rozrywającym głowę. Dopiero w kabinie, w otoczeniu zupełnie ziemskich przedmiotów (nawet naturoboty miały w sobie coś ziemskiego) uświadomiłem sobie, że

nareszcie mam się komu zwierzyć ze swoich pozaziemskich wrażeń. Istotnie, pierwszą osobą, na którą padł mój wzrok, był profesor Archan.

Miał skrępowane do tyłu ręce. Gdy to ujrzałem, straciłem znów przytomność. Jego ujarzmienie stanowiło dla mnie koniec naszego świata. Nie było już o co walczyć.

— No i wasz Bóg w niewoli — usłyszałem jak przez grubą powłokę radosny głos Łysego.

Archan nie wyglądał jednakże na pokonanego. Nie chciał się widać sam przed sobą przyznać do klęski, czy też bał się obudzić w nas strach z powodu końca naszego świata.

Mówił więc równo, spokojnie, miał nawet pogodny wyraz twarzy.

— Oni, ci, co się mienią mizrakimi — tłumaczył mi — nie są absolutnie z żadnych tam zaświatów. Jestem w posiadaniu dowodów naukowych ich całkowicie ziemskiego pochodzenia. Jakże te bydlęta

mogłyby być z innej planety, jeśli obłe cielska ich protoplastów, tych w kątach, powstały także obok nas, niemal na naszych oczach. Tak, koło nas.

Łysy, przysłuchujący się z pewnego oddalenia jego wypowiedzi, wtrącił:

— W przekazach mizrakich, zanotowanych w języku mikrofalowym, rzeczywiście znajduje się ich historia, którą by można na twój sposób interpretować, profesorze. Być może naprawdę jesteśmy z pochodzenia waszymi uboższymi krewnymi.

Ale Archan jak gdyby nie słyszał. Mówił:

— Cielska mizrakich powstały ze śmieci, z odpadów organicznych. W pewnym momencie nagromadzenie tej potencjalnej, żywej materii, wyrzucanej beztrosko z naszych pól, fabryk i domów, stało się tak wielkie, iż trzeba było tylko zapalnika, aby zamknąć ostatnie ogniwo w łańcuchu nowego życia. Tym ogniwem, tym ogniwem...

Łysy przyskoczył do nas. Chwycił

uczonego za barki i zaczął nim potrząsać, jak gdyby pragnął wytrząść mu z ust następne słowa.

— Och, powiedz wreszcie, powiedz, jakie to było ogniwo. To musisz nam właśnie zdradzić.

Puścił Archana.

— Profesorze, przepraszam cię — powiedział zaraz spokojniej i znowu tonem pełnym szacunku. — Profesorze. My wiemy, że mizraki — tu wskazał na bezwładne cielska walające się po kątach — że ci nasi przodkowie powstali z odpadów organicznych i z energii słonecznej. Pragniemy jednak dowiedzieć się, w jaki sposób tę energię sobie przyswajają.

— Nie słuchaj go — przerwał Archan, zwracając się do mnie. — To naiwny facet.

Sądzi, że zdradzę mu całą prawdę, tylko dlatego, że ma mnie w swoich łapach.

— Profesorze — zawołał Łysy. — Proszę, niech pan nie robi z nas głupców. Rozumiem

dobrze, że jest to jedna z pańskich prowokacji, których zapewne cała seria nastąpi zaraz, żebyśmy działali nierozważnie i zaprzepaścili zdobytą z trudem okazję. Ale, nic z tego. Profesorze, proszę, błagam o wytłumaczenie nam, w jaki sposób powstały mizraki. Bo to skąd my, ich potomkowie, wzięliśmy się, wiemy. Tamtego tylko nam brakuje.

Archan milczał.

— Namyśl się. Radzę ci znowu przerwać to milczenie, zmuszę cię do mówienia, jak już raz zmusiłem, wystawiając twego przyjaciela poza prom. Radzę ci, rozmawiaj z nami. Wiesz o recepcie, jakiej od ciebie potrzebujemy. Po nią tu jechaliśmy. Po nią przede wszystkim.

Dlatego jesteś w naszych rękach.

— Nie znajdziecie tej recepty.

— Zobaczymy.

Łysy uśmiechnął się, ukłonił po raz pierwszy, odkąd go zobaczyłem. Skinął też

dłonią.

Roboty wyciągnęły z kabiny Jonisa i Zoję.

Zostaliśmy we dwójkę. Prawdopodobnie po to, aby podsłuchując naszą dalszą rozmowę, Łysy mógł wysnuć z niej jakieś wnioski. Powiedziałem to Archanowi.

— Niczego się ode mnie nie dowiedzą.

— Już raz dałeś się złapać — odparłem z wyrzutem.

— Nie mogłem pozwolić na twoją śmierć. Masz rację, zlekceważyłem ich.

Istotnie postąpił nierozważnie. Jonisowi udało się skontaktować z profesorem wtedy, gdy mnie właśnie przygotowywano do wystawienia na zewnątrz. Chodziło o ułatwienie inwazji jemu i jego ludziom tuż przed lądowaniem. Prom był pojazdem przystosowanym do lądowania powolnego i ostrożnego. Można było przypuszczać, że Łysy zachowa szczególną ostrożność, obawiając się ataku ze strony załogi Bazy. Musiał więc najpierw, według wszelkiego

prawdopodobieństwa, poobserwować trochę powierzchnię Księżyca z góry. A wszystko z odległości kilku tysięcy metrów widać jak na dłoni. Na to liczył profesor Archan, na nadzwyczajne środki ostrożności podjęte przez Łysego. Łysy nie mógł się spodziewać ataku z tej strony Księżyca, która jest niewidoczna z Ziemi. Baza znajdowała się przecież w bardzo eksponowanym miejscu, tuż na zachodnim skraju krateru Kopernika, na cyplu sterczącym dosłownie nad księżycową przepaścią. Tymczasem na antypodach, w cieniu małego pasma górskiego, nazwanego od imienia znakomitego polskiego fantasty, pasmem Żuławskiego, umieszczono pod okapem skalnym wyrzutnię miniaturowych wahadłowców, pojazdów kosmicznych o bardzo małym jeszcze zasięgu, ale niezwykle przydatnych. Ułatwiały one dojazdy do satelitów sztucznych i naturalnych, a także do laboratoriów zawieszonych w przestrzeni.

Trzymano tę sprawę w tajemnicy, a zaledwie cztery osoby zatrudniano od niedawna w Bazie do obsługi nowego sprzętu.

Dwa z pojazdów były na chodzie, trzeci dopiero przygotowywano do rejsów. Atak na nasz prom, opanowany przez Łysego, miał stanowić jedną z pierwszych ich prób praktycznych. Archan nie był do końca pewny czy to najlepszy sposób, czy nie ryzykuje się zbyt wiele. Jednakże obawa o moje życie i o życie reszty pojmanych przez bandę skłoniła go do inwazji z zaskoczenia. W porozumieniu z Jonisem postanowił, że obydwa pojazdy dotrą do śluzy, przycumują, a Jonis wyłączy wówczas w sterowni „uszy i oczy" promu. Niewielki wstrząs przy cumowaniu nie mógł budzić podejrzeń, gdyż od czasu użycia przez Archana energii laserowej i prób równoważenia jej energią silników promu, pojazd stracił swą dotychczasową stabilność. Podejrzewano nawet awarię urządzeń odpowiedzialnych za

statyczność. Otwarcie kamery ciśnieniowej, a po wyłączeniu aparatury obserwacyjnej, przedostanie się przez nią do środka, wydawało się przedsięwzięciem niezbyt trudnym, zwłaszcza że Jonis miał ubezpieczać wyprawę.

— Uważałem, że mając pomocnika wewnątrz, nie ryzykuję prawie niczym.

— Ale Jonis zdradził, prawda?

— Tego właśnie nie wiem. Jednakże on jest mizrakim. Kto wie, może i zdradził. Dysponuję urządzeniami częściowo kontrolującymi to, co dzieje się we wnętrzu promu. Tego też Łysy nie wiedział. Sprawdziłem więc, że Jonis jest uzbrojony i że naprawdę wyłączył „oczy i uszy". Kamera ciśnień była odblokowana i czekała na wkroczenie moje i moich ludzi. Gdy po krótkiej kwarantannie, zdołaliśmy wcisnąć się do hallu, dzielącego komorę od sterowni, pochwycono nas jednak i rozbrojono. Obydwa pojazdy, puste zresztą, zniszczył

podobno Łysy za pośrednictwem naturobotów uzbrojonych w wyrzutnie laserowe. Nie wiem, czy to Jonis nas zdradził. Być może. Ale to nietypowy mizraki. Mogło być różnie. Wszystkiego nie da się przewidzieć.

— Czy znasz naprawdę tajemnicę mizrakich, od której zależy ich los? Tak przecież wynika z tego, co mówił Łysy — pochyliłem się do jego ucha i powiedziałem to szeptem.

Skinął potakująco głową. Odpowiedział mi przyciszonym głosem:

— Z odpadów powstały te istoty, pod wpływem czynników i składników, o których ja jedynie wiem. Nawet w mojej pracy podałem o tej sprawie bardzo ogólnikową relację. Od dawna podejrzewałem bowiem, że kończy się spokój obłych cielsk, ich diabelska cierpliwość ulega wyczerpaniu. Myślę, że trafiliśmy na okazję, którą przygotowywały od stu lat.

— Świadomość tego, w jaki sposób mizraki mogły powstać daje też umiejętność ich likwidacji — powiedział uczony.

— Już ci się to nie uda — rozległ się otaczający nas zewsząd okrzyk Łysego.

Podsłuchiwał i wzmacniał każde nasze słowo.

— Niechże sobie podsłuchuje. I niech nie sądzi, że się nie zabezpieczyłem. Są i inni, którzy znają receptę na mizrakich i ich łajdacki pomiot.

Zaległa cisza w pojeździe, który krążył coraz bliżej powierzchni Księżyca. Czasem odnosiliśmy wrażenie, że zawadzimy o ostre wierzchołki białych gór, lub roztrzaskamy się o barierę skalną. Ostrożność Łysego stawała się przesadna. Okrążaliśmy raz po raz Księżyc i to zawsze pod innym kątem. Chciał wszystko zobaczyć, chciał się przekonać, czy nie istnieją jeszcze jakieś pułapki zastawione przez starego uczonego.

— Myszkuje głupiec — powiedział Archan,

przyglądając się dobrze znanemu krajobrazowi. — Niczego nie znajdzie.

I wtedy ujrzeliśmy jak dwa niby to zlikwidowane małe wahadłowce, te, którymi chciał nasz pojazd zaatakować Archan, jak jastrzębie opadły nagle Bazę Księżycową. Widać było wyraźnie wybuchy, białe kłęby wypryskiwały w niebo, rozsiewały się po nim, zasłaniając duże połacie gruntu gęstą mgłą.

Archan stał blady i przerażony. Szarpał nerwowo swą ostrą, szpakowatą bródkę.

— Ciągle ich nie doceniam — powiedział. Zasłonił wizjer, zapłonęły sztuczne światła.

— To, co się stało, co się tu dzieje, jest niespodziewanym zwrotem działalności mojej, Rilli i kilku innych osób. Przyznaję, że się tego nie spodziewałem. Nie spodziewałem się, że to co się stanie, tak właśnie będzie wyglądać.

— A więc to ty, to wy sprowokowaliście mizrakich?

— Nic nie rozumiesz.

Już w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku podejrzewano, że wbrew wielu dość ugruntowanym i nieźle udokumentowanym teoriom, na Ziemi mogłoby się wytworzyć życie

w sprzyjających temu warunkach. Życie w formach innych niż dotychczas nam znane. Przypuszczano na przykład, iż mogłoby ono wykluć się z materii częściowo sztucznej, syntetyzowanej przez człowieka.

— Sami sobie przygotowaliście katów — powiedziałem.

Słuchałem Archana, odbierając jego wyjaśnienia, jak gdyby już dawno tkwiły we mnie, jakbym je przeczuł. Podświadome przekonanie, że mizraki zaczną swój niezwykły bunt przerażało mnie od wielu już lat, wynikało z obsesji wpojonej być może nam wszystkim od dzieciństwa przez sploty mizrakich. One były wszędzie, więc wszyscy ulegaliśmy psychozie. Na wszystkich ludzi mogły od dawna wywierać wpływ.

— Mówisz o katach. Dla mnie i dla tych co się na tym choć odrobinę znają, było cudem, że w wyniku naszych, ludzkich działań mogło zrodzić się życie. I to nie tylko prymitywne i nam podporządkowane, jak nasze, pożal się Boże, hodowle przedmiotów czy aparatów.

W przypadku mizrakich, dla których materią tworzenia stały się odpady organiczne, mieliśmy niezwykle szybko do czynienia z istotą-intelektem. Z ogromnym wężem-mózgiem. Właściwie nie wiadomo jak to nazwać, jak określić. Od zarania tej istoty jej ideą fixe było rozrastanie się, sięganie do wszystkich zakątków Ziemi, żeby wszędzie być obecnym, żeby mózg stał się pojemniejszy i energia większa.

Mizraki nie mówią, nie przekazują nam swoich myśli. Przeciwnie, to my kradniemy, usiłowaliśmy ukraść ich myśli, przystawiając do ich ciał-mózgów czułą aparaturę mikrofalową. Otrzymywaliśmy kod, który rozszyfrować o wiele trudniej od pradawnych

hieroglifów.

Hieroglify były zapisem mowy ludzkiej. Tu nie ma kodu i nikt nic nie pisze. Tu z nieartykułowanych zbiegów fal, z nakładań się i różnic kształtów w ich obrazie, staramy się badać, co myślą te istoty. I zdaje nam się, że podstawiając ludzkie pojęcia pod wahania mikrofalowych zjawisk, emitowanych mimo woli, a może z pełną wolą przez mizrakich, poznajemy fragmenty ich myśli. W ten sposób doszedłem do wniosku o ich przemianach energetycznych. Tak to się zaczęło. Tłumaczenie nieprzetłumaczalnego.

— Ale nie znacie całego języka mizrakich.

— Nie wiem, czy kiedykolwiek go poznamy, bo jest to język wewnętrzny, myślowy, abstrakcyjny. Cóż, może mógłbyś ty tu coś zdziałać swoim aparatem do wykrywania myśli.

— Mówisz to serio?

Silił się na uśmiech.

— A poza tym, jeśli chcesz wiedzieć,

istnieją jednak pewne analogie między nami i mizrakimi. Choćby to, że przecież i one, i my zrodziliśmy się na Ziemi. Z ziemskich to warunków zrodziła się świadomość-marzenie, świadomość-zazdrość. Szybko się ukształtowała.

Od samego zarania, od chwili, gdy z wysypisk utworzył się pod ciepłymi promieniami słońca mózg. Jest to, można by rzec, specyficzny intelekt-tęsknota, tęsknota jedynie do tego, aby stać się człowiekiem, aby rozdrobnić się na setki, miliony istnień ludzkich. Wiesz już pewnie, że mizraki chcą zamienić swą bezdziałaniową, wieczną egzystencję-myślenie na działania ludzkie, niosące cierpienia, miłości, klęski i zwycięstwa. Gdy udało się nam uczonym odczytać to z prądów i mikrofal, odbieranych z obłych cielsk, opanowała nas pasja stworzenia warunków do urzeczywistnienia symbiozy marzeń mizrakich z naszymi marzeniami.

— Więc Łysy i jego banda to twory Rilli Mizraki, to twoje twory. Wystarczy zresztą spojrzeć na ich gęby, na łudzące podobieństwo, na ich karykaturalne naśladownictwo każdego waszego ruchu Co zrobiliście? — mówiłem gorączkowo. — Jak to zrobiliście? I po co, po co?

Czy wiesz, że Rillę uśmiercił Anzelm Konseliusz namówiony do tego przez te potwory?

— Tego nie wiedziałem. Wcale nie wiedziałem. Najlepszy dowód, że siedzę tu z tobą w więzach — powiedział załamującym się głosem.

— Trzeba to odwrócić. Musisz! — zawołałem.

Wszedł Łysy. Prowadził ze sobą Jonisa.

— Jonis, jesteś mizraki! No, powiedz im, jesteś mizraki?

— Jestem — odparł Jonis.

— Powiedz im, tyś zdradził nam plan Archana? No, mów. Tyś oddał uczonego w

nasze ręce?

— Oddałem. To prawda.

Łysy cisnął Jonisa w łapy dwóch naturobotów.

— Widzicie, widzisz, profesorze Archan. Przeliczyłeś się. Porzuć nadzieję. Twoja Baza już w moich rękach.

Zza drzwi dochodziły jęki Jonisa, z których można było wyłuskać jedno tylko zdanie:

— Wydałem Archana, żeby uwolnić Zoję od „hormonu bólu”.

— Mówi tak, ale on jest mizraki i nigdy nas nie zdradzi. Zobaczysz, Archan, co stanie się wkrótce.

I wyszedł.

— Słuchaj, powiedz czy to nieodwracalny proces? Jak to się dzieje, że powstały te straszne istoty, ci niby-ludzie, którzy tak nas nienawidzą?

— Są z naszych marzeń.

— Słyszałem już to. Co to znaczy?

Archan ukrył twarz w dłoniach. Płakał. Nie spodziewałem się po nim takiej reakcji.

— Są ulepieni z naszych najcudowniejszych pragnień. Są naszymi ideałami. Pamiętasz, jak Anzelm Konseliusz nazywał Jonisa, pamiętasz, jak go kochał? Tak, kochaliśmy tych nowych ludzi. Oni powstali z naszej miłości i z ogromnej tęsknoty do ludzi przejawianej przez mizrakich. Z miłości i tęsknoty!

Powtarzał to w kółko. Współczułem mu. Wszystko, w co wierzył i co zrobił, obracało się przeciw niemu. Stał się, podobnie jak ja, jak my wszyscy, inny niż oczekiwał. Albo znalazł się w innym świecie. Zanadto identyczny.

## IX

Prom lądował na ruchomym jęzorze runwayu, pokrytym poduszką gazów, łagodzącą siłę uderzenia i hamującą rozpęd.

Dla siedzących we wnętrzu ten zamortyzowany ślizg pojazdu był silnym trzęsieniem ziemi, przyprawiającym o mdłości, a równocześnie zatykającym oddech w piersiach. Widok był wspaniały. Spośród skłębionych chmur gazowych wyłaniała się czerwona wstęga drogi, coraz bardziej pnącej się ku górze. To jęzor dźwigał się w górę, pomagając w ten sposób w ostatecznym wyhamowaniu szybkości.

Stawało się pod szczytem runwayu, nad krawędzią księżycowej przepaści. A wtedy cały jęzor powolutku, ale coraz to prędzej, cofał się wraz z nami, aż zniknął w ogromnej paszczy półkolistego hangaru. Liczyłem, że w czasie kilkugodzinnej kwarantanny ludziom i robotom Archana, jeśli ktoś z nich ocalał, uda się jakaś akcja, która uwolniłaby nas od naszych prześladowców. Przecież i oni musieli się poddawać kuracji przywracającej normalne krążenie krwi i ziemski rytm oddechu. Możliwości działania na naszą

korzyść były tym większe, że wszelkie zabiegi odbywały się we śnie. Wiedziałem, iż zaraz uśniemy i walczyłem z tą sennością, starając się zorientować w sytuacji.

Halę ogarnęła ciemność. Właściwie wielka czerń. Czułem, jak zatracam się w tej czerni, jak przestaję być sobą, roztapiam się. Nie było to uczucie przykre. Przeciwnie. Miało w sobie coś krzepiącego. Odnosiłem wrażenie, że przeprawiam się przez długi most-tunel i byłem pewny ciepłego światła przy końcu tej wędrówki.

Jasno. Zostaliśmy ujęci przez roboty, usadzeni w głębokich fotelach wozu, przypominającego wnętrze starych samolotów pasażerskich. W ten sposób porwano nas do centrum naukowego Bazy. Umieszczono daleko od siebie. Nie mogliśmy się już porozumiewać. Jeśli Archan, podobnie zresztą jak i ja, liczył na mobilizację swej szczupłej załogi i na bunt robotów, słowem na to, że nie znający ośrodka

księżycowego mizraki utkną zaraz po lądowaniu, poddani przymusowemu snowi i różnym zabiegom, grubo się pomylił. Oni zdawali się wszystko wiedzieć. Ośrodek nie miał dla nich żadnej tajemnicy. Znali jego rozkład, sposoby porozumiewania się we wnętrzu, kod uruchamiający roboty.

Na każdym kroku przekonywaliśmy się o ich bezwzględnym już tutaj panowaniu. Cała załoga Archana została uwięziona.

Rozdzielono nas. Było to szczególnie bolesne. Moi współtowarzysze niedoli stali się dla mnie nieodłączną cząstką Ziemi, jakże teraz odległej i jakże przez to ukochanej. Resztę tej ziemskości odebrano mi, odseparowując mnie od Archana, Zoi, a także i od Jonisa.

To dziwne — pomyślałem. — To najbardziej zaskakujące, że ja Jonisa, który przecież mienił się mizrakim, podobnie jak Łysy i jego banda, który zdradził, oddał nas w ręce tych potworów, uważałem za człowieka,

za cząstkę starej planety.

Zostałem w końcu wepchnięty do słabo oświetlonej salki laboratoryjnej, pełnej urządzeń i instrumentów o przeznaczeniu zupełnie dla mnie niewiadomym. Opierałem się, walczyłem z robotami, choć nie wierzyłem w jakąkolwiek szansę uwolnienia. Cóż by mi dała zresztą taka wolność w Bazie opanowanej przez mizrakich? Była to manifestacja oporu.

Niech oni wiedzą, że bez względu na to, co zrobili i co jeszcze mogą zrobić, do końca się nie poddam. Szybko zorientowałem się, po co mnie tu zaciągnięto, zrozumiałem tragiczny cel mej egzystencji, darowanej mi jeszcze na krótki czas.

Prawie każdy chciałby zostawić po sobie swego następcę. Jest to przecież jedyna możliwość przedłużenia ludzkiego życia, zachowania ciągu cywilizacji i kultury. Dlatego chcielibyśmy, aby ci, co po nas przyjdą, byli ideałami, istotami z marzeń.

Niektórzy wierzą, że ich dzieci mają szansę osiągnięcia ojcowskich ideałów. Jakże często dochodzi jednak do rozczarowań. Badanie losów rodzin geniuszy udowodniło, czy raczej starało się udowodnić tezę o głupich dzieciach mądrych ludzi i o złych dzieciach ludzi dobrych. Grupa intelektualistów, którym przewodziła Rilla Mizraki, a z którymi tak blisko współpracował Archan, udowadniała w jednej ze słynnych zbiorowych prac o człowieku przyszłości, iż najcudowniejszą sprawą dla ludzkości byłoby tworzenie przez każdego z nas istot z własnych marzeń. Teraz dobrze sobie przypominam, że teoria ta miała silną podbudowę matematyczną i że wiązała się z eksperymentalnymi badaniami modelowymi.

Z rozmyślań wyrwał mnie głos Łysego.

— My jesteśmy z tych marzeń. Czy zrozumiałeś już wreszcie, staruszku?

— Jesteście karykaturą ludzkich marzeń. Więcej, jesteście antymarzeniami,

antyideałami.

— O czymże ty mówisz, staruszku. Zaprzeczasz własnej genealogii, wykreślasz historię z pamięci tego świata. Co za szatańska przewrotność. A my po prostu wystawiamy was, rdzennych ludzi, na znane wam dobrze z dziejów drastyczne próby. Żeby dowiedzieć się, żeby widzieć na własne oczy to, czegoście się nauczyli, jacy naprawdę jesteście. Sprzedajni, podli, tchórzliwi, zbrodniczy, a może czasem bohaterscy, odważni do szaleństwa. Jeśli mamy naprawdę być waszymi idealnymi następcami, musimy to wiedzieć. Chcemy być bardziej ludzcy niż wy.

— I dlatego jesteście sadystami.

— To nieprawda, staruszku. To tylko próby. Świat przez was zbudowany daleki jest od marzeń. Od waszych, a tym bardziej od naszych marzeń.

Miał rację? We wszystkim co mówił miał sporo racji. Nienawidziłem go.

— Nienawidzić swoich ideałów. To chyba zrozumiałe, że człowiek jest zawsze odległy od tego, co sobie wymarzył, co by chciał, żeby było, żeby się działo, stawało. Nie żądam, abyście nas kochali, ale nie miejcie i do nas pretensji za brak uczuć. Czyż dla siebie stworzyliście nas?

Mówił to z zapałem, może nawet z gorączką. Zastanawiałem się, czy robi to serio, czy też kpi.

— Ja was nie stwarzałem i nie chcę stwarzać — zawołałem.

— Ależ stworzysz, stworzysz naszego przyjaciela, druha serdecznego, a swego wroga, swój ideał, który cię będzie prześladował.

Ogarnęło mnie paniczne przerażenie. Dopiero teraz bałem się naprawdę, ale opanowałem się. Nie chciałem za żadną cenę pokazać im swego strachu.

— Ach, po to tylko mnie potrzebowaliście.

— A właśnie, tylko po to.

— Dlaczego to wszystko robicie? — krzyknąłem z nienawiścią.

— Pragniemy inaczej urządzić świat.

— To nic nie znaczy. To nic konkretnego. To żadna ideologia. Pragniecie po prostu władzy. Tego wam się zachciewa.

— Chcemy jedynie odebrać ją wam, jej niegodnym.

Jałowa gadanina. Ani słowa konkretu. Ten inteligentny bandyta nie może przecież nie wiedzieć, do czego dąży. Chyba że naprawdę nie wie. Może to zabawa w absurd? Jeśli tylko zabawa, to drażniły mnie w niej do szaleństwa akcenty prawdy, drażniły do tego stopnia, że gdybym miał najmniejszą chociażby gwarancję, iż innym to pomoże, byłbym skończył ze swoim życiem. To nie do zniesienia stać na zmurszałym progu nad przepaścią, którą ktoś nazywa nowym światem.

— Jazda, staruszku — powiedział Łysy głosem, w którym drgała pasja badacza. —

Stań się udziałowcem nowego świata.

Odgadywał moje myśli.

Naturobot objął mnie, zacisnął swoje lepkie łapy wokół mego ciała. Wiedziałem, że będę zaraz musiał usiąść przed ekranem, zamykającym wielki jak gdyby kocioł, że dojrzę w oślepiającym świetle wyładowań, jak ożywiają się obłe macki mizrakich, jak zbliżają się do tego kotła. Za ekranem czaiła się czeluść, przypominająca pozbawioną kurtyny scenę teatru.

Będę, wiedziałem to pełen rozpaczy i nienawiści, snuł wbrew swej woli marzenia o ludziach prawdziwych, pięknych, dobrych, delikatnych i mądrych, wielkich i zwyczajnych zarazem. Będę myślał o kimś, kto do mnie podobny, pozbawiony byłby cech, jakie uważam za swoje wady, te małe i te największe. Więcej, cech, które osądzam jako syntezę błędów całej ludzkości. Czegóż chcę? Chcę, żeby ten mizraki, którego na mnie wymuszą, który ze mnie wyjdzie w

teatralną czeluść, z piekielnego kotła, ten co się zrodzi z ideałów i marzeń, a także z odpadów, był całkiem różny od istot, jakie znam. Te marzenia to prawdziwa pułapka.

Wyjdzie więc gotowy, ulepszony, wprost z mych marzeń, ale jakże stanę mu się przez to obcy, wstrętny, mały, cuchnący zgnilizną wszystkich pochowanych w ziemi pokoleń, ich przeklętą ciągłością i historią. Wyjdzie nowy, a gdy mnie rozpozna, musi zapragnąć odcięcia się od swego współtwórcy, od tego, kto go wymyślił. Zechce go zniszczyć, unicestwić ze szczętem. Co też ja wymyślam?

Wywołując marzenia gotujemy śmierć swojemu światu i sobie, w rzeczywistości i przenośni.

W pustce sceny, w błyskach wyładowań ukazywały się twarze, same twarze lub całe ciała — potworowate, niedokształcone. I natychmiast znikały. Żadna z moich wizji nie mogła na szczęście uzyskać trwałości. Przyszedł mi z pomocą brak wyobraźni tak

wytykany od dzieciństwa. Nie miałem wyrobionego wyraźnego ideału. W gruncie rzeczy była to moja osobista klęska, musiałem się sam sobie przyznać, że nie wiem, czego właściwie chcę od tego świata, od siebie, od ludzi. Tak, to była klęska, ale dzięki niej w tej chwili triumfowałem.

Zabłysły wreszcie normalne światła. Laboratorium stało się białe od blasku, a ja czułem mimowolny uśmiech na swej twarzy. Zacząłem się śmiać głośno, coraz głośniej, ryczałem ze śmiechu. Śmiałem się resztkami sił, sterany, zniszczony i pusty, prawie już bez życia. Udawałem jednak, że jestem pełny wigoru.

Śmiech podchwycił Archan, który właśnie w asyście dwóch innych naszych dręczycieli wciśnięty został do tego pomieszczenia.

— Aleście się dali nabrać — powiedział do Łysego, który sterczał nieruchomo nad moim fotelem, jakby zahipnotyzowany tym śmiechem. — On bezdzietny stary kawaler,

on, co nigdy naprawdę nie marzył o żadnym innym życiu, niż to, jakiego doznawał, on, ten poczciwy staruszek miałby wam dać pomocnika, stworzyć istotę lepszą od siebie. O, głupcy.

Zemdlałem i nie wiem jak długo pozostawałem bez przytomności. Gdy się ocknąłem, zobaczyłem roboty czuwające nad dawkowaniem leków i mierzące swymi paluszkami-czujnikami stan mego organizmu. Jeszcze żyłem. Zawsze myślałem, że psychika jest silniejsza w nas, że duch góruje nad kruchą materią ciał.

Drzwi od mojej kabiny były szeroko otwarte. W drugim pomieszczeniu, które pełniło funkcję czegoś w rodzaju biblioteki i zarazem obserwatorium astronomicznego z ogromną obrotową kopułą u góry, siedzieli, jedno obok drugiego, na plecionych żywych krzesłach Jonis i Zoja. Przytuleni, w zapamiętaniu przywoływali na przemian wspólne wspomnienia z okresu początków

ich romansu, gwałtownie przerwanego rewelacjami o pochodzeniu Jonisa, opowiedzianymi Zoi przez Anzelma Konseliusza. Och, nie mogłem mu tego darować. Oni też nie potrafili. Wspominali go z pogardą i z nienawiścią.

Ich krótki, dziecinny romans. Kiedy to było? Czy działo się to naprawdę, czy się w ogóle zdarzyło? Opowiadali sobie z dziecinną czułostkowością .takie bzdury, które nie mogły być faktycznie nigdy nawet rąbkiem prawdy. I święcie wierzyli w te swoje, niby to wspólne wspomnienia. „Nie ma większego cierpienia ponad wspomnienie szczęśliwych czasów” — przypomniałem sobie słowa Dantego i zastosowałem je do naszej obecnej sytuacji, która drastycznie kontrastowała z naiwnością obserwowanej sceny. Czyżby Łysy umyślnie otworzył drzwi, aby mi tych dwoje pokazać, aby podkreślić kontrast? W który krąg piekła wkraczaliśmy?

Najgorsze dopiero nas czekało.

Zastanawiałem się nieustannie, dlaczego mimo nieudanej próby ze swym potomkiem z marzeń jeszcze wolno mi żyć, dlaczego wszyscy żyjemy, czemu budowniczowie nowego ładu nie uśmiercili nas dotąd z całym okrutnym rytuałem.

Gdy wprost zapytałem o to Łysego, odrzekł:

— Jakże ciągle nas, staruszku, nie rozumiesz. Powtarzam, nikogo nie mamy zamiaru zabijać. I nie robimy tego nigdy. Chyba że zostaniemy zmuszeni.

— A co was skłoniło do wywołania pożaru w miasteczku naukowym, do zabicia odkrywczyni mizrakich, waszej orędowniczki Rilli Mizraki, do zamordowania Anzelma Konseliusza, do torturowania waszego, jak twierdzicie, pobratymca Jonisa i Bogu ducha winnej Zoi.

Ilu jeszcze niewinnych macie na sumieniu. Ilu, rzeźnicy!

— Stary człowieku — odrzekł mi z powagą

i dobroduszną wyrozumiałością, pierwszy bodaj raz odstąpił od zwracania się do mnie per staruszku.— Spojrzyj na swoją historię, na waszą i już naszą historię ludzką. Myśmy jej wam ani nam nie wymyślili. Ona jest. Mamy więc prawo żądać od przeszłych pokoleń pokuty, mielibyśmy też pełne prawo ścierać was z powierzchni ziemi. Czego dokonaliście? Co nam zostawiacie? Obok obciążeń i wspomnień tragicznych, trochę pięknej techniki, prawda, pięknej. Zrobiliście ją, szczerze mówiąc z konieczności, aby wyżyć, aby się utrzymać, a może i kogoś jeszcze zawojować. Ale zrobiliście.

Niczego więcej. Jesteście ciągle tacy sami, jakbyście jeszcze żyli na drzewach. Takich was widzimy my, którzy chcemy się przekonać, jakimi naprawdę jesteście. Co jeszcze oprócz techniki możemy po was odziedziczyć, co powinniśmy?

Zapalił się. Ciągnął swój tekst coraz goręcej, jakby przemawiał do wielkich

tłumów, jakby chciał je porwać za sobą.

— Taka jest nasza prawda. Pragniemy wiedzieć, jakie uzasadnienie ma tęsknota mizrakich do człowieczeństwa, tęsknota, której blizny w sobie nosimy. Chcemy znać prawdę nie przesłoniętą sentymentem. Musimy wiedzieć, co z was pozostawić, a co odrzucić jak plewy, jak wy odrzucaliście odpady, z jakich się wywodzimy. Nie wstydzę się tego pochodzenia. Jest dowodem waszej ślepoty. Tuż koło was i przez was, ale bez waszego udziału, bez waszej świadomości powstawało nowe ziemskie życie o uczuciu rozpalonym do czerwoności, mądrzejsze i silniejsze od waszego. A wy patrzyliście na nas i nie dostrzegaliście niczego.

Kompletnie niczego.

Krzyczał głośno, wreszcie zabrakło mu tchu i przerwał.

Nagle po cichu, ale bardzo dobitnie powiedział:

— Sami nie zabiliśmy nikogo, kłamiesz,

stary człowieku. Wybuch i pożar w miasteczku naukowym to był czysty przypadek. Głupota waszych ludzkich fanatyków, którzy woleli pogrzebać siebie i setki innych, niż wydać nam tajemnicę nowego środka wybuchowego. Głupcy, dranie. Zawsze więc ktoś z was nas wyręczał i zawsze wyręczy. Konseliusza z naszego rozkazu usunęła Zoja, wasza Zoja, jego ukochana. To klasyczny przykład waszych charakterów.

— Kłamiesz.

— Nie prowokuj mnie, stary człowieku. Ona to zrobiła. Zaraz cię przekonam.

Wezwał Zoję. Jakże się odmieniła ta dziewczyna w tak krótkim czasie, jakby jej kilkadziesiąt lat ktoś narzucił na barki, na wątłe, chude ramiona. Jonis Broczis starał wejść za nią.

Znowu wywołało to w drzwiach gwałtowną szamotaninę.

— Powiedz mu — Łysy kazał robotom

puścić ją i pokazał na mnie. — No, powiedz mu, jak zabiłaś swojego podstarzałego Don Juana. Przyznaj się, teraz już ci wolno. Teraz to nie ma znaczenia. Zamordowałaś Konseliusza na nasz rozkaz, prawda?

— Nie. Nie zabiłam go. Nie! — zawołała, padając przede mną na kolana.

Łysy chwycił ją za włosy. Ja i Jonis rwaliśmy się z pomocą, ale mocno, nas przytrzymywały cienkie i giętkie ramiona naturobotów. Byliśmy nimi opasani jak linami.

— Łżesz. Zabiłaś go przecież — mówił Łysy.

— Nie. Miałam go zabić, ale go nie zabiłam. Nie!

Dopiero gdy ją puścił, znowu opadła na kolana, lecz sama za chwilę uniosła się powoli, aby zsiniałymi wargami opowiedzieć, co działo się w salonie z fortepianem, przy dopalających się świecach.

Podeszła wówczas do Anzelma, kiedy

jeszcze grał. Mogła od razu go zabić. Była uzbrojona. Zawołała:

— Anzelm. Anzelm. Spójrz na mnie!

Zerwał się przestraszony. źle się czuł ostatnio. Odnotował to zresztą w zapisie zarejestrowanym na magnetycznym drucie. Uważał jednak, że to wina spóźnionej i źle ulokowanej miłości, zazdrosnego opętania.

— Anzelm — powtórzyła, zbliżając się do niego z ostentacyjnie wyciągniętą bronią. —

Mam cię zabić. Muszę cię zamordować.

Uprzedzała go, pragnąc, aby ją rozbroił, aby nie musiała sama rzucać tej przeklętej broni.

— Ratuj mnie — jęknęła, gdy ku niej poskoczył.

Ale on upadł na ziemię, w tym miejscu, na którym go potem znaleziono. Nie pojmowała, co się mogło stać. Dlaczego leży nieruchomy. Była załamana, na półprzytomna. Gnana lękiem wybiegła i błąkała się wiele godzin po mieście.

— To jest wszystko. To tak właśnie było.

— A więc z góry wiedziałaś, że go nie zabijesz? — pytał Łysy.

— Nie mogłam.

— A teraz? — rozejrzał się świdrując oczami każde z nas. Jego gładka, goła czaszka lśniła w białym świetle jak korona. — Teraz zabijesz profesora Archana. On także musi zginąć. Po pierwsze jest dla nas najniebezpieczniejszy, a po drugie, i to wydaje mi się znacznie ważniejsze, nie chce nam wyjawić naszej tajemnicy. Naszej. Nie chce nam oddać tego, co bezspornie do nas należy. Musi umrzeć.

Z pasją wydawał ten wyrok. Czułem, że jeśli Zoja mu odmówi, będzie po kolei nas wszystkich wystawiał na tę samą próbę, barbarzyńską i idiotyczną. Przyszło mi więc na myśl, żeby załatwić sprawę polubownie. Chciałem Łysego przechytrzyć. Obiecałem, że porozmawiam natychmiast z Archanem sam na sam. Koniecznie. I nakłonię go do

rozsądnych pertraktacji.

— O czym tu pertraktować.

Mówił do mnie przez zęby. Przez wściekłość przebijała jednak ciekawość i nadzieja.

— Cóż nam z waszej tajemnicy, zwłaszcza tutaj, gdy jesteśmy w waszych rękach — odparłem.

— O jakich tu pertraktacjach mówić, po co? Słyszysz, co się dzieje na Ziemi, jaką panikę wywołał tam nasz skok. Tu mamy klucz do waszych spraw.

— A Archan ma klucz do waszych. Skąd wiesz, że komuś go nie powierzył.

— Stary człowieku, nic ci nie pomoże to krętactwo, jeśli on ci dał klucz do nas, to ciebie także zabije Zoja, a może przed swoją śmiercią i sam Archan lub któryś z innych twoich ludzkich przyjaciół. Już się kończycie.

— Myślę — powiedziałem spokojnie — o uwolnieniu nas za cenę waszej tajemnicy.

Pojmowałem popłoch, jaki opanowywał

teraz Ziemian a także i nas za pośrednictwem środków masowego przekazu. Byliśmy daleko od starej planety, ale łączyła nas wspólnota z ludźmi, ze wszystkimi, przerażenie naszymi dramatycznymi losami i możliwością totalnej katastrofy.

W kołach rządzących wiedziano doskonale o zapasach „najnowszych modeli" broni jądrowej, od której pęczniały magazyny Bazy Księżycowej. Wiedziano również doskonale, że Archan, a prawdopodobnie także ktoś z jego otoczenia czy przyjaciół, zna doskonale tajemnicę naukową, o której uczony dość enigmatycznie napisał w swej umyślnie przez jego wrogów źle rozpowszechnionej pracy. Tak, był to niewątpliwie klucz do losów mizrakich i oczywiście także i do ludzi z marzeń, z tymi losami ściśle powiązanych. Przecież to oczywiste, że te karykatury naszego istnienia czerpią energię i wiedzę właśnie z obłych splotów mizrakich, doładowują się w jakiś

sposób w obecności tych wstrętnych cielsk. W jaki?

Ziemska panika miała na pewno przyczyny. Była też naciskiem na nas, była wezwaniem do chytrości lub buntu, do podłości lub bohaterstwa. Chciano za wszelką cenę unieszkodliwić lub choćby oszukać ludzi z marzeń. Przyszłość naszej małej grupki dla tamtych na Ziemi po prostu się nie liczyła. Zostaliśmy sami, z własną tęsknotą, niepokojem serc i umysłów.

Czy nikt nie był temu winien?

Demonstracyjnie Łysy nakazał znowu naturobotom wstrzyknąć Zoi „hormon bólu".

— Nie uwolnię was — zawołał, przekrzykując jęki dziewczyny. — Bylibyście zbyt niebezpieczni.

— Wcale nie — siliłem się dalej na spokój. — Miałbyś tutaj przecież i broń i swoją tajemnicę.

Na to właśnie wszedł Archan, pod opieką dwóch facetów tak podobnych do niego

samego i do Rilli. Widocznie przyprowadzono go umyślnie. Chciano więc jednak pertraktacji.

— Co ten dureń plecie? — Archan zwrócił się do mnie i zawisnął niemal nad moim fotelem, popchnięty przez jednego z opiekunów.

— Co on plecie? — powtórzył.

— Stworzyliście technikę, nic więcej — powiedział Łysy.

— A kultura, draniu, a Beethoven, a van Gogh, da Vinci, Einstein, Szekspir, Goethe, Mickiewicz i setki innych? Cali jesteśmy z tego ulepieni i w złym, i w dobrym. Z wyjątkiem takich wyrodków jak ty.

— Mylisz się — odparł Łysy.

Byłem zły, że odchodzimy od pertraktacji w tak abstrakcyjne sfery. Zoję wyprowadzono. Jej jęk dochodził głucho z sąsiedniego pomieszczenia.

— Mylisz się — krzyknął. — Kultura była i jest dziełem jednostek, tak jak my

popychanych, odsuwanych na marginesy życia, nędznych, wzgardzonych, bez znaczenia. Ten stary człowiek — wskazał na mnie — dowiadywał się, czy zabijaliśmy intelektualistów. Dzwonił w tej sprawie do Centralnego Instytutu Statystyki. Wiem o tym od swoich, którzy tam pracują. Nawet gdybyśmy intelektualistów tłamsili dziś dziesiątkami, niewielu ludzi zareagowałoby na to. Nasz człowiek, nasz mizraki, który pracuje w Instytucie, wcale nie potrzebował fałszować statystyk. Intelektualistów w statystykach nie ma i nie będzie. Są w gruncie rzeczy wrzodem ludzkości, jej wyrzutem sumienia lub zapalnikiem wielkich pasji, niebezpieczni, bo przewrażliwieni, płochliwi lub szaleni. Dopiero kiedy ktoś chce się ludzkością pochwalić, sięga do wielkich zmarłych, do Goethego czy Szekspira i całej reszty. O każdym z wielkich dałoby się podyskutować. Kultura jest od święta. Były narody, które

usiłowały nią żyć. Czy ja wiem, chyba Ateńczycy, ale szybko pochwyciły ich macki najpierw rodzimego, a potem rzymskiego militaryzmu. W ten sposób coraz bardziej zbliżaliście się do naszych czasów. Nie jest tak?

— Może on ma odrobinę racji — wyjąkałem. Ugryzłem się w język, zawstydziło mnie przyznawanie racji temu barbarzyńcy, ale nie był, muszę się przyznać, nie był to tylko z mej strony gest pojednawczy, choć mimo wszystko miał służyć pojednaniu czy raczej zawieszeniu broni.

— Co ty wygadujesz? — zawołał z wściekłością Archan. — Czyś i ty tu oszalał?

Łajdaku — przysunął nagle twarz do twarzy Łysego, plując mu w oczy. — Nigdy nie pójdę z tobą ani z takimi jak ty, nawet gdyby mi obiecano pół świata. Nigdy nie zgodzę się na żadne pertraktacje czy kompromisy.

Łysy drżał na całym ciele, drżał jak każdy spostponowany tyran, który dobrze wie, że jego zemsta, chociażby najkrwawsza, nie zmaże prawdy, ani nie pomniejszy znaczenia takich ludzi jak Archan. Przewidywałem, że teraz nastąpi zamach. Widziałem jak na zwolnionym holofilmie otwierające się usta Łysego. Charczącym głosem zaczął coś bełkotać do swoich pracowników i wyprostowanych na trzech nóżkach robotów. Będzie koniec. Z zażenowaniem przyznaję, że choć oswojony z myślą o tym zbyt długo rozpoczynającym się końcu, poczułem jak strach podnosi mi włosy nad czołem, jak zaciska gardło.

## X

Ale nic się nie stało.

— Namyśl się dobrze, profesorze Archan — nagle powiedział Łysy swym normalnym głosem. — Namyśl się, zanim zechcesz

spełnić swe przysięgi. Zostawiam was samych, żebyście przedyskutowali ze sobą te sprawy, o których mówiłem ze starym człowiekiem.

— Czego więc chcesz? — spytałem go. Archan patrzył na mnie złym wzrokiem, zupełnie zaślepiony swym gniewem.

— Pragnę rozsądnej ugody — wykrztusił Łysy z trudem.

Nareszcie — pomyślałem. — Nareszcie.

Nie wiem dlaczego wówczas, gdy Łysy zostawił nas samych, powiedziałem do Archana:

— On nie jest do nikogo podobny, do nikogo. Ale tamci, jego podwładni to kreatury.

Ich twarze są niemal identyczne z twoją, z Rilli. To tak, jak gdyby moi najlepsi przyjaciele umówili się tutaj na nadzwyczajne spotkanie, aby mi zademonstrować, jak bardzo się myliłem, kiedy ich oceniałem. Albo jak oni się pomylili

w stosunku do mnie. Istnieje więc idealny sposób nadawania kształtów marzeniom, a mizraki, istoty z odpadów, stają się w tym procesie niezbędne. Cóż to za perfidny figiel nauki. Wasz figiel, twój i Rilli. Te bestie są emanacjami moich najlepszych przyjaciół. Tak chyba należałoby to rozumieć, tak o tym myśleć, bo to jest prawda.

Mimo że gonił nas czas, że powinniśmy omawiać sposoby działania, musiałem mu to powiedzieć.

Milczał. Wiedział, że moje zarzuty są słuszne. Kiedy patrzyłem na niego milczącego, zatopionego w rozmyślaniach, jakby obcego, wydało mi się, iż każde marzenie musi być czymś kompletnie innym w chwili materializacji, niż kształt uprzednio dostrzeżony przez wyobraźnię. Musi być odwrotnością istoty marzącej, czymś tak innym, że wręcz wrogim.

Mizraki wiedzieli o tym, liczyli jednak, że będziemy na nich patrzeć z pobłażliwością.

Wrogość zachowują jedynie dla siebie, my zaś obdarzymy łagodnością własne, wyidealizowane twory, bez względu na to, jakie by były naprawdę. Sądzili zapewne, iż cokolwiek zrobią, nawet przeciw nam, będzie to przez nas, ich twórców, oceniane łagodniej niż na to zasługuje.

— Bardzo to ziemska, ludzka kalkulacja — powiedziałem Archanowi.

— Nie wszystko jest tu tak bardzo ziemskie — odparł, idąc widocznie za swoimi myślami. — Mam pewne dowody, iż mizraki czerpią energię bezpośrednio ze słońca. Ich obłe cielsko pokrywa się od czasu do czasu (nie uchwyciłem wyraźniejszej regularności tego zjawiska) mikroskopijną warstwą substancji wydzielanych na zewnątrz przez komórki organizmu. Niektóre z tych emanacji komórkowych, ale absolutnie nie wszystkie, reagują na kilka pasm bardzo krótkiego promieniowania słonecznego.

— Jak reagują?

— Oto nareszcie właściwe pytanie. Właściwy temat. Ta reakcja polega na kondensacji promieniowania. W niezwykle krótkich momentach tej kondensacji całe cielsko, a może tylko niektóre jego części, stają się gigantycznymi akumulatorami energii słonecznej. To wtedy właśnie odczuwamy tę atmosferę pełną niepokoju i napięcia i wbrew woli jej ulegamy. Jest to jakby błysk krótszy niż mgnienie oka, po którym zostają tylko subtelne iskry wyładowań, szeleszczące jak futro głaskanego kota. Patrz, patrz, tam w kącie!

— Dlaczego mi to mówisz? — zawołałem, kierując wzrok na nikłe sploty mizrakich, tkwiące nieruchomo w rogach laboratorium, tuż przy podłodze. Istotnie wydało mi się, że słyszę szelest i widzę gęsty deszcz jaskrawych iskier.

— To może być zwiastun, zwiastun czegoś, co się za chwilę stanie — Archan mówił głosem pełnym niepokoju, napiętym,

gardłowym. Po chwili dodał:

— Wielki ładunek energii szybko zanika. To, co obserwujemy, jest tylko jego dalekim echem. Zanika tak szybko, że wprost niemożliwe jest zmierzenie go instrumentami, jakimi dysponujemy. Coś jest i niemal równocześnie czegoś nie ma. Oto trudności pomiarowe. Jak się to dzieje? Gdzie się podziewa ogromny ładunek energetyczny? Nie potrafimy na to odpowiedzieć. Tu są potrzebne urządzenia rejestrujące zjawiska energetyczne z precyzją, jakiej jeszcze nie umiemy uzyskać. I w dotychczasowych badaniach mizrakich tę sprawę przeoczono.

— Dlaczego mi to mówisz? — powtórzyłem. Szelest gładzonego futerka i deszcz iskier zniknął z mojej wyobraźni.

— Wiesz, to ja przy udziale Rilli odkryłem lub raczej stworzyłem hipotezę o pochodzeniu mizrakich, o ich ziemskim pochodzeniu, któremu zresztą Rilla ostro

zaprzeczała. Udało mi się także stwierdzić — mówił bardzo głośno, prawie krzyczał — w jaki sposób kiedyś został zainicjowany ten proces. Zdołałem nawet wykonać obliczenia stwierdzające, czego, oprócz słońca, potrzeba mizrakim do ich istnienia.

— Wiem już, tego nasi prześladowcy chcą się od ciebie dowiedzieć, to by ich uniezależniło w jakimś sensie od ich twórców.

— Nie o to im chodzi. Nie rozumiesz dobrze do czego dążą.

— Jak to?

— Nie chodzi o żadną niezależność. Oni chcieli zawsze być ludźmi. Było to, jak ci już mówiłem i jak oni sami twierdzą, największym marzeniem myślących obłych cielsk. Chcieli być ludźmi i w pewnym sensie zostali nimi. Wiedza o mizrakich podsuwa mi hipotezę, że ludzie z marzeń jako potomkowie mizrakich uzyskają ogromną przewagę nad zwykłymi, ziemskimi ludźmi.

— Do czego zmierzasz, prędzej!

— Ich życie może kiedyś stać się procesem nieodwracalnym.

— Nie rozumiem. Mizraki są nieśmiertelne?

Znowu rozległ się futerkowy szelest i znowu z kątów sypały się iskry. Ich deszcz był teraz gęsty, a szelest rósł. Archan zatrzymał się na chwilę. Także przypatrywał się niezwykłemu zjawisku. Przypomniało mi się, jak mizraki cofały się przed płomieniami w miasteczku nauki, ziejąc snopami piorunów. Był to widok cudowny i straszny zarazem.

— Z nimi jest tak, jakby natura chciała poprawić błąd popełniony wobec człowieka.

— Jakiż to błąd?

— Obdarowanie nas energią i tak umiejętne jej dostarczanie, abyśmy byli wieczni.

— I oni to mają?

— Ja mówię o tym iskrzącym w tej chwili

cielsku, naładowanym energią o sile wielu bomb wodorowych. Mówię o mizrakich, nie zaś o ich i naszych potomkach, o ludziach z marzeń. Wydaje mi się, że Mizraki mają to, czego nam brakuje. I tym przewyższają człowieka.

— A te półludzkie kreatury? — wskazałem na drzwiczki, za którymi zniknął Łysy.

— Właśnie nie wiem. Poczekamy, zobaczymy.

— Szaleńcze, pragnąłbyś, wbrew temu co przed chwilą wykrzykiwałeś, zostawić ich w spokoju. To znaczy poddać się? To znaczy zaryzykować istnienie ludzkości.

— A jednak, choć ohydne, byłoby to niezwykle ważne dla dobra człowieka. Skąd wiesz, czy chociażby część tych istot, tobie i mnie wstrętnych i nieżyczliwych do ostatnich granic, nie stanie się z czasem lepszą stroną ludzkości?

— To kapitulanctwo. Nie wierzysz już w człowieka?

— Słuchaj — mówił z pałającymi oczami — dla nich człowieczeństwo było tak atrakcyjne, że zaryzykowali ucieczkę od wieczności w swoich dążeniach do utożsamienia się z nami, do nakłonienia nas byśmy urzeczywistnili marzenia. Jestem bowiem przekonany, że idea ludzi z marzeń jest pomysłem nam narzuconym. Mnie, Rilli Mizraki i kilku innym przyjaciołom. Zresztą nie wiadomo jakie rozmiary przybiera ten proces. Może w tej chwili mamy już na świecie tysiące lub miliony mizrakich. Może to są jednostki typu Jonisa Broczisa. Genialnie jak on uzdolnione, przepełnione czułością, sięgającą na pewno daleko poza granice czułości człowieczej naszych czasów. A ci nasi mizraki-brutale mogą się okazać jedynie nikłym odłamem wielkiego ruchu.

— W jakim celu mi to mówisz? Przecież nie istnieje to, czego nie można udowodnić.

Więc traktujesz naszych prześladowców, te potwory...

— Z dystansem. Nie z wyrozumiałością. Tylko z dystansem. A to wielka różnica.

Powinniśmy działać świadomie, nie zaś opętani strachem.

Wbiegł Łysy. Przerwaliśmy rozmowę. Dziwiło mnie najbardziej, że on był wodzem, choć z nikim nie łączyło go żadne podobieństwo.

— Bzdura, ten dystans — krzyknął. — I tak zmuszę cię do pokazania twoich obliczeń.

— Wiedziałem dobrze, że podsłuchujesz — odparł spokojnie Archan. — Do niczego mnie jednak nie zmusisz.

— Jeśli nie zmuszę, to skłonię perswazją.

— Ho, ho.

— Tak jest. Sam przecież przed chwilą mówiłeś o szansach jakiejś symbiozy, o polepszeniu gatunku ludzkiego, nieśmiertelności.

— Pozwól przekonać nam się o niej.

— Kto wie, czy twoja tajemnica, twoje rachunki na tle tego co my z kolei wiemy, nie

dałyby nam wszystkim, i wam i nam, nieśmiertelności.

— Spróbuj więc. Na sobie. My jesteśmy śmiertelni.

— Zastanów się, profesorze.

— Okaż cierpliwość. Ja mam czas.

— Już go nie masz. Teraz nasze zawieszenie broni potrwa już bardzo krótko.

Było to ultimatum. Krótkie przedłużenie okresu między jedną męką a drugą.

— Nie boisz się cierpień fizycznych? — szepnąłem do ucha Archanowi.

Nie odpowiedział. Unikał mego spojrzenia. Czy dlatego, aby nie okazać pogardy dla mojej słabości, a może raczej, żeby nie ujawnić swojej?

— Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, zero. Koniec.

Twoja odpowiedź, profesorze Archan?

— Nie mam więc prawa do dystansu?

— Zginiesz z ręki przyjaciela.

Poskoczył ku mnie. Dwa roboty pochwyciły mnie jak w kleszcze. I właśnie wówczas po raz pierwszy nastąpiło to z tak potężną siłą.

Nagle zanurzyliśmy się w ciemnościach. Musiały zgasnąć wszystkie światła w Bazie.

Zrobiło się czarno, czarniej, niż gdy patrzyło się w niebo nad Księżycem. Ciemna masa zawisła na tym niebie, zbliżała się, rosła. Mimo czerni kłębiły się jej wielkie, pełne i krągłe elementy, cięższe od chmur najbardziej brzemiennych w grad. Ciemna masa uderzała w ziemię księżycową i w Bazę. Biła w nas swym kłębiącym się brzuchem, a my wraz z ziemią pod naszymi stopami trzęśliśmy się, jakby za chwilę Księżyc miał zostać rozsadzony od wewnątrz. Tak, to było to uczucie, tę ziemię rozsadzało coś. Zdawało się, że brzuchata masa wcisnęła się do środka, by nam zrujnować grunt pod nogami. Ogarnęło nas prymitywne przerażenie.

Podobnie musiał reagować człowiek

pierwotny na kataklizmy natury. Czy tylko pierwotny? — pozmyślałem, czując jak podczas tego miotania się, obijania o ściany i sprzęty, pot spływa mi strugami do oczu. Zanim jeszcze zabłysło światło, a może równocześnie z jego błyskiem usłyszałem głos Jonisa z głośników. Był czysty i jasny, wnosił ład w tę poruszoną do najgłębszych trzewi ziemię i Bazę Księżycową. Wszędzie walały się przewrócone przedmioty, instrumenty, urządzenia laboratoryjne, końcówki zerwanych łączy.

— Jestem wolny. Z Zoją, tak z nią. Uwolniłem się od naszych prześladowców. Zabiłem ich na pewno. Naturoboty nie zaatakowały. Zabarykadowałem się na dworcu rakietowym.

Jestem uzbrojony. Będziemy stąd obserwować Ziemię i łączyć się z nią. Może nawiążemy kontakt. I wam postaram się pomóc. Mam tu cały magazyn broni i amunicji.

Chciał coś jeszcze dodać, obiecać, wyprorokować, ale głos mu zmiękł i słychać było szybkie oddechy i odgłos pocałunków. Uświadomiłem sobie, że Ziemia od dawna milczy.

Ucichła sprawa opanowania Bazy Księżycowej. Czyżby Ziemi nie było?

Ale Ziemia zaraz się odezwała. Błagano nas o odpowiedź. Przewidywano widać najgorsze.

— Halo, czy jeszcze żyjecie, czy żyjecie. Jeśli tak, spróbujcie się odezwać. Odezwijcie się. Odezwijcie się!

— Żyjemy — odparł miękko, całkiem widać rozklejony Jonis. — Żyjemy!

— Do diabła — zawołałem. — Jonis jest już naprawdę wolny, więc mógłby nam pomóc.

Wiedziałem jednak, że nie zdoła nic zrobić. Złościłem się na niego, ale tę złość łagodziła fala głębokiej czułości, którą żywiłem dla obojga młodych.

— Żyjemy i potrzebujemy pomocy — powiedziała cicho Zoja.

— O, my także — zawołał głos z Ziemi. — Nie macie pojęcia, jakie tu wokół ruiny.

Koniec świata.

— U was także? — spytała Zoja.

— Tak. Podejrzewa się, że tę ciemną masę, która nas atakowała, zwabili czy zmobilizowali wasi prześladowcy.

Chwila ciszy. I nieśmiały głos:

— A co z nimi?

Jeszcze ciszej, bardziej nieśmiało:

— Jesteście wolni?

Zanim Jonis zdążył cokolwiek odpowiedzieć, włączył się Archan. Dotąd półprzytomny, uderzony w głowę jakimś twardym i kanciastym przedmiotem podczas ataku ciemnej masy na księżycową ziemię, leżał opodal mego fotela. Byłem tak zaszokowany, że zauważyłem go dopiero, kiedy zaczął mówić. Znał doskonale każdy zakątek swoich laboratoriów, wiedział, jak

uruchamiać w nich łączność. Zadziwiające, że nie była uszkodzona.

— Jesteśmy w niewoli, lada chwila nas sprzątną, tak sprzątną. Jonisowi Broczisowi wraz z Zoją udało się zabarykadować w dworcu rakietowym. Spróbujcie przysłać pojazd.

Ostrożnie. Ciemna masa, atak zwałów jakiejś nieznanej materii, nie ma nic wspólnego z mizrakimi. To ważne. Nie ma!

— To gorzej. Zaatakowano nas więc z dwóch różnych stron — odpowiedziano z Ziemi.

— Badaliśmy tę materię, gdy była jeszcze bardzo odległa, badaliśmy tutaj, z naszej Bazy. Powtarzam, wykluczam jej związki z mizrakimi.

Przysłuchując się tej rozmowie, byłem przekonany, że jeśli nasi prześladowcy żyją, jeśli przetrwali trzęsienie, to na pewno słuchają uważnie, żeby nie uronić ani jednego słowa. Dlatego może milczą dotąd.

— A więc nie jest to pomoc dla mizrakich?

— Nie wygląda to na żadną pomoc dla nikogo — odpowiedział zniecierpliwiony Archan.

Teraz dopiero ukazał się Łysy wraz ze swoim stałym adiutantem, sobowtórem Archana.

Wodził go wszędzie ze sobą chyba po to, aby szokować starego uczonego, a może wierzył w potęgę geniuszu wpojonego przez Archana swemu „człowiekowi z marzeń".

— Więc to ty na nas zesłałeś tę czarną masę? Skąd mógłbyś bowiem wiedzieć, że to nie mizraki. No mów, skąd wiesz? — pytał Łysy z udaną lub prawdziwą wściekłością.

Cieniutkie lepkie kończyny naturobota opasały uczonego pętlami swoich macek jak linami. Na nic zdały się moje próby interwencji.

— Przyznaj się, tyś to spowodował?

— Bzdura — charczał Archan.

— Gdyby to on na nas sprowadził,

ryzykowałby i nasze życie. A w dodatku owa ciemna masa nie zaatakowałaby Ziemi — powiedziałem prędko. — Zostaw go, jest ranny.

— Mieliście pertraktować — powiedział Łysy, nie odwołując robotów.

— Teraz już nigdy — jęknął Archan. Nie wiem, czy miał jeszcze świadomość tego, o czym mówił.

Stary uczony upadł ciężko, zwijając się w kłębek. Zastygł w bezruchu. Wokół jego głowy rosła plama krwi. Szpakowata czupryna walała się cała w tej krwi.

— Pozwól mi go zobaczyć, zbadać — błagałem.

Łysy dał znak. Roboty odskoczyły. Podszedł sam, potykając się o porozrzucane instrumenty. Chwilę obmacywał leżącego, unosił mu głowę, badał. Puścił głowę, aż stuknęła o podłogę.

— Nie chciałem go zabić. Ma rozwaloną czaszkę. To atak tej ciemnej masy go zabił.

Nie wiedziałem, że był ranny.

Wyraźnie drżał na widok śmierci.

— Zostawmy ich — zwrócił się do asystenta, który szeptał mu coś do ucha. — Nie ruszaj się stąd, stary człowieku, my musimy się naradzić.

W drzwiach odwrócił się do mnie ze słowami:

— Mamy okazję użycia przeciw Ziemi broni Archana. A z naszą tajemnicą damy sobie radę i tak, na pewno.

Machnął ręką, udawał spokój, twarz miał jednak bardzo zmienioną, nie potrafił opanować swego strachu. Za nim i za robotami zatrzasnęły się automatyczne drzwi. Poskoczyłem do zmarłego. Ale w tym samym momencie drzwi rozwarły się. Naturoboty odepchnęły mnie od ciała. Rewizja trwała krótko. Szybkość ruchów tych żywych maszyn zawsze budziła we mnie podziw i przerażenie. Znowu trzask automatu. Byłem sam z trupem w jasnym

świetle pośród okropnej rupieciarni.

Domyślałem się przyczyn strachu naszych prześladowców: cóż z tego, że byli w Bazie panami, kiedy atakowały nas nieznane siły, może naprawdę pozaziemskie istoty. W dodatku Jonis z Zoją mieli jakąś swobodę działania, a ktoś na Ziemi mógł być wtajemniczony w pracę Archana, mógł znać klucz do losów mizrakich. Byłem już pewny, że w tych warunkach muszą ze mną pertraktować. I choć nic nie rozjaśniało beznadziejności, doznałem uczucia niewielkiej satysfakcji. To było odprężenie po koszmarach, myślałem o minimalnej szansie ratunku, chociażby dla tych młodych.

Zbliżając się do urządzeń łączności, które już teraz rozpoznawałem po rozmowie

Archana z Ziemią, spojrzałem ukradkiem, tak wstydzę się to powiedzieć, ale ukradkiem popatrzyłem na ciało uczonego. Usłyszałem jego zdławiony szept. Pochyliłem się nad ciałem.

— Nie próbuj mnie ratować — słyszałem szept.— Sięgnij do ust, za protezę, głębiej w gardło.

Z pewnym obrzydzeniem wyjąłem mu protezę i włożyłem palec pod język. Czułem, że go to dławi, że zatyka mu resztki oddechu, krótkiego, rzężącego i coraz wolniejszego.

Opuszkiem wskazującego palca wykryłem miniaturową fiolkę z filmem.

— Ich błąd... ich strata... — usłyszałem wśród charkotania — nie podsłuchują... Myślą, że nie żyję, a to jest klucz do energetyki mizrakich... to jest... — charkoczący szept przeszedł w cichy rwany okrzyk. — To... broń na ludzi z... marzeń...

Próbowałem go cucić, lecz natychmiast przestał dawać znaki życia. Chciałem więc połknąć fiolkę. Utkwiła mi w krtani, gdzieś w okolicy strun głosowych. Powodowała ból, przeszkadzała, ale widocznie tak ukrytą trudno było zlokalizować. Robot na pewno prześwietlił dokładnie Archana i niczego

mimo to nie dostrzegł. Widocznie materiał fiolki kamuflował znakomicie jej obecność w organizmie.

Ledwo ją połknąłem, a już z głośnika dobiegło wezwanie:

— Podejdźcie do wizjerów.

Mówił Łysy ostrym rozkazującym tonem. Zadrżałem, czy mnie nie śledzono, czy to nie zbliża się koniec. Ale rozkaz odnosił się nie do mnie, lecz do Jonisa i Zoi, bo został gromko powtórzony w moment później:

— No, podejdź i ty, stary człowieku.

Nic nie było widać. Światła wygaszone. Niebo czarne z białymi plamami gwiazd.

— Zapalam wszystkie światła — wołał Łysy jakby w upojeniu.

W pomieszczeniu oświetlonym luminoforami i lampami zrobiło się przeraźliwie jasno.

Widziało się jak na dłoni ogromne hangary hal i laboratoriów, wieżę rakietową. Z hangaru dworcowego sterczał czerwony,

lekko tylko wysunięty, język runwayu. Na peryferyjnych, kopulastych budowlach, połączonych z centralnymi gmachami siecią magnetycznych korytarzy, piętrzyły się tarcze jakichś nie znanych mi urządzeń. Obok czerniały płaskie zabudowania magazynów, zajmujące gigantyczne przestrzenie. Prawie wcale nie było widać księżycowej ziemi. Zatarł się kontrast między jej bielą i cieniami czarnych kraterów. Zastanawiałem się w tym momencie, co mizraki zrobili z resztą załogi Bazy. Zabito tych ludzi, czy też ich zamknięto?

— Szukam poligonu — mówił Łysy. — Muszę się nauczyć obchodzić z bronią Archana. Wyobraź sobie, stary człowieku, że tutaj, w wieży sterowniczej, ani jedno urządzenie nie zostało naruszone.

— Przeciw komu ją wypróbujesz? — zapytałem.

— Boisz się — powiedział. — No wiem, że się boisz, zawsze się boicie, wszystkiego się

boicie — zaśmiał się. — Może na ciebie ją skieruję. No nie? A na pewno przeciw Ziemi.

Jeśli ludzie całkiem już stracili rozsądek, jeśli...

— Mieliśmy przecież pertraktować.

— Mówisz to w swoim imieniu. Ja myślałem, że użyję tej broni, jeśli ludzie całkowicie i bezwarunkowo nie poddadzą się.

To był znowu celnie wymierzony cios. Obawiałem się, że radość ze zdobycia broni uderzy mu do głowy. Chciałem mu jeszcze coś powiedzieć, ale mnie wyłączono.

Straszne. Mieli do dyspozycji całą sterowaną laserami atomową artylerię. W początkowym okresie sensacji z mizrakimi miała ona służyć do odparcia ewentualnego ataku istot z innej planety, domniemanych wspólników obłych, rozpleniających się po całej ziemi cielsk.

Później, gdy z białymi i szarymi mackami jakoś oswoiliśmy się, mówiono, że broń zostanie z czasem przystosowana do

stopniowego sterowania Księżycem.

Prowadziło się nawet przez pewien czas intensywne studia nad ewentualnymi skutkami takiej operacji. Przestrzegano przed możliwością ataku chorób, spowodowanych przestrojeniem samoregulujących się mechanizmów ustrojowych. Prace szły powoli i jak gdyby subtelnie je wyhamowywano, aż wreszcie o tej broni wszyscy zapomnieli. Zamknięto też hermetycznie jej zdalną sterownię na Ziemi. Ziała przez lata pustką. Do bezpośredniej, rezerwowej sterowni na Księżycu miał dostęp tylko Archan. I on podobno także snuł jakieś plany wykorzystania broni, ale się to bardzo mgliście rysowało, zresztą budziło niechęć, jak każde inicjowane przez niego przedsięwzięcie. W gruncie rzeczy nikt już nie wiedział, o co chodzi w rozmowach Archana z międzynarodowymi władzami i przestano wierzyć w jakikolwiek pożytek z nagromadzonej w Bazie energii.

Usłyszałem głośne westchnienie Łysego.

— Gdybym miał te plany Archana, gdybym je odnalazł.

— Jakie plany? — zapytałem tłumiąc nutę przerażenia.

— On planował połączenie energii zmagazynowanej na Księżycu z energią cielsk mizrakich. Rozumiesz, stary człowieku?

Doskonale to rozumiałem i pomyślałem z rosnącym przerażeniem, że dławiąca mnie nieustannie fiolka musiała i tą rewelację nosić na miniaturowym druciku.

— Cóż by to był za fajerwerk — mruczał dalej Łysy.

Archan leżał za mną umarły. Ja zaś stałem o jakieś dwieście metrów od wieży bezpośredniej sterowni atomowej, w której jeden ruch szaleńca mógł całą Księżycową Bazę wraz z Ziemią ruszyć z posad. Bezsilny i załamany czekałem na ten fajerwerk przy wizjerze.

W pewnym momencie, za cenę obietnicy

uratowania nas i nie strzelania ku Ziemi, byłem skłonny wydać Łysemu moją fiolkę. Wstrzymałem się od tego posunięcia całą siłą woli.

Na jak długo jeszcze tej siły mi starczy?

— Patrzcie na magazyny. Najpierw one — wołał w euforii Łysy. — Ach, jakiż ze mnie Herostrates — dodał z triumfem.

— Nie żaden Herostrates, lecz zwykły dureń. Niszcząc magazyny, likwidujesz podstawy egzystencji ludzkiej na Księżycu. Tam są zapasy żywności, pola z roślinami ogrzewane sztucznym słońcem, tam są zwierzęta i hodowla robotów. Zniszczyć ten dorobek, w jakim celu?

— Muszę się nauczyć niszczyć. Rozumiesz, muszę.

— Wstrzymaj się, daj temu spokój — błagałem go. — Zniszczysz wszystko i wszystkich.

Dopiero w tej chwili w pełni uświadomiłem sobie zagrożenie całej

ludzkości nawet przez pierwsze, tylko próbne uruchomienie tego sprzętu. Raz rozpoczęte strzelanie nie skończy się łatwo. Pasja Herostratesa musi ogarnąć tych nowych ludzi, zrodzonych z marzeń i dla marzeń. Gdy raz nauczą się niszczyć, rozsmakują się w tym i kółka miażdżącej machiny będą się odtąd kręcić aż do samounicestwienia.

Szybko mu to wykrzyczałem.

— A jeśli naprawdę zostanę zmuszony do samounicestwienia? — odparł mi na to. — Patrz, staruszku, to się zaraz stanie, zaraz zaczynam liczyć.

Widocznie wahał się jeszcze. Widocznie nie całkiem odrzucał moje argumenty.

Samotny, pozostawiony ze zmarłym Archanem, czułem tak ogromny związek z resztą ludzi, z tymi przecież nie znanymi mi miliardami istnień człowieczych na Ziemi, jak nigdy jeszcze dotąd. To było więcej niż miłość.

Usłyszałem:

— Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Zera nie było. Nagły błysk całkiem mnie oślepił, choć przecież szyby pochłaniały tutaj większość niebezpiecznych dla organizmu promieniowa. Huku nie dosłyszałem. Uderzony tą jasnością straciłem przytomność. Gdy ją odzyskałem, musiało to być jednak natychmiast po wybuchu, dojrzałem w wizjerze krajobraz zalany błękitną łuną. Łuna ta coraz to wyższym, wydłużającym się lejem pędziła w niebo, zalewała jego czerń, budując jak gdyby szeroką płachtę ziemskiego błękitu.

Dokoła mnie, w Bazie wszystko tkwiło na swoim miejscu. Ta Baza miała elastyczną i trwałą konstrukcję, jakby przewidywano próby i możliwości zamachu na nią.

— Żyjecie jeszcze? — spytał Łysy. — Jeśli żyjecie to wam powiem, że to wali celnie, w stu procentach zgodnie z programem. Mam ten program. — Podniósł głos, jakby

przemawiał do większej liczby ludzi. — Teraz tamtych zniszczę. Zaraz zaczynajcie liczyć ostatnie sekundy życia. Jest ich tylko dziesięć. Patrz, staruszku, zobaczysz, jak pójdą do nieba, podobnego teraz całkiem do naszego, wspólnego ziemskiego, ci dwoje stamtąd przybyli. No, Jonis i Zoja.

Wyobraziłem sobie jego znienawidzoną twarz z ironicznym uśmiechem, który z niej prawie nie schodził. Dlaczego nic nie robię? Czemu tkwię przy tym wizjerze? Powinienem przecież spróbować jakiegoś ataku. Powinienem? Nie czułem się na siłach, nie znałem dobrze planu Bazy i nie chciałem działać na oślep. Zresztą czy zdążyłbym. To idiotyzm.

— Jeśli tamtych wysadzisz w powietrze — krzyknąłem rozpaczliwie — nigdy już nikt tu nie będzie mógł wylądować. Zniszczysz lądowisko promów i ich pole startowe. Zostaniemy tutaj na zawsze.

— A gdyby nawet — Łysy bawił się moim

strachem, śmiał się głośno i szczerze. — Źle nam tutaj, czy co? Boisz się? Słuchajcie ludzie, powiedział do milczącego radia ziemskiego, słuchajcie mnie dobrze — wołał. — Zniszczę ten tor promów kosmicznych, abyście nie mogli mi tutaj nikogo przysłać.

— Morderco! — krzyknął głos z Ziemi.

Widocznie prom z pomocą był już na linii. Załodze groziła śmierć.

— Jeśli zechcecie ze mną pertraktować to sposobem rakietowym. Niech rakieta krąży sobie daleko nad księżycowy ziemią, a w małym lądowniku przyślijcie do mnie posłów. To wszystko. A teraz zaczynam liczyć. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem...

Następnego liczebnika nie zdołał wymówić. W wizjerze błękit wybuchu został pożarty przez ciemną skłębioną masę, poczułem znowu okrutne wstrząsy dobiegające jakby z trzewi tej ziemi. W mgnieniu oka ciemna masa pokryła krajobraz, parła na Bazę, dalej demolowała

laboratorium. Podrzucało mną jak piłką, biłem ciałem o ściany. To traciłem przytomność, to znów z bólu ją odzyskiwałem.

Trwało to niezwykle krótko.

Wstałem z trudem. Ściany Bazy dalej trzymały się, dalej był normalny dopływ powietrza. Konstatowałem to ze zdziwieniem i radością. Żyłem. Byłem bardziej wstrząśnięty nieludzkim kataklizmem, niż morderczymi przedsięwzięciami Łysego. I to także wydało mi się absurdalne. Światła, ale już tylko niektóre, znowu się wyłoniły. Zdawałem sobie sprawę, że świeci teraz we wnętrzu rezerwa luminoforowa, zasilana zasobnikami energii, umieszczonymi w każdym segmencie budowli księżycowych.

Drzwiczki odskoczyły. Ukazał się Łysy w asyście dwóch naturobotów. Słaniał się. Był blady, z głowy ściekała mu krew. Czułem się nazbyt słaby, abym próbował walczyć z nim, nawet rannym. Zresztą roboty czuwały nad

każdym jego krokiem, podtrzymywały go.

— Nie przyszedłem, żeby cię zabić — powiedział cicho — ale doradzam ci spokój.

Żadnych ekscesów. Mój zastępca rządzi teraz sterownią atomową. Przyszedłem się z tobą naradzić. Cała Ziemia... — słyszałem to dobrze, twoje łącza zerwane, dlatego nie słyszałeś.

— Tak, cała Ziemia w panice. Mówi się już wyraźnie o ataku jakichś istot spoza naszego układu. To pewne. Może, może byśmy w takiej chwili — zawiesił głos — połączyli siły.

Trzeba się bronić, bronić! Razem! Razem! — ryknął.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem. Nie wierzyłem ani jednemu słowu. To musiał być jakiś szczególnie perfidny podstęp.

— No tak — powiedział, przypatrując się mojej reakcji. — Nie ufasz mi. Ale pamiętaj, oni, tam na Ziemi, są pozbawieni możności precyzyjnego kierowania artylerią atomową. Tam w centrali nic już nie działa. Tutaj zaś

wieża jest cała, tutaj my panujemy nad bronią, mogącą uratować Księżyc i naszą Ziemię.

Powiedział „nasza Ziemia”.

— Zniszczyłeś niepotrzebnie magazyny.

— Potrzebnie, zresztą nie wszystkie. Przekonałem się o dokładności broni i nauczyłem się trochę z nią obchodzić.

Słuchałem go z bardzo mieszanymi uczuciami. Zaczynałem mu nawet wierzyć. Bał się ataku spoza Ziemi, ataku konkurencyjnego dla jego poczynań, stąd ugodowość. A rzeczywiście miał całą główną siłę obronną w swoim ręku, ja zaś miałem broń na niego i mizrakich.

Żeby uderzyła w nich, należało tylko dotrzeć do starej Ziemi. Należało za wszelką cenę.

— Co mi proponujesz?

— Sprawdzić czy prom chodzi, czy może jeszcze chodzić. Wrócisz na Ziemię i pomyślicie tam wspólnie o zorganizowaniu

wszechstronnej obrony. Tymczasem my pozostaniemy na Księżycu, spróbujemy stąd osłonić siebie i was.

— A kiedy się uda osłonić?

— Wtedy zobaczymy.

— Wtedy znowu zechcesz nas, ludzi, wyniszczyć.

— Czuję się człowiekiem — odparł szybko. — Nie masz innego wyjścia. Wracaj do swoich przestraszonych rodaków. Powiedz im wyraźnie, że tylko wspólnie możemy bronić tej Ziemi i wszystkiego co na niej i z niej. Tak powiedz.

— A później? — znowu dopytywałem go o przyszłość, choć dalibóg ani ode mnie, ani od niego nie zależała, w każdym razie nie w zbyt wielkim stopniu.

Przecież mam na nich broń — myślałem. — Po co więc zwlekam. Trzeba się decydować, trzeba stąd uciekać, trzeba działać.

— Nie mają najmniejszego sensu

jakiekolwiek obietnice — odparł i miał słuszność. —

Czy możemy obydwaj ręczyć za dalszy bieg wypadków, przewidzieć go. Myśli ludzkie nie sumują się, nie tworzą jednej wszechogarniającej koncepcji. Czyż da się wyprorokować jaką jednostkę popchnie do przywództwa zróżnicowana wola ogółu. Przyszłość determinuje się nieustannie. Jest wypadkową tysięcy czynników znanych i nieznanych. Nawet gdybyśmy wiedzieli dokładnie, szczegół po szczególe, jak się tworzy, czy potrafilibyśmy wpłynąć na jej bieg?

— Kto wie — przerwałem mu.

— Może uda się na zawsze naszą współpracę z Ziemianami jakoś sklecić.

— Sklecić, ciekawe słówko. Mniejsza jednak o nie. Zanim się zdecyduję na powrót, chcę, muszę się porozumieć z Ziemią.

— Tam bałagan, panika.

Bał się widać, że decyzje będą odwlekane,

jak to zwykle w takich sytuacjach. Bał się o siebie, czy także o losy planety? Jak to pojąć? Mimo to zdecydowałem się na rozmowę z Ziemią. Mówiłem sobie, że w razie jakichś bardzo ważnych, można rzec, nadzwyczajnych argumentów nie zgodzę się na współpracę z Łysym. Jeśli jednak ludzie będą zwlekać, pojadę i tak.

Aparatura została umyślnie wyłączona. Nie chciał, abyśmy się dobrze orientowali w ziemskiej sytuacji. Nawiązywanie kontaktu trwało teraz bardzo długo. Dostrzegałem niecierpliwość na twarzy Łysego, z satysfakcją obserwowałem drżenie jego dłoni. Tłukł nerwowo w czujniki, zamiast je delikatnie głaskać palcami, tłukł i tłukł. Odpowiadało nam milczenie.

— Stąd się nie da — powiedział. — Jedźmy do centrum sterowania.

Jakimś cudem działał jeszcze przenośnik magnetyczny. Błyskawicznie wjechaliśmy do wysokiej hali, w jakiej w życiu nie byłem.

Znajdowały się tutaj, widocznie tak urządzono wszystkie sterownie na linii Ziemia—Księżyc, wszelkie bardzo przejrzyście ujęte informacje o tym, co i jak należy robić. Po pierwsze, jak się niszczy w razie potrzeby Bazę w całości, lub demoluje poszczególne jej obiekty. Jak bronić Księżyca i osłaniać Ziemię w razie ataku rozumnych istot z przestrzeni kosmicznej. Po trzecie, jak wyniszczyć cywilizację ziemską doszczętnie w razie „opanowania jej przez jakieś inne, nieludzkie istoty". Tak, wszystko tam było, wszystko, co mogło okazać się ratunkiem lub zgubą człowieczeństwa. Jeden z wąsikiem, ów adiutant Łysego, bliźniaczo podobny do Archana, czuwał nad bezpieczeństwem tego miejsca.

Nic tu nie uległo zniszczeniu podczas ostatniego trzęsienia. Ta część Bazy została widocznie bardzo głęboko zakotwiczona w księżycowym gruncie. Wystarczyło więc nacisnąć wielki taster pod jednym z trzech

wariantów użycia broni atomowej, a rozlegał się głos pytający, o jaką konkretnie akcję chodzi — błyskawiczną, powolną, z przerwami. Trzeba tylko powiedzieć co, kogo i jak się chce zlikwidować. Głos krótko odpowiadał, co możliwe, a co nie, zaś podczas działań obiecywał relacjonowanie ich aktualnych wyników.

Cała ta instrukcja była zapisana na ekranie. Przesuwała się przed nami jak reklamy na dachach drapaczy chmur. Litery wyraźne i jasne, głos czysty, dobitny. W tym reklamowym blasku czaiła się potęga, o której nikt na Ziemi nie miał właściwego pojęcia.

— Co z Ziemią? — zapytałem.

— Nie idzie łatwo — powiedział sobowtór Archana. — Diabli wiedzą, co tam zniszczono.

Dopiero po chwili zrozumieliśmy, dlaczego nie mamy łączności z Ziemią. Od dłuższego już czasu dało się zauważyć na ekranie i na pulpicie migotanie ostrego,

żółtego sygnału.

Łysy pochwycił moje spojrzenie i zapytał z niepokojem.

— Wiesz, co to znaczy?

— Nie mam pojęcia. Skądże ja — odparłem.

— Naprawdę nie wiesz? — Był piekielnie podejrzliwy. Oczywiście po wszystkim, co zrobił, nie mógł liczyć na moją lojalność. Gdybym tylko miał jakąkolwiek okazję, natychmiast bym z niej skorzystał, żeby pozbyć się mizrakich. Patrzyliśmy obydwaj to na siebie, to na ostrą, pulsującą żółtość.

Dopiero wtedy rozległ się głos, zduszony, zniekształcony, jakby wydobywający się spod ziemi.

— Czekamy na pozwolenie lądowania. Czemu milczycie?

Wystarczyło przycisnąć dwa guziczki na pulpicie, a już wiedzieliśmy o co chodzi. Po orbicie wokółksiężycowej krążył prom.

Łysy w panicznym strachu skoczył do

pulpitu i uruchomił wyrzutnię atomową. Rozległ się głos informujący, że komputer zna już położenie statku i gotów jest do serii.

— Bić od razu, czy jeszcze się wstrzymać? — padło pytanie.

Pochwyciłem Łysego w ramiona i szamotałem się z nim.

— Jeśli to zrobisz, jeśli ich... nic z pertraktacji.

Odepchnął mnie, zatoczyłem się i upadłem.

Usłyszałem głos Broczisa.

— Ułatwię ci lądowanie. W wieży jest wróg. Uważaj.

— Jeśli to zrobisz — krzyczał Łysy — zlikwiduję was wszystkich.

— Opanuj się wreszcie — powiedziałem mu, podnosząc się z trudem. — Pojedziemy na Ziemię. Razem z nimi, ręczę ci za to.

— Niech sobie lądują — powiedział adiutant Łysego. — Będziemy mieli dalszych zakładników, lepiej brać ich na razie żywcem.

— Pozwalamy wam wylądować, nie wydalajcie się jednak z obrębu dworca rakietowego, bo zginiecie — powiedział Łysy. — Pamiętajcie.

Widać teraz było wszystkie fazy zbliżania się pojazdu do planety. Obraz na żądanie z punktowego przestawiał się na duże powiększenia. Śledziliśmy zarówno w dalszym planie manewry całego promu, jak i zbliżenia jego burty, pozwalające na wgląd do kabiny przez wizjery. We wnętrzu znajdowały się cztery osoby. Trzech mężczyzn i kobieta. Już od dawna mieli na sobie skafandry, z tych najnowszych, całkowicie elastycznych, a mimo to wspaniale chroniących przed przyśpieszeniami.

Pojazd spiralą schodził na lądowisko. Widok był piękny, gdyż z dysz napędowych i sterujących wybuchały pęki krwawoczerwonych gazów, nadając promowi właściwy kierunek.

Poprosiłem Łysego o połączenie z

wnętrzem.

— Jak uniknęliście starcia z ciemną masą?

— Widzieliśmy z daleka atak na Księżyc i na Ziemię, ale na naszej drodze nie było żadnych przeszkód — odparł dowódca. — Na Ziemi są ogromne szkody. Połowa wielkich aglomeracji wyburzona. Tysiące ludzi w szpitalach. Setki tysięcy nie chcą za nic wyjść ze schronów. Tego się nie da opisać. Tej potwornej paniki, tego bałaganu.

Z wieży widać było doskonale, jak czerwony język wysunął się z hangaru dworcowego, jak usiadła na nim zgrabna ważka pojazdu i pędziła pod górę, coraz to wyżej i wyżej po tym jęzorze, aż zatrzymała się na skraju, nad księżycowymi przepaściami. Odtąd język powoli cofał się do gardzieli dworca. Aż w niej zniknął.

— Wszystko w porządku — zameldował Jonis. — Łączcie się z Ziemią. Podobno czekają na wasze warunki.

Więc Łysy z adiutantem znowu zaczęli niespokojną wędrówkę palcami po czujnikach, uruchamiających połączenia ze starą planetą. Znowu drżały im ręce z niepokoju i niecierpliwości. Jednocześnie oczu nie spuszczali z ekranu, teraz całkowicie białego i pustego. Gdyby tylko ktokolwiek wysunął się z dworca, natychmiast zabrzmiałby przeraźliwy sygnał i dojrzałoby się postać.

## XI

Mnie pilnowały teraz naturoboty.

Ziemia jeszcze długo milczała, aż wreszcie dostaliśmy słaby sygnał dźwiękowy. O optycznym na razie mowy nie było. Okazało się, że w centralach naziemnych są duże uszkodzenia spowodowane trzęsieniem. Rozmawiać począł z nami ktoś całkiem nieznany, słabo jedynie zorientowany w dotychczasowym przebiegu wypadków.

Ogromnie trudno się było dogadać, bo kontakt rwał się ciągle i ciągle podchodzili do mikrofonów nowi, nie znani mi ludzie. Wreszcie pojawił się obraz, a na nim twarz mego dobrego znajomego, profesora Henryka Wergana. Był to jeden z głównych dyspozytorów Centrali Międzynarodowej Organizacji Lotów Kosmicznych.

— Cieszę się, że cię widzę, stary — powiedział. — Tu piekło. No i co mizraki?

Powtórzyłem mu powoli i dobitnie, na jakich warunkach ma dojść do rozejmu. Nie kryłem swoich obaw. Swej niewiary w możliwość faktycznej współpracy i jej dalszych dobrych losów. Niczego nie ryzykowałem. Zresztą Łysy ani razu nie przerwał. Pragnął widać pokazać, że daje mi pełną swobodę wypowiedzi, co oznaczało, że jednak naprawdę chce ugody.

— No cóż — powiedział Wergan. — W tej sytuacji, kiedy w ich ręku jest cała artyleria atomowa, nie mamy wyboru. Ty też chyba

tak sądzisz.

— Czekałem na twoje zdanie. Gdybyś się wahał, byłbym cię mimo wszystko nakłaniał do ugody. Inaczej nie można. Wrócę z naszymi. I z tymi co przyjechali promem.

— Słyszeliśmy o wylądowaniu. Na szczęście bez awarii. Ale powiedz, Archan zginął?

— Tak.

— Słuchaj. Nie zabieraj się przypadkiem z kimś z mizrakich. To nasz warunek.

— Podobno i tak są na Ziemi inni.

— Nie czujemy ich nacisku. Rozumiesz? Czy mizraki zgadzają się na ten warunek?

Teraz dopiero w rozmowę wmieszał się Łysy. Stanął koło mnie na wizji, ukłonił się uczonemu, nie dostając w zamian nawet skinienia. Jakby go Wergan nie dostrzegł.

— Zgadzamy się — powiedział Łysy. — Jonisa Broczisa i tak bym nie puścił. Musi zostać z nami. Jest nasz. Mogłaby zostać i dziewczyna.

— Zoja wróci ze mną — powiedziałem stanowczo.

— Nie wiadomo, czy zechce — odparł Łysy.

— Musi — zawołałem.

— Z mej strony zgoda.

Tak więc kończył się tylko pierwszy akt tego dramatu, a zaraz miał się zacząć kolejny.

Byłem pewny, że w sytuacji, jaka się wytworzyła ani Łysy, ani jego kompani zdradzić nas nie mogą. Gdyby zaatakowali Ziemię, na zawsze odcięliby sobie powrót. Musieliby pozostać na Księżycu. Powiedziałem to głośno Werganowi.

Łysy skinął głową.

— Masz rację, stary człowieku. Nie możemy was zdradzić. Ale nie tylko dlatego, że mamy wspólny z wami interes.

— Dobrze, dobrze — przerwałem mu. — Róbmy każdy swoje, o ideologii innym razem.

W pełni zdawałem sobie sprawę z

sytuacji, podobnie jak moi ziemscy przyjaciele.

Rozejm z grupą bandziorów, ludzi czy niby-ludzi, był klęską. Do tego więc doszło, że można w kilka czy kilkadziesiąt osób, gdy warunki akurat okażą się sprzyjające, sięgnąć po władzę nad światem. Było dla mnie jasne, że panem istnienia stawał się ten, kto opanował magazyny i największe wyrzutnie atomowe. Cała historia techniki uczyła nas tego. Przedmioty przerosły swych twórców, wysforowały się przed ludzi w cywilizacyjnym wyścigu.

Zdobyć potężną broń mógł i może w każdej chwili nawet zbiegły z zakładu szaleniec, jeden z setek tysięcy leczonych najnowszymi i coraz to mniej skutecznymi środkami farmakologicznymi i psychologicznymi. W gruncie rzeczy nie istnieje żadna szansa zapobieżenia takiej sytuacji. Dawniej, gdy nie było techniki, wydawało się ludziom, że wszystko może im

zagrozić ze strony przyrody. Że potopią się nagle, zostaną spaleni potokami lawy, że zabije ich trzęsienie ziemi w pękających i walących się na ich kruche ciała pudełkach grot czy domów. Potem można było raczej zginąć z powodu wybuchu cysterny z gazem, bomby, otruć się zadymionym powietrzem lub wodą pełną nieczystości. Z deszczów wpadaliśmy pod rynny. A teraz?

Czyż dałoby się jednak zlikwidować technikę, czy da się rozpatrzeć i przewidzieć

wszelkie dobro i zło, jakie niosą wynalazki, czy można oddzielić ostro zło od dobra, pożytek od szkody, szczęście od nieszczęścia?

Zgadzałem się przy tym w pełni ze zdaniem licznych filozofów, a także ekonomistów, którzy obliczyli, iż technika nigdy dotąd nie zdołała sprostać zapotrzebowaniu na jej twory.

Zawsze za potrzebami, mimo licznych i błyskotliwych obietnic, pozostawała w tyle.

Zanim zdołano najszerzej rozpowszechnić jedne wynalazki, już przestawały one wystarczać, już trzeba było nowych.

W ten sposób zaznaczała się ciągle dość duża ekskluzywność osiągnięć technicznych.

Początkowo przez długi czas z każdego dobrodziejstwa technicznego korzystali albo najbogatsi, albo najbardziej społecznie uprzywilejowani. Dla reszty nie starczało. A gdy starczyło, były to już rzeczy tak powszechne, że znowu wybrani mieli coś znacznie lepszego niż wszyscy.

To wieczny konflikt. W gruncie rzeczy, jak się wyraził jeden z wybitnych teoretyków profesor Josef Jagbar, technika była tylko protezą na kalectwa ludzkości. Niczym więcej. Jednakże pozbawienie człowieka jego protezy, oznaczałoby uczynienie całego świata kalekim.

A więc przegraliśmy? Grupa fanatyków i drani miała teraz całą ludzkość na muszce.

Mogłem wprawdzie wreszcie przewieźć i

wykorzystać rewelacje antymizrakowe zmarłego Archana, ale szczerze mówiąc nie wierzyłem już w ich szybkie uruchomienie i szybkie działanie. Pocieszyłem się jedynie, iż ci szaleńcy czy wykolejeńcy mogą mimo wszystko okazać się teraz przydatni na księżycowym bastionie.

— Musimy się z tym liczyć — powiedział przez radiotelefon dowódca wahadłowca — że powracając dostaniemy się w zasięg ciemnej masy. Oznaczałoby to, iż nigdy już nie powrócimy na Ziemię.

Na szczęście panowała na razie cisza. Instrumenty nie donosiły o zbliżaniu się czegokolwiek. Zaś z Ziemi informowano nas, że to co obserwowaliśmy, te nagłe ataki nieznanego, mają podobno charakter przepychania się rozumnej, olbrzymiej istoty przez tę część Galaktyki. Istoty, która w ogóle nie ma pojęcia o ludzkiej egzystencji. Uważano, że chodzi o istotę rozumną, lecz dość prymitywną, doskonale jednakże

przystosowaną do życia międzyplanetarnego.

Teorie te wydały mi się mętne i wydumane, o czym powiedziałem Werganowi i innym rozmówcom. Na co otrzymałem odpowiedź, że są już zgromadzone pewne dowody, nie czas jednak na ich ujawnianie w sytuacji, w jakiej się znajdujemy.

Mało mnie jednak to w tej chwili obchodziło, choć czułem większą grozę wobec tej wielkiej tajemnicy, niż wobec obrzydliwych niszczycieli, z którymi musiałem zawrzeć ugodę.

Pragnąłem się jak najprędzej stąd wydostać. Zżymałem się na myśl o tej ugodzie. Kapitulant, łajdak — mówiłem o sobie. Obrzydliwy grzesznik przeciw ludzkości. I nagle przyszła nieprzeparta ochota do zerwania wszelkich układów. Mogłem jeszcze działać, mogłem dotrzeć do przycisku i wysadzić całą Bazę Księżycową w powietrze. Dokonać dzieła zniszczenia, które

być może i tak nas i wszystkich Ziemian czekało. Zginąć. Nie widzieć niczego więcej.

Ach, gdyby Jonis Broczis był inny, gdyby nie skapitulował od dawna. Jego infantylna miłość do Zoi stała się jedną z najgorszych naszych plag. Była nieustanną i bezpowrotną ucieczką od rzeczywistości. Jonis donosił, że siedzą sobie oboje zamknięci na cztery spusty w jednym z pomieszczeń dworca rakietowego. W drugim otwartym pomieszczeniu znajduje się załoga promu. Jonisa, który żył chwilą nie obchodziła nawet przyszłość własna i Zoi. Zapomniał o całym świecie.

Kiedy mu powiedziałem, że doszło do ugody, powtórzył to ukochanej, ale i ona nie zainteresowała się tym.

— To dobrze — zaszczebiotała. Ani słowa więcej. Wizji, choć była czynna, umyślnie nie włączali. Ocknęli się dopiero, gdy bardzo oględnie zacząłem ich przygotowywać na rozstanie. Próbowałem wywołać Zoję do

promu, w którym już umieściła się załoga. Trzeba było przecież pozostawić Jonisa w rękach jego współplemieńców. Ach, tego sobie nie mogłem darować, że zgodziłem się na podział. Absolutnie nie dawali się rozłączyć. Zaczęła się walka dzika i gwałtowna.

Łysego doprowadzała do szału. Bał się następnego ataku ciemnej masy i jego skutków.

Trzeba się przecież liczyć w razie następnego trzęsienia z dalszą ruiną Bazy, z przerwaniem łączności z Ziemią. Należało więc przygotować obronę. Umocnić przy pomocy robotów osłabione miejsca, naprawić przerwane łącza. Przygotować atomowe uderzenie. Regularna bitwa w pobliżu centrali nie wróżyła niczego dobrego ani mizrakim, ani nam.

Jonis począł używać miotaczy promieniowania. Zastawił syczącymi błyskami wejście do części startowej. Kto by

się zbliżył, zostałby spalony na popiół. Patrząc na szaleństwo Łysego, miotanego strachem i wściekłością, oprócz zwątpienia i rozpaczy, doznawałem także i satysfakcji. Jeśli ten obrzydliwy mizraki był kiedyś inny niż my, ludzie, to już teraz niepodzielnie należał do nas. Zrodzony z ludzkich i nieludzkich marzeń, zbudowany z odpadów, szybko wpadł w tor ziemskiego przeznaczenia.

— Stajesz się z nieludzkiego potwora złym człowiekiem, najgorszym z ludzi — syknąłem na widok jego wściekłości. — Takich właśnie potępiła historia. Niech Zoja u was zostanie, proszę. Niech się nie rozstaje z Jonisem.

Nie zwrócił nawet uwagi na moje słowa. Zwołał wszystkich kompanów. Naradzali się krótko. W kącie salki, z której Jonis Broczis sypał śmiercionośnymi promieniami, tkwił jeden z licznych żywych, wyhodowanych w tej bazie foteli. W tym fotelu właśnie siedziała Zoja, obserwując błędnymi oczami,

co się dzieje wokoło. Nie wiem, w jakim stopniu zdawała sobie sprawę z sytuacji. Wiem, że drżała tylko przed jednym, iż na zawsze utraci Jonisa.

Udało się mizrakim zdalnie zmusić fotel do małej, niewinnej na pozór akcji. Pod wpływem zmiany temperatury otoczenia, wywołanej z centrali, fotel skurczył się. Zoja krzyknęła.

Poczuła otaczające ją i krępujące pręty. Została uwięziona.

Krzyk kazał Jonisowi oderwać uwagę od korytarza. Poskoczył do Zoi i zaczął wrzeszczącą rozpaczliwie uwalniać z fotelowych więzów. Wykorzystały to roboty i kompani Łysego. Jonis został błyskawicznie porwany, oddzielony od dziewczyny. Patrzył odtąd z daleka na jej losy. Zaprzestał wszelkiego oporu. Stał wyprostowany na baczność, skamieniały, doskonale obojętny. Dostrzegłem tylko, że z oczu kapały mu rzadkie łzy. Był to widok niesamowity. Łzy w

tym sztucznym środowisku, w którym my wszyscy, mieniący się ludźmi, działaliśmy z motywów, niewiele z naturalnością mających wspólnego.

A może Archan się pomylił — pomyślałem w tym momencie. Może ci tutaj, tak podobni do ludzi, naprawdę zgodnie z teorią Rilli Mizraki, pochodzili od istot z innego świata, które wdarły się w nasze ludzkie marzenia, przybierając ich kształt? W ten sposób oderwali się od swej praistoty, a ona teraz w postaci ciemnej, żywiołowej masy atakującej Księżyc i Ziemię dopominała się o swe prawa, walczyła lub starała się wszcząć walkę o coś, o czym ludzkość w ogóle nie mogła mieć pojęcia. Otrząsnąłem się z tych wizji.

Teraz przyszły najgorsze chwile. Z nimi, z mizrakimi musiałem łamać wolę Zoi, krępować ją krzyczącą, wijącą się w męce, skazywać na cierpienie, być może większe niż to, na jakie była narażona na promie i w Bazie. Przypomniało mi się, co z nią

wyprawiali, jak ją razili „hormonem bólu”. Zamykałem wówczas oczy, aby tego nie dostrzec, wciskałem palce w uszy, aby nie słyszeć. Siepacze, mordercy! A przecież ja im w tej chwili pomagam i oni mnie pomagają. Pakujemy tę delikatną istotę, wbrew jej najgłębszym pragnieniom, na siedzenie wahadłowca. Depczemy jedyne ocalałe w niej uczucie.

A więc zabijamy ją? Czy wolno mi być solidarnym z siepaczami, z istotami, dla których życie ludzkie jest igraszką, a ból człowieczy rozkoszą? Czy wolno mi z nimi współdziałać, tłamsząc sumienie argumentami o wyższej użyteczności tego działania. Czy ja, czy ludzkość nie mieliśmy innego wyboru, innej drogi wyjścia?

Ą może należało bez względu na ryzyko spróbować podstępnego zamachu na mizrakich? Trzeba było udać, że zgadzamy się na wszystko i wtedy ich zniszczyć. Były ułamki takiej szansy. Przecież Jonis ukrył się

po ucieczce z laboratorium w magazynie z bronią o dużej sile rażenia. Czemu nie spróbowałem tego zdyskontować. Czemu, gdy stworzył zaporę ogniową na wiadomość o planowanej przez nas rozłące zakochanych, nie przyszedłem właśnie jemu z pomocą, lecz pozwoliłem mizrakim na podstępną, udaną akcję? Znowu wydało mi się, że lepiej było zginąć.

Z masochistyczną radością dławiłem się swoją pigułką w gardle. Fiolka z nagraniem otrzymanym od Archana utrudniała mi co chwila oddech, wyrywała kaszel z piersi, gryzła delikatną tkankę, starając się w niej utrzymać splotem ostrych ładunków elektrycznych, jak szponami. Mądra i groźna konstrukcja. Niosłem w sobie zgubę dla mizrakich. Jeżeli — myślałem z rozpaczą — dla wykorzystania niezmiernych zasobów energii obłych i bezkresnych cielsk mizrakich, ludzkość nie porzuci chęci odwetu?

Kto wie, czy w imię wspólnych interesów nasza ugoda nie stanie się stałym, wiecznym braterstwem.

Kto wie, czy nie trzeba będzie zmuszać co światlejszych osób do materializacji nowych istot z marzeń, aby bandę Łysego pomnożyć, uczynić z niej armię obrońców ludzkości.

Można przecież już teraz suponować, iż ludzie z marzeń okazali się sprytniejsi i trwalsi od swych ludzkich pierwowzorów, lepiej przystosowani do obrony i do walki, do życia. Może wiecznego?

Boję się nauki. Kto wie, czy wielu uczonych nie upatrzy w tym ostatecznego ratunku i odnowienia naszego rodzaju. Mamy przecież do czynienia z ogromną i potężną istotą, która ciągle marzyła i zapewne jeszcze marzy, żeby stać się ludźmi. Zamienić się w setki, tysiące, miliony i miliardy istnień ludzkich. Ludzie często narzekali i narzekają na swoją dolę. Dla mizrakich zaś, dla ich myślących ohydnych

obłych splotów, coraz gęściej ściskających starą Ziemię zmienność losów człowieczych, pasje, namiętności, cierpienia i umieranie to droga pełna atrakcji. Co za szaleńcza, wyszukana perwersja.

Przecież nie wszyscy, nie każdy mizraki, tłumaczyłem sobie, muszą być koniecznie tacy jak Łysy i jego banda, jak ci dwaj jego adiutanci, jeden łudząco podobny do Rilli i ten drugi okrutniejszy, sobowtór Archana. Jonis, jakaż to subtelna natura. Zdolna wprawdzie do zdrad i nikczemności, podpowiadała mi pamięć, ale zdolna też do wielkich uczuć — dopowiadałem sobie, mając przed oczami jego skamieniałą postać z wielkimi łzami w zamglonych miłością oczach. Delikatny, zapamiętały w swych pasjach, lekkomyślny, utalentowany. Człowiek. Tak, są więc i ludźmi. Bez względu na swe pochodzenie. Są skazani na ludzką egzystencję. Muszę na razie z nimi współdziałać i muszę się pogodzić z tym, co

stanie się ogólnym interesem.

Muszę? Gryzłem wargi z rozpaczy. Dlatego właśnie, że muszę. W ostatniej chwili wrzucili nam trzech półprzytomnych ludzi Archana już odzianych w skafandry.

— Przyjdą do siebie — powiedział wyprężony na trzech nóżkach robot, skrzekliwym, sztucznym głosem.

Zoja leżała cicho, przymocowana do fotela, niezdolna do zmiany pozycji. Taka, jaką ją dostrzegłem, gdy wszedłem do promu po porwaniu. Pochyliłem się nad nią, targany niepokojem o jej los. I nie tylko jej.

Rozbłysły światła sygnalizacji pokładowej. Przygotowywaliśmy się jeszcze kilka chwil do trudnej podróży. Jak tacy zmaltretowani zniesiemy przeciążenia, jak zachowamy się w nieważkości?

Zapadaliśmy stopniowo w sen. Znowu był ten tunel, przez który trzeba było przebiec, aby wydostać się w jasność. Tylko tym razem owa jasność rysowała się daleko i mgliście.

Szedłem tunelem i szedłem. Zdawało mi się, że droga nie ma końca.

Gdy się ocknąłem, byliśmy już w stanie nieważkości. Podleciałem, po uwolnieniu się od fotelowej uprzęży, do Zoi i do rannych. Zoja miała oczy szeroko otwarte. Nie patrzyła na mnie, jej spojrzenie jak gdyby omijało moją osobę, szybując w całkiem inne regiony. Ranni mieli się lepiej. Krzątał się koło nich jeden z naturobotów, wspaniałomyślnie podarowanych nam przez Łysego.

Jesteśmy wolni. Czułem, że po wydostaniu się ze sfery księżycowego przyciągania, wszystko, co było na księżycowej ziemi, odpadło ode mnie. Odnowiłem się lub raczej starałem się być takim, jakim kiedyś byłem na Ziemi. Zoja była już rozwiązana, jej spojrzenie jeszcze dalekie, ale i ona musiała poczuć się podobnie jak ja. Wyciągnęła chude ramiona i delikatnie je rozpostarła, jakby próbowała

latać.

Patrzyłem na nią, ale nic nie powiedziałem. Ludzie z załogi promu śmiali się wesoło.

Im też musiała doskwierać dotychczasowa sytuacja, mimo że ledwo zaznali niewoli u mizrakich.

Ten nastrój przerwał głos kapitana pojazdu:

— Mam sygnały o jeszcze dalekim, ale być może zbliżającym się niebezpieczeństwie.

— W wizjerach niczego się nie dostrzega — odparłem.

— O jeszcze do tego za daleko. Ciągle łączymy się z Ziemią, ale na Ziemi spokój. O spokoju mówią także tamci, z Księżyca. Na wszelki wypadek obydwu stronom przekazałem swoje informacje.

— To dobrze — odparłem. — Dobrze.

I wtedy właśnie zaczęła się potęgować we mnie myśl, która zakiełkowała jeszcze na Księżycu, w Bazie, a może znacznie, znacznie

wcześniej. Nie wiem, w jakim momencie.

Czułem ją od dawna, jak delikatnie pulsuje mi pod czaszką, jak wraca refrenem. A teraz gra już głośno, głusząc wszystkie pozostałe myśli, wyciszając przeszłość i teraźniejszość. Człowiek żyje albo dniem wczorajszym, albo jutrem. Melodia tej prośby na przyszłość obejmowała mnie całego niepodzielnie. O wszystkim co było i co jest, zapominałem, zatracałem poczucie rzeczywistości.

— Żeby jeszcze trochę pożyć, pożyć trochę na Ziemi.

Mówiłem sobie, że w tej prośbie chodzi mi nie tylko o siebie, ale o każdego, kto jest ze mną, wszystkich znanych mi i nie znanych, o tych, których napotkałem w swym życiu i jeszcze napotkam.

— Żeby jeszcze trochę pożyć.

Więc tylko na tym człowiekowi ostatecznie zależy? Tylko na tym, do czego wstydzi się nawet przed sobą przyznać, co

uważa za prymitywne, zwierzęce, niegodne człowieczeństwa.

Program minimum? A jednak, mówiłem sobie, w tym programie zawiera się przecież wszystko. Absolutnie wszystko, co w życiu możliwe: bohaterstwo, poświęcenie, podłość i tchórzostwo, miłość i nienawiść, spadanie w przepaść i nadzieja.

Kapitan znów głośno powtórzył meldunek o nadchodzącym niebezpieczeństwie.

Ciemną masę można już było dostrzec w wizjerach gołym okiem. Na Ziemi wzrastała znowu panika. Słyszeliśmy w głośnikach jej potężniejący ryk. I wtedy przypomniał mi się fragment starego wiersza:

*Nie zaczekam na znak, nie ma cudów.*
*Życie mija bez Chrystusa i Buddy.*
*Gdy doczekam, nie dojrzę świeżego ognia:*
*Żyć będzie niemodnie.*
*Rabka — Ustka — Warszawa 1978*